

Poul Anderson

Strażnicy czasu

The Guardians of Time
Przełożyła Ewa Witecka

PATROL CZASU

1

Poszukuje się mężczyzn w wieku 21–40 lat, preferowani kawalerowie z doświadczeniem wojskowym lub technicznym, dobrze zbudowani, do wysoko płatnej pracy związanej z wyjazdami za granicę. Engineering Studies Co., 305 E, 45,9–12 i 14–16”.

— Rozumie pan, że jest to dosyć niecodzienne i wymagające dyskrecji zajęcie — oświadczył Mr. Gordon. — Mam nadzieję, że umie pan dochować tajemnicy?

— Zazwyczaj tak — odrzekł Manse Everard. — Oczywiście, zależy to od jej charakteru.

Mr. Gordon uśmiechnął się. Był to dziwny uśmiech — lekkie skrzywienie zaciśniętych warg. Everard nigdy przedtem nie widział czegoś podobnego. Przedstawiciel firmy mówił potoczną amerykańską angielszczyznę i miał na sobie nie rzucający się w oczy garnitur, ale było w nim coś cudzoziemskiego, coś więcej niż ciemna cera, gładko ogolone policzki i skośne oczy zupełnie nie harmonizujące z wąskim europejskim nosem. Trudno to było określić.

— Nie jesteśmy szpiegami, jeśli to miał pan na myśli — zastrzegł się. Everard uśmiechnął się szeroko i odparł:

— Przepraszam. Proszę nie sądzić, że wpadłem w histerię, jak wszyscy w tym kraju. I tak nigdy nie miałem dostępu do poufnych informacji. W ogłoszeniu wspomnieliście o wyjazdach za granicę, a w obecnej sytuacji chciałbym zatrzymać paszport, rozumie pan.

Manse Everard był wysokim, barczystym mężczyzną o nieco zniszczonej twarzy. Miał krótko przycięte kasztanowate włosy. Przed nim leżały jego papiery: zwolnienie z wojska i zaświadczenie o pracy w kilku miejscach w charakterze inżyniera mechanika. Mr. Gordon ledwo musnął je spojrzeniem.

Gabinet wyglądał zupełnie pospolicie: biurko, dwa fotele, segregator i drzwi prowadzące na zaplecze biura. Okno wychodziło na hałaśliwe ulice Nowego Jorku.

— Jest pan człowiekiem z charakterem — oświadczył siedzący za biurkiem przedstawiciel firmy. — Podoba mi się to. Tak wielu kandydatów płaszczy się, jak gdyby mieli zamiar okazać wdzięczność nawet za kopniaka. Oczywiście, mając takie wykształcenie, nie jest pan jeszcze w szczególnie ciężkim położeniu. Może pan dostać pracę nawet w... ach, sądzę, że obecnie określa się to mianem powtórnego przystosowania.

— Zainteresowało mnie wasze ogłoszenie — odrzekł Everard. — Jak pan widzi, pracowałem już za granicą i chciałbym znów podróżować. Szczerze mówiąc, nadal nie mam pojęcia, czym się zajmuje pańska firma.

— Robimy wiele rzeczy — odpowiedział Mr. Gordon. — Zobaczmy... walczył pan we Francji i w Niemczech. — Everard zamrugnął oczami. Wprawdzie w jego papierach znajdowała się lista odznaczeń, ale przysięgłby, że jego rozmówca nie miał czasu jej przeczytać. — Hm... czy zechciałby pan chwycić za gałki na poręczach pańskiego fotela? — ciągnął Gordon. — Dziękuję. A teraz proszę powiedzieć, jak pan reaguje w sytuacji zagrożenia.

— Proszę posłuchać... — obruszył się Everard.

Mr. Gordon zerknął na jakiś instrument znajdujący się na biurku. Była to zwykła skrzynka ze wskazówką i dwiema tarczami.

— Nieważne. Co pan sądzi o internacjonalizmie?

— Co takiego...?

— Komunizm? Faszyzm? Kobiety? Pańskie ambicje...? To wszystko. Nie musi pan odpowiadać.

— O co tu, do diabła, chodzi? — warknął Everard.

— To mały test psychologiczny. Proszę o tym zapomnieć, Everard. Pańskie poglądy interesują mnie tylko w takim stopniu, w jakim dają wyraz podstawowemu emocjonalnemu ukierunkowaniu. — Mr. Gordon przechylił się do tyłu, splatając palce, tak że utworzyły mostek. — Jak dotąd wyniki są bardzo obiecujące. Przejdźmy jednak do sedna sprawy. Jak już panu powiedziałem, wykonujemy wielce poufną pracę. My... ach... zamierzamy zaskoczyć naszych konkurentów. — Zachichotał. — Teraz może pan zawiadomić FBI. Już nas zbadali i okazało się, że jesteśmy czyści. Dowie się pan, że naprawdę dokonujemy operacji finansowych i inżynierskich na całym świecie. Istnieje jednak także inna gałąź naszej działalności i właśnie ze względu na nią potrzebujemy ludzi. Zapłacę panu sto dolarów, jeśli zgodzi się pan przejść do następnego pokoju i poddać serii testów. Jeśli się panu nie uda, poprzestaniemy na tym, jeśli natomiast wynik okaże się pozytywny, przyjmiemy pana, wszystko wyjaśnimy i zaczniemy przeszkolenie. Czy to panu odpowiada?

Everard zawahał się. Miał wrażenie, że jego rozmówca go ponagla. Ta firma na pewno nie ograniczała się do jednego niepozornego biura i uprzejmego urzędnika. A jednak...

Wreszcie podjął decyzję.

— Podpiszę umowę dopiero po tym, jak mi pan wyjaśni, o co tu chodzi.

— Jak pan sobie życzy. To zależy tylko od pana. — Mr. Gordon wrzucił ramionami. — Wie pan, że testy wykażą, czy się pan nadaje, czy też nie. Wykorzystujemy pewne bardzo zaawansowane techniki.

Przynajmniej to było prawdą. Everard posiadał trochę wiadomości o współczesnej psychologii. Wiedział o encefalogramach, testach skojarzeniowych i minnesockim przekroju. Nie rozpoznał jednak żadnej z przykrytych pokrowcami maszyn, które go otaczały, mrucząc i migając lampkami. Pytania, którymi zasypywał go asystent — biały, zupełnie łysy mężczyzna w nieokreślonym wieku, z wyrazem obojętności na twarzy i mówiący z cudzoziemskim akcentem — wydawały się z niczym nie związane. Jakie było przeznaczenie metalowej czapki, którą włożono mu na głowę? Dokąd szły podłączone do niej przewody?

Rzucił ukradkowe spojrzenia na tarcze wskaźników, ale nigdy dotąd nie widział takich liter ani cyfr. Nie były angielskie, francuskie, rosyjskie, greckie ani chińskie. Może już wtedy zaczął domyślać się prawdy?

W miarę przeprowadzania testów kształtowała się w nim dziwna samowiedza. Manson Emmert Everard, lat 30, niegdyś porucznik saperów w armii amerykańskiej, organizator i kierownik produkcji w Ameryce, Szwecji, krajach arabskich. Wciąż kawaler, choć coraz częściej zazdrościł żonatym przyjaciołom. Nie miał obecnie dziewczyny i nie łączyły go z nikim żadne mocniejsze więzy uczuciowe. Był trochę bibliofilem i amatorem żeglarstwa, konnej jazdy i polowań; grywał w pokera. Podczas urlopów przedzierał się w turystę i wędkarza. Oczywiście wiedział o tym wszystkim, ale nigdy nie łączył tych faktów w całość. Zdumiał się, kiedy nagle poczuł, że stanowi integralny organizm, kiedy pojął, że każda z jego cech stanowi konieczny element całości.

Po przejściu testów był wyczerpany i zlany potem. Mr. Gordon poczęstował go papierosem i szybko przebiegł wzrokiem ciągi zakodowanych informacji na arkuszach, które podał mu jego asystent. Od czasu do czasu rzucił cicho pojedyncze frazy:

— ...korowy Zet-20... tutaj nie zróżnicowana ocena... psychiczna reakcja na antytoksynę... kłopoty z ośrodkową koordynacją... — Mimowolnie zaczął mówić ze śpiewnym akcentem, dziwacznie wymawiając samogłoski.

Everard nigdy nie słyszał niczego podobnego, mimo że od wielu lat stykał się z kaleczoną na najróżniejsze sposoby angielszczyzną.

Uplęło dobre pół godziny, zanim zaafierowany przedstawiciel firmy podniósł wzrok. Everard zaczynał się już niecierpliwie, irytowało go też trochę takie lekceważące traktowanie, ale ciekawość wzięła górę, więc siedział spokojnie. Mr. Gordon błysnął nieprawdopodobnie białymi zębami, uśmiechając się szeroko, i powiedział z zadowoleniem: — No, nareszcie. Czy pan wie, że musiałem odrzucić już dwudziestu czterech kandydatów? Ale pan się nadaje. Zdecydowanie nadaje.

— Do czego się nadaje? — Everard pochylił się do przodu, czując, że jego serce bije mocniej.

— Do Patrolu. Będzie pan kimś w rodzaju policjanta.

— Taak? A gdzie?

— Wszędzie. I zawsze. Niech się pan przygotuje, to będzie prawdziwy szok. Widzi pan, nasza firma, chociaż działa legalnie, jest tylko pretekstem do innej działalności i źródłem finansowania. Nasze prawdziwe zajęcie polega na patrolowaniu czasu.

2

Akademia znajdowała się na zachodzie Ameryki. W erze oligoceńskiej na pokrytej gęstymi lasami i sawannami Ziemi panował ciepły klimat, a niepozorni przodkowie człowieka umykali przed potężnymi ssakami. Zbudowano ją przed tysiącem lat i przetrwa jeszcze około pół miliona — dostatecznie długo, by wykształcić tylu rekrutów, ilu potrzebował Patrol Czasu. Później zostanie starannie zburzona, tak by nie pozostał po niej najmniejszy ślad. Następnie nadciągną lodowce i pojawi się człowiek. W roku 19352 n.e. (lub w 7841, licząc od morenniańskiego triumfu) ludzie znajdą sposób na przenoszenie się w czasie i powrócą do oligocenu, żeby założyć tam Akademię.

Był to kompleks złożony z długich, niskich, wielobarwnych budynków z łagodnymi łukami, postawionych na murawie otoczonej ogromnymi wiekowymi drzewami. Zbocza rozciągających się dalej lesistych wzgórz schodziły do wielkiej rzeki toczącej brunatne wody. W nocy można było usłyszeć ryki titanotheriów lub tygrysa szablozębego.

Everard wyszedł z kapsuły czasu, czując suchość w gardle.

Czuł się tak samo jak w pierwszym dniu pobytu w wojsku przed dwunastu laty (albo za piętnaście do dwudziestu milionów lat, jeśli spojrzeć na to inaczej) — samotny i bezradny, rozpaczliwie szukający sposobu, by z honorem wrócić do domu. Nie pocieszył go widok innych kapsuł, z których wyszło ponad pięćdziesięcioro mężczyzn i kobiet. Rekruci powoli i niezdarnie zbili się w grupę. Początkowo milczeli, przyglądając się sobie nawzajem. Everard zauważył sztywny kołnierzyk i melonik. Kroje ubrań i fryzury były charakterystyczne dla roku 1954 i lat następnych. Skąd przybyła dziewczyna w opalizujących, obcisłych, sięgających do kolan spodniach, z ustami pomalowanymi zieloną szminką i fantastycznie pofalowanymi jasnymi włosami? A raczej nie skąd, lecz... z jakiej epoki?

Obok Everarda pojawił się młody mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat, najwyraźniej Anglik, sądząc po tweedowym ubraniu i pociągłej chudej twarzy. Zdawał się skrywać wielką gorycz pod maską dobrego wychowania.

— Witaj — rzekł do niego Everard. — Poznajmy się. — Podał swoje imię i nazwisko oraz pochodzenie.

— Charles Whitcomb, Londyn, 1947 — odparł tamten nieśmiało. — Właśnie mnie zdemobilizowano z RAF i to wyglądało na dobrą okazję. Teraz jednak mam wątpliwości.

— Może być — oświadczył Everard, mając na myśli pensję. — Piętnaście tysięcy rocznie na początek! Ale jak oni obliczają lata? Widocznie wedle indywidualnego odczucia upływu czasu.

W ich stronę zmierzał jakiś mężczyzna. Był młody, szczupły, ubrany w obcisły szary mundur i ciemnoniebieski płaszcz, który błyszczał tak, jak gdyby wszyto w niego gwiazdy. Miał budzące sympatię uśmiechnięte oblicze. Przemówił pogodnie, bez śladu obcego akcentu:

— Witajcie w Akademii. Zakładam, że wszyscy znacie angielski.

Everard zauważył wśród rekrutów Hindusa i innych ludzi wyglądających na cudzoziemców.

— Będziemy więc posługiwać się angielskim, dopóki wszyscy nie nauczą się języka temporalnego. — Mężczyzna stał swobodnie, opierając ręce na biodrach. — Nazywam się Dard Kelm — ciągnął. — Urodziłem się w 9573 roku według chrześcijańskiego kalendarza, ale specjalizowałem się w waszej epoce, która trwała od 1850 do 2000 roku. Możecie przychodzić do mnie, żeby się wyplakać, jeśli coś się wam nie powiedzie. Pracujemy tutaj inaczej, niż się zapewne spodziewaliście. Nie wypuszczamy naszych wychowanków *en masse*, nie jest więc konieczna dyscyplina szkolna czy też wojskowa. Każde z was zdobędzie wykształcenie ogólne oraz indywidualne. Nie musimy nikogo karać za niepowodzenia w nauce, ponieważ dzięki wstępnym testom mamy gwarancję, że ich nie będzie. Testy wykazały także, że prawdopodobieństwo porażki w późniejszej pracy jest niewielkie. Osiągnęliście wysoki poziom rozwoju w ramach kultur, z których się wywodzicie. Jednakże ze względu na różnice w uzdolnieniach musimy zapewnić każdemu indywidualny tok nauczania, jeśli chcemy umożliwić wszystkim studentom maksymalny rozwój. Poza zwykłą kurtuzją nie jest wymagana żadna specjalna etykieta. Będziecie mieli dość czasu tak na wypoczynek, jak na naukę. Nigdy nie będziemy wymagać od was więcej, niż możecie z siebie dać. Mogę jeszcze dodać, że polując i łowiąc ryby nawet w najbliższej okolicy, można osiągnąć bardzo dobre wyniki, a jeśli polecicie kilkaset mil stąd — wręcz fantastyczne. Teraz, skoro nie ma żadnych pytań, proszę pójść za mną. Osobiście dopilnuję, żebyście się poczuli jak w domu.

Dard Kelm pokazał im wyposażenie typowego pokoju. Było takie, jakiego można by oczekiwać w roku, dajmy na to, 2000: nie rzucające się w oczy doskonale dobrane meble, barki i ekrany podłączone do olbrzymiej biblioteki obrazów i dźwięków — dla rozrywki po nauce. Nie było tam jeszcze żadnych bardziej zaawansowanych technicznie urządzeń. Każdy kadet miał pokój w budynku „sypialnym”. Posiłki wydawano w głównej jadalni, ale można było złożyć zamówienia na obsługę prywatnych przyjęć. Everard nieco się odprężył.

Wydano powitalny bankiet. Potrawy były wszystkim znane, w przeciwieństwie do maszyn, które bezgłośnie podjeżdżały, by je serwować. Było wino, piwo i sporo tytoniu. Być może dodano czegoś do jedzenia, ponieważ niemal wszystkich ogarnęła euforia. Everard zakończył przyjęcie grając boogie-woogie na fortepianie, a pół tuzina biesiadników próbowało mu wtórować, straszliwie fałszując.

Tylko Charles Whitcomb trzymał się na uboczu. Zasepiony popijał w kącie wino. Dard Kelm taktownie nie próbował go nakłonić do wzięcia udziału we wspólnej zabawie. Everard doszedł do wniosku, że będzie mu się tu podobało. Nadal jednak nic nie wiedział o przyszłej pracy, o organizacji i zadaniach Patrolu Czasu.

* * *

— Możliwość podróżowania w czasie odkryto w okresie upadku choryckiego herezjarchatu — powiedział Kelm w sali wykładowej. — Później poznacie szczegóły, teraz zaś uwierzcie mi na słowo, że było to burzliwe stulecie, w którym na polu handlu i genetyki rywalizowały ze sobą zażarcie gigantyczne kartele. Wszystko było możliwe, a poszczególne rządy grały tylko rolę

pionków w galaktycznej grze. Odkrycie efektu czasowego nastąpiło przy okazji badań zmierzających do stworzenia środków błyskawicznego transportu, podczas których korzystano z nieskończonej nieciągłości funkcji matematycznych... podobnie jak w przypadku podróży w przeszłość. Nie będę się rozwodził nad teoretyczną stroną tego odkrycia — zapoznacie się z nią bliżej na zajęciach z fizyki. Powiem tylko, że wiąże się ona z koncepcją nieskończonościowych zależności w kontinuum o wymiarach $4N$, gdzie N jest całkowitą liczbą cząstek we wszechświecie. Oczywiście ludzie, którzy dokonali odkrycia, tak zwana Dziewiątka, zdawali sobie sprawę z jego konsekwencji. Nie tylko ekonomicznych — w handlu, górnictwie i innych przedsięwzięciach — lecz także militarnych. Widzieli w nim środek wiodący do ostatecznego zniszczenia wrogów. Widzicie, czas daje się kształtować, przeszłość można zmienić...

— Mam pytanie — przerwała dziewczyna z 1972 roku, Elizabeth Grey, która była dobrze zapowiadającym się fizykiem.

— Tak? — spytał uprzejmie Kelm.

— Sądzę, że opisuje pan rzecz niemożliwą logicznie. Zgadzam się na możliwość podróżowania w czasie, zważywszy choćby na to, że tu jesteśmy, ale wydarzenie nie może jednocześnie mieć i nie mieć miejsca. To jest wewnętrznie sprzeczne.

— Tylko w świetle logiki, która nie jest Alef-sub-Alef — odparł Kelm. — A oto, co się dzieje: założmy, że cofnąłem się w czasie i przeszkodziłem pani ojcu spotkać się z pani matką. Nigdy by się pani nie urodziła. Ta cząstka historii wyglądałaby inaczej, mimo że pamiętałbym stan „autentyczny”.

— A gdyby postąpił pan tak w stosunku do siebie? — pytała dalej Elizabeth. — Czy przestałby pan istnieć?

— Nie, ponieważ znajdowałbym się w momencie poprzedzającym moją interwencję — wyjaśnił. — Zastosujmy ten przykład do pani. Gdyby cofnęła się pani do, przypuśćmy, roku 1946 i starała się nie dopuścić do małżeństwa pani rodziców w roku 1947, to nadal żyłaby pani w tym roku i nie przestałaby pani istnieć, dlatego że wywarła pani wpływ na bieg wydarzeń. Stałoby się tak samo, nawet gdyby znalazła się pani w roku 1946 na ułamek sekundy przed zastrzeleniem mężczyzny, który miał zostać pani ojcem.

— Ale byłabym wówczas pozbawiona pochodzenia! — zaprotestowała dziewczyna. — Żyłabym, miałabym wspomnienia i... wszystko... chociaż nic ich nie wytworzyło.

Kelm wzruszył ramionami i odparł:

— No i co z tego? Utrzymuje pani, że prawo przypadku albo, ściślej rzecz biorąc, prawo zachowania energii dotyczy tylko funkcji ciągłych. W rzeczywistości nieciągłość jest jak najbardziej możliwa.

Roześmiał się i oparł o pulpit.

— Oczywiście są też rzeczy niemożliwe — oświadczył. — Na przykład nie mogłaby pani zostać swoją matką z powodów czysto genetycznych. Gdyby cofnęła się pani w czasie i poślubiła swojego ojca, wasze dzieci byłyby zupełnie inne, to znaczy żadne z nich nie byłoby panią, ponieważ każde z nich miałoby jedynie połowę pani chromosomów.

Chrząknął i kontynuował:

— Nie odbiegajmy jednak od tematu. Szczegóły poznacie na innych zajęciach. Teraz przedstawiam wam tylko ogólne zarysy. A więc Dziewiątka dostrzegła możliwość podróży w przeszłość i powstrzymania nieprzyjaciół przed wszczęciem walki, a nawet niedopuszczenia do ich narodzin. Wtedy jednak pojawili się Danellianie.

W tym momencie po raz pierwszy Kelm porzucił bezpretensjonalny i na poły żartobliwy ton. Spoważniał i przyjął postawę człowieka stojącego w obliczu niepoznawalnego. Powiedział spokojnie:

— Danellianie są częścią przyszłości — naszej przyszłości, dzieli mnie od nich ponad milion lat. Prawdopodobnie nigdy ich nie spotkacie, gdyby jednak do tego doszło, będzie to dla was... raczej szokujące. Oni nie są ani dobrzy, ani źli, lecz tak dalecy od tego wszystkiego, co poznajemy lub odczuwamy, jak my od owadożerców, którzy są naszymi przodkami. Nie jest przyjemnie stanąć z kimś takim twarzą w twarz. Nasi dalecy potomkowie po prostu chcieli ochronić swoją egzystencję. Kiedy się pojawili, podróże w czasie były znane od dawna i istniało nieskończenie wiele możliwości wywrócenia historii do góry nogami przez głupców, chciwców i szaleńców. Danellianie nie chcieli zakazać tych podróży, ponieważ stanowiły one część ich przeszłości, ale musieli je uporządkować. Przeszkadzili więc w realizacji zamysłu Dziewiątki, później zaś zorganizowali specjalną formację policyjną, Patrol Czasu, w celu pilnowania porządku na szlakach historii. W większości przypadków zostaniecie skierowani do rodzimych epok, chyba że awansujecie do stopnia samodzielnego agenta. W zasadzie będziecie prowadzić normalny tryb życia, mieli rodziny i przyjaciół. Skrywana przez was część waszego życia zapewni wam satysfakcję w postaci dobrej pensji, skutecznej opieki socjalnej, urlopów w bardzo interesujących miejscach oraz wielce pożytecznej pracy. Zawsze jednak będziecie gotowi stawić się na każde wezwanie. Czasem pomożecie podróżnikom w czasie, którzy w jakiś sposób wpadli w tarapaty. Kiedy indziej otrzymacie polecenie aresztowania niedoszłych politycznych, wojskowych lub ekonomicznych konkwistadorów. Jeszcze innym razem Patrol będzie musiał pogodzić się z powstałą szkodą i postarać się zminimalizować jej wpływ na następne epoki, by historia potoczyła się po właściwym torze. Życzę wam wszystkim powodzenia.

* * *

Pierwszą część szkolenia stanowił trening fizyczny i psychiczny. Everard nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, że jego tryb życia w znacznym stopniu osłabiał jego umysł i ciało, sprawiając, iż I był tylko w połowie takim człowiekiem, jakim mógłby być w innych warunkach. Przyszło mu to z trudem, ale w końcu mógł się rozkoszować w pełni kontrolowaną siłą mięśni, posłusznymi woli emocjami, które wzbogaciły się dzięki wewnętrznej dyscyplinie, oraz szybkością i precyzją myśli.

W którymś momencie nauki Wyrobiono w nim odruch warunkowy, dzięki któremu nie był w stanie ujawnić niczego o Patrolu, nawet wspomnieć aluzyjnie o jego istnieniu osobom niepowołanym. Po prostu nie mógł tego zrobić, tak jak nie mógł wskoczyć na księżyc. Poznał też wszystkie szczegóły dotyczące jego dwudziestowiecznego wcielenia.

Temporalny sztuczny język, w którym agenci Patrolu ze wszystkich epok mogli porozumiewać się między sobą bez obawy, że zrozumieją ich osoby trzecie, miał cudownie klarowną i logiczną konstrukcję.

Po odbyciu służby w wojsku Everard sądził, że zna się na walce, lecz teraz musiał poznać specjalne chwytaki i nauczyć się posługiwać bronią wynalezioną na przestrzeni pięćdziesięciu tysięcy lat, poczynając od cienkiego jak rapierski miecz z epoki brązu, a skończywszy na cyklicznym miotaczu, który mógł unicestwić cały kontynent. Wprawdzie po powrocie do swojego stulecia miał otrzymać ograniczony arsenał, ale mógł zostać wysłany w inne czasy, a członkom Patrolu rzadko pozwalano na rzucające się w oczy anachronizmy.

Everard poznał również dokładnie organizację Patrolu. „W górze” znajdowała się fascynująca zagadka — cywilizacja danelliańska, ale rzadko się z nią kontaktowano. Patrol miał na poły wojskową strukturę i obowiązywały w nim różne stopnie, chociaż nie przestrzegano żadnej szczególnej etykiety. Historię podzielono na liczące po dwadzieścia jeden lat okresy. Centrala znajdowała się w największym mieście (ukryta pod szyldem jakiejś instytucji pozorującej

działalność, na przykład handel). Podlegały jej poszczególne biura. W epoce Everarda utworzono trzy ośrodki: Zachód z siedzibą w Londynie, Rosja z centralą w Moskwie oraz Azja — w Pekinie. Wszystkie trzy zostały ulokowane w latach 1890–1910, kiedy można było ukryć się łatwiej niż w późniejszych dekadach — działały wtedy znacznie mniejsze biura, takie jak Gordona. Szeregowy agent żył jak gdyby nigdy nic w swoich czasach, często też miał jakieś zajęcie. Komunikację w czasie umożliwiały miniaturowe mechaniczne kapsuły czasu albo kurierzy używający automatycznych boczników, by nie dopuścić do nadmiernego nagromadzenia wiadomości.

Organizacja okazała się tak rozbudowana, że Everard nie potrafił ogarnąć jej ogromu. Zetknął się z czymś nowym i podniecającym — tylko tyle do niego dotarło... na razie.

Przekonał się, że nauczyciele są przyjaźnie nastawieni do uczniów i chętnie wdają się w pogawędki. Siwowłosy weteran, który nauczył go latać na statkach kosmicznych, brał udział w wojnie marsjańskiej w roku 3890. „Wy chłopcy dość szybko się orientujecie — powiedział kiedyś — ale piekielnie trudno jest uczyć ludzi z epok przedindustrialnych. Nawet nie próbujemy zapoznać ich z czymś więcej niż podstawami. Miałem tu kiedyś pewnego Rzymianina z czasów Cezara. Był dość bystrym chłopakiem, lecz nie dał sobie wbić do głowy, że nie można traktować maszyny jak konia. Co się zaś tyczy Babilończyków, to podróże w czasie były dla nich po prostu niepojęte. Musieliśmy ich więc uraczyć rutynową opowieścią o bitwie bogów.

— A jaką opowieścią nas raczycie? — spytał Whitcomb.

Kosmonauta przyjrzał mu się uważnie.

— Mówimy wam prawdę — odrzekł w końcu. — Tyle, ile możecie zrozumieć.

— Jak dostał pan tę pracę?

— Och... Zestrzelono mnie nad Jowiszem. Niewiele ze mnie zostało. Znaleźli mnie, dali mi nowe ciało, a ponieważ nikt z mojej załogi nie ocalał i uważano mnie za zmarłego, nie miałem po co wracać do domu. Zresztą w Korpusie Informacyjnym nie żyje się ani łatwo, ani przyjemnie. Dlatego podjąłem pracę tutaj. Dobre towarzystwo, przyjemne życie i urlopy w różnych epokach. — Kosmonauta uśmiechnął się szeroko. — Zaczekajcie, dopóki nie znajdziecie się w ostatnim okresie trzeciego matriarchatu! Nie wiecie, co to prawdziwa zabawa.

Everard nic nie odpowiedział. Był zbyt zachwycony widokiem ogromnej Ziemi obracającej się na tle gwiazd.

Zaprzyjaźnił się z innymi kadetami. Byli bardzo do siebie podobni — nic dziwnego, skoro do Patrolu wybierano takich samych ludzi: odważnych i inteligentnych. Doszło do kilku romansów. Nie takich jak w „Portrecie Jenny”^{*}, ponieważ małżeństwa były dozwolone i zakochani mogli wybrać jakiś rok, w którym chcieliby się osiedlić. Everardowi podobały się dziewczęta, ale dla żadnej nie stracił głowy.

O dziwo, najbardziej się zbliżył z milczącym i smutnym Whitcombem. Miał on w sobie coś budzącego sympatię; był taki kulturalny i koleżeński, a mimo to nieco zagubiony.

Pierwszego dnia wybrali się na konną wycieczkę. Everard zabrał ze sobą karabin w nadziei, że upoluje wielkiego dzika, którego wcześniej zauważył. Obaj mieli na sobie jasnoszare mundury Akademii, chłodne i jedwabiste w gorących promieniach słońca.

— Zastanawiam się, dlaczego pozwalają nam polować — zauważył Amerykanin. — Załóżmy, że zastrzelę jakiegoś tygrysa szablozębego, który pierwotnie miał spałaszować jednego z tych malutkich praludziach owadożerców. Czy to nie zmieni całej przyszłości?

— Nie — odrzekł Whitcomb, który poczynił większe postępy w poznawaniu teorii podróży w czasie. — Widzisz, to jest tak, jak gdyby nasze continuum było siecią uplecioną z mocnych

^{*} Powieść Roberta Nathana (1947) o losach pary zakochanych, dla których czas biegnie z różną szybkością. (Przyp. tłum.)

gumowych wstęg. Niełatwo jest ją trwale odkształcić, gdyż zawsze dąży do odzyskania pierwotnego kształtu. Jednostka sienie liczy, ważny jest za to wzorzec genetyczny całego gatunku, który rozwinie się kiedyś w rodzaj ludzki. Gdybym zabił jakąś owcę w średniowieczu, nie zgładziłbym w ten sposób wszystkich jej potomków, być może wszystkich owiec żyjących do 1940 roku. One nadal by istniały, nie zmienione, z takimi samymi genami pomimo innego pochodzenia, gdyż po tak długim czasie wszystkie owce czy ludzie są potomkami wszystkich żyjących wcześniej, owiec czy ludzi. Zasada kompensacji: gdzieś w tym szeregu jakaś inna jednostka dostarczyłaby genów, które, jak ci się zdawało, wyeliminowałeś. W taki sam sposób... och, przypuśćmy, że cofnąłbym się w czasie i przeszkodził Boothowi w zabiciu Lincolna. Jeśli nie przedsięwziąłbym środków ostrożności, wtedy prawdopodobnie ktoś inny dokonałby zamachu, a i tak obwiniono by o to Booth'a. Ta elastyczność kontinuum sprawia, że podróże w czasie w ogóle są dozwolone. Jeśli chcesz coś zmienić, zwykle musisz zastosować odpowiednią metodę i w dodatku mocno się napracować. — Whitcomb wykrzywił usta i dodał: — Zwyczajna indoktrynacja! Powtarzają nam raz po raz, że jeśli się wtrącimy, to spotka nas kara. Nie wolno mi cofnąć się w czasie i zastrzelić w kołysce tego drania Hitlera. Mam pozwolić, żeby dorósł, wywołał wojnę i zabił moją dziewczynę.

Everard jechał przez jakiś czas w milczeniu. Ciszę zakłócało tylko skrzypienie skórzanego siedła i szelest wysokiej trawy.

— Och — powiedział w końcu. — Bardzo mi przykro. Czy chcesz o tym porozmawiać?

— Tak, chcę, ale nie mam wiele do powiedzenia. Nazywała się Mary Nelson i służyła w WAF. Chcieliśmy się pobrać po wojnie. Przyjechała do Londynu w czterdziestym czwartym. Siedemnastego listopada, nigdy nie zapomnę tej daty, zabiły ją pociski V. Poszła do sąsiadów. Tamten dom został starty z powierzchni ziemi, a jej został cały.

Whitcomb był błądliwy jak ściana. Patrzył przed siebie niewidzącymi oczami.

— Będzie mi trudno nie... nie cofnąć się w czasie o zaledwie kilka lat i nie zobaczyć jej po raz ostatni. Tylko jeszcze raz ją zobaczyć. Nie! Nie odważę się.

Everard położył niezdarnie rękę na jego ramieniu. Jechali dalej w milczeniu.

* * *

Ich klasa nadal się uczyła, każdy we własnym tempie, lecz zajęcia się uzupełniały, tak że wszyscy jednocześnie ukończyli naukę. Po krótkiej ceremonii odbyło się huczne przyjęcie, gdzie umawiano się na kolejne spotkania. Następnie każdy wrócił do tego roku, z którego przybył, a nawet do tej samej godziny.

Everard przyjął gratulacje Gordona, otrzymał od niego listę działających w tym samym co on okresie agentów Patrolu (kilku z nich pracowało nawet w wywiadzie wojskowym) i wrócił do swojego i mieszkania. W przyszłości miała się znaleźć dla niego posada w jakiejś instytucji zajmującej się podsłuchem, ale jego obecna praca na stanowisku „konsultanta d/s podatku dochodowego Engineering Studies Co.” polegała na czytaniu około tuzina gazet dziennie w poszukiwaniu wzmianek o podróżach w czasie — czego nauczono go w Akademii Patrolu — i czekaniu na wezwanie.

Gdy wezwanie nadeszło, wykonał swoje pierwsze zadanie.

Everard czuł się dziwnie, czytając nagłówki i mniej więcej wiedząc, co się dalej wydarzy. Uspokajało go to, lecz zarazem budziło w nim smutek, gdyż żył w tragicznej epoce. Mógł sympatyzować z Whitcombem, który pragnął cofnąć się w czasie i zmienić historię.

Oczywiście wiedział, że pojedynczy człowiek ma ograniczone możliwości działania. Nie mógł zmienić historii na lepsze, lecz co najwyżej usunąć jakiegoś potwora. Cofnąć się, zabić Hitlera, japońskich i sowieckich przywódców, a wtedy może jacyś mądrzejsi ludzie zajmą ich miejsca. Może energia atomowa nie znajdzie zastosowania i może nigdy nie rozwinie się wspaniały wenusjański renesans. Do diabła, nic nie wiadomo...

Wyjrzał przez okno. Latarnie płonęły na tle wieczornego nieba; ulice wypełniał potok samochodów i spieszący się bezimienny tłum. Nie mógł stąd dojrzeć wieżowców Manhattanu, choć wiedział, że buńczucznie sięgały chmur. Wszystko to było tylko jednym z wirów na rzece płynącej od spokojnych przedludzkich czasów do niewyobrażalnej danelliańskiej przyszłości. Ile miliardów i bilionów istot ludzkich żyło, śmiało się, płakało, łudziło nadzieją, pracowało i umierało w jej nurtach!

— No cóż... — westchnął, nabił fajkę i odwrócił się.

Długi spacer nie zmniejszył jego zniecierpliwienia. Jego umysł i ciało pragnęły działać. Było już jednak późno i... Podeszedł do półki z książkami, na chybił trafił wyjął jakiś tom i zaczął czytać. Był to zbiór opowiadań z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Uderzyła go drobna wzmianka. Coś o tragedii w Addleton i niezwyklej zawartości starożytnego brytyjskiego kurhanu. Nic więcej. Hm. Podróż w czasie? Uśmiechnął się w duchu.

A jednak...

„Nie — pomyślał. — To szaleństwo”.

Nic się nie stanie, jeśli to sprawdzi. W książce wspomniano, że ów incydent miał miejsce w Anglii w roku 1894. Everard mógł zajrzeć do starych roczników londyńskiego „Timesa”. Nie miał nic innego do roboty... Dlatego właśnie przydzielono mu to nieciekawe zadanie, żeby jego znudzony umysł wszystko dokładnie zbadał.

Stanął na stopniach biblioteki publicznej dokładnie w chwili jej otwarcia.

Znalazł tam prasową relację pod datą 25 czerwca 1894 roku, do której nawiązywano przez kilka następnych dni. Addleton było wioską w hrabstwie Kent wyróżniającą się jedynie majątkiem z czasów Jakuba I, należącym do lorda Wyndhama, oraz kurhanem, którego wieku nikt nie znał. Lord Wyndham, zapalony archeolog — amator, prowadził tam wykopaliska wspólnie z niejakim Jamesem Rotherhithe'em, ekspertem z British Museum, jego dalekim krewnym. Odsłonił niedużą komorę grobową, a w środku znalazł kilka skorodowanych i rozpadających się wyrobów z żelaza oraz kości ludzkie i końskie. Znalazł tam również skrzynię w zaskakująco dobrym stanie, zawierającą sztaby z nieznanego metalu, przypuszczalnie ołowiu lub stopu srebra. Odkrywca znaleziska poczuł się wkrótce poważnie chory. Wystąpiły objawy charakterystyczne dla wyjątkowo ciężkiego zatrucia. Rotherhithe, który tylko zajrzał do wnętrza skrzyni, nie zachorował. Poszlaki wskazywały na to, że niepostrzeżenie dodał do posiłku lorda dawkę jakiejś tajemniczej azjatyckiej mikstury. Kiedy lord Wyndham zmarł dwudziestego piątego czerwca, Scotland Yard aresztował podejrzanego. Rodzina Rotherhithe'a wynajęła znanego prywatnego detektywa, który za pomocą wielce misternego rozumowania popartego testami na zwierzętach wykazał, że oskarżony jest niewinny i że śmierć nastąpiła w wyniku „śmiercionośnej emanacji” ze znalezionej w kurhanie skrzyni. Skrzynię wraz z całą zawartością wrzucono do kanału La Manche. Gratulacje dla wszystkich. Happy end i kurtyna.

Everard siedział spokojnie w długiej, cichej sali biblioteki. Gazetowa relacja nie wyjaśniała wielu spraw. Była jednak, musiał to przyznać, bardzo sugestywna.

Dlaczego jednak ludzie z wiktoriańskiego biura Patrolu nie przeprowadzili dochodzenia? A może mimo wszystko to zrobili? Prawdopodobnie tak. Oczywiście nie ogłosili rezultatów.

Po powrocie do domu wziął jedną z małych kapsułek komunikacyjnych, które otrzymał od Gordona, włożył do niej raport i zaprogramował ją, tak by dotarła do londyńskiego biura 25 czerwca 1894 roku. Kiedy nacisnął ostatni guzik, kapsułka zniknęła z cichym szumem z miejsca, gdzie stała.

Wróciła po kilku minutach. Everard otworzył ją i wyjął arkusz papieru formatu 12 na 15 cali pokryty starannym pismem maszynowym — tak, oczywiście, mniej więcej wtedy wynaleziono maszynę do pisania. Przebiegł pismo wzrokiem z szybkością, jaką nabył w Akademii.

„Szanowny Panie

W odpowiedzi na Pańskie pismo z 6 września 1954 roku proszę o potwierdzenie odbioru. Pragnę pochwalić Pańską pracowitość. U nas cała ta sprawa dopiero się zaczęła, a właśnie jesteśmy bardzo zajęci, by nie dopuścić do zabójstwa Jej Wysokości. Zajmujemy się też kwestią bałkańską, godnym pożałowania handlem opium z Chinami itd. Na pewno wkrótce załatwimy bieżące sprawy i powrócimy do wspomnianego problemu. Należy baczyć, by nie pojawić się w dwóch miejscach równocześnie, gdyż mogłoby to zostać zauważone. Dlatego bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby Pan i jakiś wykwalifikowany brytyjski agent przyszli nam z pomocą. Jeśli nie ma Pan nic przeciwko temu, będziemy Panów oczekiwać na Old Osborne Road 14B 26 czerwca 1894 roku o północy. Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

J. Mainwethering.”

Poniżej podano współrzędne czasoprzestrzenne, zupełnie nie harmonizujące z kwiecistym stylem listu.

Everard zatelefonował do Gordona, uzyskał zgodę na wyprawę w przeszłość i umówił się z nim, że odbierze chronocykl w magazynie „firmy”. Następnie natychmiast wysłał list do Charlie’ego Whitcomba, przebywającego w roku 1947, otrzymał w odpowiedzi tylko jedno słowo: „oczywiście” i poszedł po swój pojazd.

Pojazd przypominał motocykl pozbawiony kół. Miał dwa siodełka i silnik antygravitacyjny. Manse ustawił chronoregulatory na epokę Whitcomba, nacisnął główny guzik i znalazł się w innym magazynie.

Londyn w roku 1947. Everard siedział przez chwilę, myśląc, że w tym samym czasie, mając siedem lat mniej, chodzi do college’u w Stanach. Whitcomb ominął strażnika i wziął za rękę kolegę z Akademii Patrolu Czasu.

— Cieszę się, że znów cię widzę — powiedział na powitanie. Jego wychudłą twarz rozjaśnił dziwnie pogodny uśmiech, tak dobrze znany Everardowi. — Więc do Wiktorii, co?

— Tak sędzę. Wskakuj. — Everard ponownie nastawił chronometr. Tym razem znajdzie się w biurze. Bardzo dobrze zakonspirowanym biurze.

Przeniósł się tam w oka mgnieniu. Dębowe meble, puszysty dywan i jasne lampy gazowe wywierały nieoczekiwane duże wrażenie. Wprawdzie w tej epoce istniało już oświetlenie elektryczne, ale spółka „Dalhousie and Roberts” była solidną, konserwatywną firmą importową. Mainwethering wstał z krzesła i wyszedł im na spotkanie. Był grubym nadętym mężczyzną z krzaczastymi bokobrodami i monoklem w oku. Mimo to emanowały z niego energia i zdecydowanie; miał też tak doskonały oksfordzki akcent, że Everard z trudem go rozumiał.

— Dobry wieczór panom. Ufam, że mieliście przyjemną podróż. Ach tak... przepraszam, panowie są nowicjuszami w naszym zawodzie, nieprawdaż? Na początku zawsze budzi to w nas lekki niepokój. Pamiętam, jak zaszokowała mnie wizyta w dwudziestym pierwszym wieku. Wcale

nie jest brytyjski... Lecz to tylko *res naturae*, odmienne oblicze wszechświata, który zawsze nas zaskakuje, czyż nie? Musicie mi wybaczyć niedostatek gościnności, ale naprawdę jesteście strasznie zajęci. Pewien fanatyczny Niemiec dowiedział się w 1917 roku o podróżach w czasie od pewnego nieostrożnego antropologa, ukradł jego pojazd i przybył do Londynu z zamiarem zamordowania Jej Wysokości. Diabelnie trudno go znaleźć.

— Czy wam się to uda? — zapytał Whitcomb.

— Och, tak. To piekielnie ciężka praca, panowie, zwłaszcza że musimy działać dyskretnie. Chciałbym zaangażować prywatnego detektywa, lecz jedyny wartu zachodu jest stanowczo zbyt przenikliwy. Działa wedle zasady, że jeśli wyeliminowało się to, co niemożliwe, wówczas to, co pozostało, musi być prawdziwe, nawet gdyby wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. A podróże w czasie mogą mu się wydać całkiem możliwe.

— Założę się, że to ten sam człowiek, który zajmuje się tajemniczym znaleziskiem z Addleton albo zajmie się nim jutro — rzekł Everard. — Ale to nieważne. Wiemy, że dowiedzie niewinności Rotherhithe'a. Liczy się tylko prawdopodobieństwo, że w czasach starożytnych Brytów ktoś odprawiał czary.

— Masz chyba na myśli Anglosasów — poprawił go Whitcomb, który sprawdził informację znalezioną przez Everarda. — Wiele ludzi myli Brytów z Anglosasami.

— Prawie tyle samo myli Anglosasów z Jutami — dodał uprzejmie Mainwethering. — O ile pamiętam, Kent najechali przybysze z Jutlandii... Aha. Hm. Tutaj są ubrania i pieniądze, panowie, jak również papiery, wszystko specjalnie dla was. Czasem wydaje mi się, że wy, agenci operacyjni, nie doceniacie ogromu pracy, którą musimy wykonać w naszych biurach, by przygotować nawet najmniejszą operację. — Chrząknął. — Przepraszam. Czy macie plan działania?

— Tak. — Everard zaczął zdejmować dwudziestowieczne ubranie. — Myślę, że tak. Obaj wiemy dostatecznie dużo o epoce wiktoriańskiej, żeby dać sobie radę. Będę jednak musiał pozostać Amerykaninem... widzę, że uwzględnił to pan w moich dokumentach.

Mainwethering miał ponurą minę.

— Jeżeli, jak panowie mówicie, wypadek z kurhanem został opisany w słynnym dziele literackim, zostaniemy zasypani setkami memoriałów. Wasz przybył pierwszy. Po nim nadeszły dwa inne, z 1923 i 1960 roku. O Boże, jakże chciałbym dostać pozwolenie na robota-sekretarkę!

Everard ubierał się niezdarnie. Dziewiętnastowieczny garnitur pasował na niego, gdyż w biurze znano jego wymiary. Nigdy jednak nie doceniał względnej swobody ruchów, jaką zapewniały stroje z jego epoki. Do diabła z tą kamizelką!

— Proszę posłuchać — powiedział. — Ta sprawa może okazać się całkiem błaha. W istocie rzeczy, skoro teraz tutaj jesteście, musiała być błaha, prawda?

— Jak dotąd tak — odrzekł Mainwethering. — Proszę się jednak zastanowić. Udajecie się panowie do czasów panowania Jutów i znajdujecie marudera, lecz ponosicie porażkę. Może was zastrzeli, zanim wy zdążycie go zastrzelić. Być może urządza zasadzki na tych, których po niego posyłamy. Później zaś zapoczątkuje rewolucję przemysłową lub zrealizuje jakiś inny pomysł. Historia się zmieni, wy zaś, ponieważ należycie do epoki poprzedzającej moment zmiany, nadal będziecie istnieć... choćby jako trupy... ale my nigdy się nie urodzimy. Tej rozmowy nigdy nie będzie. Jak to ujął Horacy...

— Niech się pan tym nie przejmuj! — roześmiał się Whitcomb.

— Najpierw zbadamy kurhan, w tym roku, a później wrócimy i postanowimy, co robić dalej. — Pochylił się i zaczął przekładać sprzęt z dwudziestowiecznej walizki do monstrialnej płócienną walizy w kwiatki: kilka pistoletów, kilka przyrządów fizycznych i chemicznych nie znanych w jego epoce oraz miniaturową radiostację, przez którą mogliby w razie kłopotów wezwać centralę.

Mainwethering zajrzał do rozkładu jazdy pociągów.

- Musicie wyjechać jutro o 8.23 z Charing Cross — powiedział.
- Będziecie potrzebowali jakieś pół godziny na dojazd do stacji.
- W porządku.

Everard i Whitcomb ponownie wsiedli na chronocykl i zniknęli. Mainwethering westchnął, ziewnął, wydał dyspozycje swojemu podwładnemu i udał się do domu. Właśnie ten urzędnik był w biurze, gdy o 7.45 pojazd czasu się zmaterializował.

4

W drodze na stację Everard w pełni uświadomił sobie realność podróży w czasie. Dotąd znał ją tylko od strony teorii i choć był pod głębokim wrażeniem, uważał ją za coś egzotycznego, gdyż nie miał okazji jej przeżyć. Teraz zaś, jadąc w dwukołowej dorożce przez nie znany mu Londyn (nie w zachowanym gwoli uciechy turystów zabytku, ale w prawdziwym powozie, zakurzone i nieco odrapanym), wdychając powietrze bardziej niż w dwudziestym wieku przesycone dymem, ale całkowicie wolne od spalin, widząc tłumy zaaferowanych przechodniów — dżentelmenów w melonikach i cylindrach, usmolonych robotników, kobiet w długich sukniach, nie aktorów, lecz realnych, zajętych swoimi sprawami, rozmawiających, pocących się i śmiejących ludzi — naprawdę poczuł, że jest tutaj. W tej chwili jego matki nie było jeszcze na świecie, jego dziadkowie niedawno się pobrali, Grover Cleveland był prezydentem Stanów Zjednoczonych, królowa Wiktoria panowała w Anglii, Kipling pisał swoje powieści, a ostatnie indiańskie powstanie w Ameryce miało dopiero wybuchnąć. Poczul się tak, jak gdyby został uderzony obuchem w głowę.

Whitcomb przyjął wszystko spokojniej, ale nie odrywał oczu od otoczenia, obserwując ten dzień chwały Imperium Brytyjskiego.

— Zaczynam rozumieć — mruknął. — Potomni nigdy nie zdołali ustalić, czy była to epoka nienaturalnych przestarzałych konwenansów i ledwie zawoalowanej brutalności, czy też ostatni okres rozkwitu cywilizacji zachodniej, po którym zaczęła się ona chylić ku upadkowi. Widząc te tłumy przechodniów, zdaje sobie sprawę, że epoka wiktoriańska zawierała wszystko, co o niej powiedziano, tak dobrego jak złego, ponieważ złożyły się na nią miliony bardzo różnych ludzkich losów.

— Oczywiście — odparł Everard. — Na pewno można to samo powiedzieć o każdym innym stuleciu.

Pociąg wydał im się znajomy, gdyż wagony niewiele się różniły od tych z roku 1954, co dało Whitcombowi okazję do wygłoszenia ironicznych uwag na temat świętej tradycji. Po kilku godzinach wysiedli na senniejszej wiejskiej stacyjce, otoczonej wypielęgnowanymi ogrodami, gdzie wynajęli powozik, który miał ich zawieźć do majątku Wyndham.

Uprzejmy policjant wpuścił ich do środka po kilku wstępnych pytaniach. Podawali się za archeologów — Everard miał pochodzić z Ameryki, Whitcomb zaś z Australii — którzy gorąco pragnęli spotkać się z lordem Wyndhamem i doznali wstrząsu na wieść o jego tragicznej śmierci. Mainwethering, który zdawał się mieć wszędzie kontakty, zaopatrzył ich w listy polecające od pewnej znanej osobistości z British Museum. Inspektor ze Scotland Yardu pozwolił im obejrzeć kurhan.

— Sprawa została wyjaśniona, panowie — powiedział. — Nie ma więcej poszlak, nawet jeśli mój kolega się z tym nie zgadza, ha, ha!

Prywatny detektyw uśmiechnął się kwaśno i zmrúżywszy oczy, przyglądał się „archeologom”, gdy podeszli do kurhanu. Był wysoki i chudy i miał ostre rysy twarzy. Towarzyszył mu krzepki, wąsaty, kulejący mężczyzna, który wyglądał na jego sekretarza.

Kurhan był długi i wysoki, porośnięty trawą z wyjątkiem miejsca, gdzie zaczynał się wykop prowadzący do komory grobowej. Niegdyś komora była wyłożona niezdarnie ociosanymi belkami, ale te już dawno runęły; resztki zbutwiałego drewna leżały przemieszane z ziemią.

— Gazety wspominały o metalowej skrzyni — powiedział Everard. — Czy moglibyśmy rzucić na nią okiem?

Inspektor przyzwolił ruchem głowy i zaprowadził ich do przybudówki, gdzie na stole leżały najważniejsze znaleziska. Oprócz skrzyni były tam tylko kawałki skorodowanego metalu i odłamki kości.

— Hm — przerwał milczenie Whitcomb.

Spojrzał w zamyśleniu na gładkie wieko niewielkiej skrzynki. Lśniła niebieskawo. Najwyraźniej wykonano ją z jeszcze nie odkrytego stopu odpornego na działanie czasu.

— To bardzo rzadkie. Wcale nie prymitywne. Można by pomyśleć, że zostało wyprodukowane, co?

Everard ostrożnie zbliżył się do stołu. Miał wyrobione pojęcie o zawartości znaleziska i zachowywał przezorność naturalną u człowieka żyjącego w epoce atomowej. Wyciągnął z walizki jakiś licznik i skierował go na skrzynkę. Jego wskazówka wychyliła się wprawdzie niewiele, ale...

— Ma pan interesującą rzecz — powiedział inspektor. — Czy mogę zapytać, co to takiego?

— Eksperymentalny elektroskop — skłamał Everard.

Ostrożnie podniósł wieko i umieścił licznik we wnętrzu skrzynki.

Na Boga! W środku radiacja była tak silna, że mogła zabić człowieka w jeden dzień! Zanim zatrzasnął wieko, dostrzegł tylko ciężkie zmatowiałe sztaby.

— Uważajcie z tym — powiedział drżącym głosem. — Dzięki Bogu, że ktoś, kto miał ze sobą ten piekielny ładunek, pochodził z epoki, w której umiano blokować radiację!

Prywatny detektyw bezszelestnie podszedł do nich od tyłu. W jego przenikliwych oczach błysnęła zawodowa ciekawość.

— Więc rozpoznał pan zawartość? — zapytał spokojnie.

— Tak. Myślę, że tak. — Everard przypomniał sobie, że Becquerel odkryje zjawisko promieniotwórczości dopiero za dwa lata i że upłynie ponad rok, zanim wyjdzie na jaw istnienie promieni X. Musiał zachować ostrożność. — To znaczy... na ziemiach zamieszkałych przez Indian słyszałem opowieści o podobnym kruszcu, który jest silnie trujący...

— To bardzo interesujące. — Detektyw zaczął nabijać fajkę z wielkim cybuchem. — Czy tak jak pary rtęci?

— Czyżby Rotherhithe umieścił tę skrzynkę w grobowcu? — mruknął inspektor.

— Niech pan nie będzie śmieszny! — warknął detektyw. — Dysponuję trzema niezbitymi dowodami, że Rotherhithe jest niewinny. Zaintrygował mnie prawdziwy powód śmierci jego lordowskiej mości. Jeżeli, jak mówi ten pan, w kurhanie ukryto śmiertelną truciznę... może żeby odstraszyć rabusiów? Zastanawiam się jednak, jak starożytni Anglosasi zdobyli amerykański minerał. Może jest jakieś źdźbło prawdy w opowieściach o podróżach Fenicjan przez Atlantyk. Przeprowadziłem badania, by sprawdzić moją hipotezę, iż w języku walijskim występują chaldejskie naleciałości, a to odkrycie zdaje się ją potwierdzać.

Everarda ogarnęły wyrzuty sumienia na myśl o zamieszczeniu, jakie wywołał w archeologii. Powiedział sobie jednak w duchu, że skrzynka zostanie wrzucona do kanału La Manche i wszyscy o niej zapomną. Razem z Whitcombem wymówili się najwcześniej jak mogli i opuścili stróżów prawa.

W drodze powrotnej do Londynu, gdy siedzieli w przedziale sami, Anglik wyjął kawałek zbutwiałego drewna.

— Wsunąłem to do kieszeni przy kurhanie — wyjaśnił. — Pomoże nam ustalić datę. Czy mógłbyś podać mi licznik radiowęglowy? — Umieścił drewno w urządzeniu, pokręcił kilkoma gałkami i odczytał wynik. — Tysiąc czterysta trzydzieści lat z dokładnością do dziesięciu. Kurhan został więc usypany około... hm... 464 roku n.e., kiedy Jutowie zaczęli się osiedlać w hrabstwie Kent.

— Jeżeli tamte sztaby są tak piekielnie niebezpieczne po tylu latach — mruknął Everard — zastanawiam się, jakie były na początku. Trudno sobie wyobrazić niezwykle aktywną substancję o tak długim okresie półrozpadu, ale w przyszłości być może wyczynia się z atomami rzeczy, które nawet się nie śnią moim współczesnym.

Złożywszy raport Mainwetheringowi, spędzili następny dzień zwiedzając miasto, podczas gdy kierownik centrali wysłał listy poprzez czas i uruchomił wielką maszynę Patrolu. Wiktoriański Londyn bardzo zainteresował, a nawet zafascynował Everarda pomimo biedy i brudu. Whitcomb miał zamyślane oczy.

— Chciałbym tu zamieszkać — powiedział.

— Taak? Przy ich medycynie i stomatologii?

— I bez bomb. — W głosie Anglika zabrzmiała wyzywająca nuta.

Mainwethering właśnie zakończył przygotowania, gdy powrócili do jego biura. Paląc cygaro i chodząc po pokoju z rękami założonymi do tyłu, opowiedział im całą historię.

— Metal zidentyfikowano z dużym stopniem prawdopodobieństwa. To paliwo izotopowe z okolic trzydziestego wieku. Kontrola wykazała, że pewien kupiec z cesarstwa Ing przybył do roku 2987, żeby wymienić swoje surowce na syntrop, którego receptura zaginęła w okresie bezkrólewia. Naturalnie przedsięwziął środki ostrożności i próbował podawać się za kupca z systemu Saturna, ale mimo to zniknął, podobnie jak jego kapsuła czasu. Prawdopodobnie ktoś go rozszyfrował i zamordował, żeby zawładnąć jego maszyną. Patrol został powiadomiony, lecz kapsuła zniknęła bez śladu. Wreszcie dostarczyli ją z piątowiecznej Anglii dwaj agenci Patrolu — odchrząknął — Everard i Whitcomb.

— Jeśli już się nam powiodło, to nie ma się czym martwić — powiedział Amerykanin, uśmiechając się szeroko.

Mainwethering wyglądał na zaszokowanego.

— Ależ drogi młodzieńcze! Jeszcze się panu nie udało. Dopiero musi pan wykonać to zadanie według pańskiego i mojego odczucia czasu. I proszę nie uważać, że sukces jest z góry przesądzony tylko dlatego, że został odnotowany w historii. Czas nie jest sztywny, a ludzie mają wolną wolę. Jeśli się panu nie powiedzie, historia się zmieni i pański sukces nigdy nie zostanie w niej zarejestrowany. A ja panu o tym nie powiem. Na pewno tak się stało, o ile wolno mi użyć sformułowania „stało się”, w nielicznych wypadkach, kiedy Patrol poniósł porażkę. Nadal pracujemy nad tymi przypadkami i kiedy wreszcie nasze starania zostaną uwieńczone powodzeniem, historia się zmieni i okaże się, że było tak „zawsze.” *Tempus non nascitur, fit*, jeśli mogę sobie pozwolić na niewielką parafrazę.

— W porządku, w porządku, tylko żartowałem — bronił się Everard. — Bierzmy się do roboty. *Tempus fugit* — dodał, rozmyślnie akcentując „g”, i Mainwethering skrzywił się.

Niebawem okazało się, że nawet Patrol niewiele wiedział o okresie wczesnego średniowiecza, gdy Rzymianie opuścili Brytanię, rzymsko-brytyjska cywilizacja chyliła się ku upadkowi, a późniejsi Anglicy zasiedlali wyspę. Okres ten nigdy nie wydawał się szczególnie ważny. Londyńska centrala z roku 1000 przysłała wszystkie posiadane przez nią materiały łącznie ze strojami, które mogły od biedy ująć. Everard i Whitcomb przespali godzinę pod hipnoedukatorami

i obudzili się z dobrą znajomością łaciny, kilku dialektów saksońskich i jutyjskich oraz obyczajów swoich dalekich przodków.

Ubrania okazały się bardzo niewygodne: spodnie, koszule, kaftany z szorstkiej wełny i skórzane opończe, jednym słowem nie kończąca się kolekcja sznurków i rzemyków. Długie jasne peruki przykryły współczesne fryzury; brak zarostu nie budził zdziwienia nawet w piątym wieku. Whitcomb dzierżył topór, Everard zaś miecz. Ich broń była wykonana z twardej stali. Bardziej jednak ufali paralizatorom ukrytym pod kaftanami. Wprawdzie nie dostali zbroi, lecz w pojemniku przy siodelku pojazdu schowali parę motocyklowych hełmów. Nie powinny zwrócić niczyjej uwagi w czasach, gdy uzbrojenie produkowano metodami chałupniczymi, a były znacznie wytrzymalsze i wygodniejsze niż ich odpowiedniki z epoki. Zapakowali też kanapki i kilka glinianych dzbanków z wysmienitym wiktoriańskim piwem.

— Doskonale. — Mainwethering spojrział na zegarek i rzekł: — Będę oczekiwał waszego powrotu o... powiedzmy o czwartej. Będzie mi towarzyszyć kilku uzbrojonych strażników na wypadek, gdybyście przywieźli więźnia. Później pójdziemy na herbatę. — Uścisnął im ręce. — Pomyślnych łowów!

Everard wskoczył na chronocykl, ustawił regulatory, tak by znaleźć się w roku 464 w Addleton Barrow w środku letniej nocy, i nacisnął guzik.

5

Była pełnia księżyca. Wielka i pusta kraina rozciągała się aż po przesłoniętą ciemną smugą lasu linię horyzontu. Zawył wilk. Kurhan już stał; przybyli za późno.

Włączywszy antygravitację, przelecieli nad gęstym, mrocznym lasem. W odległości mili od kurhanu leżała jakaś osada — spory drewniany dwór i kilka mniejszych chat okalających podwórzec. W skąpanej w księżycowym blasku okolicy panował zupełny spokój.

— Pola uprawne — zauważył Whitcomb ściszoneg głosem. — Wiesz, że Jutowie i Sasi byli przede wszystkim rolnikami i przybyli tu w poszukiwaniu ziemi. Przypuszczam, że przed kilku laty wymietli stąd Brytów.

— Musimy dowiedzieć się czegoś o tamtym grobowcu — powiedział Everard. — Czy cofniemy się i ustalimy datę powstania kurhanu? Nie, może bezpieczniej będzie zapytać teraz, po fakcie, kiedy wygasły związane z tym emocje. Powiedzmy jutro rano.

Whitcomb skinął głową. Everard sprowadził pojazd na ziemię, ukrył go w krzakach i przeniósł się o pięć godzin w przyszłość. Słońce świeciło oślepiająco na północnym wschodzie, rosa lśniła na wysokiej trawie, a ptaki wypełniały powietrze piekielną wrzawą. Agenci zsiadli z chronocykla i błyskawicznie posłali go do góry. Zawisł szesnaście kilometrów nad ziemią, skąd miał przybyć na sygnał wysłany z umieszczonych w hełmach nadajników.

Nie kryjąc się, podeszli do niewielkiej osady. Płazami miecza i topora odganiaли warczące psy o dzikim wyglądzie. Para nagich rozczochranych dzieciaków gapila się na nich z chaty wzniesionej z wikliny oblepionej gliną. Dziewczyna, siedząca na zewnątrz i dojąca małą krowę, wydała cichy okrzyk. Lejący pomyje dla świń potężnie zbudowany parobek o niskim czole chwycił za włócznię. Marszcząc nos, Everard pomyślał, że niektórzy piewcy „szlachetnego Nordyka” z jego stulecia powinni odwiedzić tę osadę.

W drzwiach dworu pojawił się siwobrody mężczyzna z toporem w dłoni. Podobnie jak wszyscy jemu współcześni był o kilka cali niższy od przeciętnego człowieka z dwudziestego wieku. Przyjrzał się uważnie przybyszom, zanim ich pozdrowił.

Everard uśmiechnął się i powiedział uprzejmie:

— Jestem Uffa, syn Hundiga, a mój brat ma na imię Knubbi. Jesteśmy kupcami z Jutlandii i przyплыnęliśmy z towarami do Canterbury (podał ówczesną nazwę miasta — Cant-wara-brig). Wędrując po okolicy, oddaliliśmy się od miejsca, gdzie nasz statek rzucił kotwicę i zgubiliśmy drogę. Po całonocnym błędzeniu znaleźliśmy twój dom.

— Zwą mnie Wulfnoth, syn Elfreda — odpowiedział kmieć. — Wejdźcie i posilcie się z nami.

Dwór był duży, ciemny i zadymiony. Wypełniał go rozgadany tłum: dzieci Wulfnotha, ich żony i dzieci, słudzy i ich żony, dzieci i wnuki. Na śniadanie podano na pół ugotowaną wieprzowinę w wielkich drewnianych misach. Popijano ją cienkim kwaśnym piwem podawanym w rogach. Nietrudno było nawiązać rozmowę: gościnni Jutowie odznaczyli się, charakterystyczną dla żyjących na odludziu wieśniaków, gadatliwością. Kłopot agentów polegał na wymyśleniu wiarygodnej opowieści o tym, co działo się w Jutlandii. Raz czy dwa Wulmoth, który nie był głupcem, przyłapał ich na jakiejś nieścisłości, ale Everard oświadczył stanowczo:

— Słyszałeś kłamliwe wieści. Wiadomości zmieniają postać, kiedy docierają na drugi brzeg morza. — Everarda zdziwiły kontakty, które Jutowie nadal utrzymywali ze starym krajem. Mimo wszystko jednak rozmowa o pogodzie i zbiorach nie różniła się zbytnio od tych rozmów, jakie słyszał na Środkowym Zachodzie.

Dopiero znacznie później Manse zdołał zapytać o kurhan. Wulmoth spochmurniał, a jego pulchna bezzębna żona pospiesznie nakreśliła w powietrzu znak odzeganujący zło przed prymitywnym drewnianym bożkiem.

— Niedobrze jest mówić o takich sprawach — mruknął stary Jut. — Wolałbym, żeby tamtego czarownika nie pochowano na mojej ziemi, ale przyjaźnił się z moim ojcem, który umarł w zeszłym roku i o niczym innym nie chciał słyszeć.

— Czarownik? — Whitcomb nastawił uszu. — Co to za historia?

— No cóż, mogę wam o nim opowiedzieć — odparł mrukliwie Wulmoth. — Był cudzoziemcem imieniem Stane, który pojawił się w Canterbury jakieś sześć lat temu. Musiał przybyć z bardzo daleka, ponieważ nie znał ani języka Anglów, ani Brytów. Nauczył się tych języków szybko, gdy król Hengist przyjął go w gościnę. Stane wręczył swojemu gospodarzowi dziwne, lecz bogate dary, a później został nawet jego doradcą. Był bardzo przebiegły i król coraz częściej polegał na jego zdaniu. Nikt nie ośmielił się stanąć mu na drodze, gdyż miał różdżkę miotającą pioruny. Widziano, jak rozłupywał nią skały, a pewnego razu podczas bitwy z Brytami spopielił ludzi. Niektórzy sądzili, że to sam Woden^{*}, ale nie mógł nim być, ponieważ umarł.

— Ach, tak. — Everarda ogarnęła chęć działania. Pytał jednak dalej: — A co ten Stane zrobił za życia?

— Och... jak już powiedziałem, dawał królowi mądre rady. Był zdania, że my z Kentu nie powinniśmy wypierać Brytów i przyzywać coraz więcej naszych współplemieńców ze starego kraju, lecz zawrzeć pokój z tubylcami. Sądził, że przy naszej sile i ich rzymskiej wiedzy moglibyśmy stworzyć wspólnie potężne państwo. Może miał rację, chociaż osobiście uważam, że te wszystkie księgi i kapiele nie na wiele się przydają, nie mówiąc już o tym ich dziwnym ukrzyżowanym bogu... W każdym razie jacyś nieznajomi zabili go dwa lata temu i pochowano go tutaj z ofiarami i wszystkimi rzeczami, których nie ukradli jego wrogowie. Składamy mu ofiary dwa razy w roku i muszę powiedzieć, że jego duch nie sprawiał nam kłopotów, lecz mimo wszystko nie daje mi to spokoju...

— Trzy lata temu, co? — szepnął Whitcomb. — Rozumiem...

* Woden (Odyn) — najwyższy bóg w mitologii germańskiej. (Przyp. tłum.)

Wymówienie się zabrało im dobrą godzinę. Wulfhoth wysłał z nimi chłopca, żeby zaprowadził ich nad rzekę. Everard, który nie zamierzał iść tak daleko, uśmiechnął się szeroko i sprowadził na dół chronocykl. Kiedy agenci zajęli miejsca, Manse powiedział do osłupiałego młodzika: — Wiedz, że gościliście u siebie Wodena i Thunora*, którzy będą odtąd strzec twoich bliskich przed nieszczęściami. — Następnie cofnął się w czasie o trzy lata.

— Teraz czeka nas najtrudniejsze zadanie — powiedział, spoglądając zza krzaków na uśpioną osadę Wulfhotha.

Kurhanu jeszcze nie było, co oznaczało, że czarownik Stane wciąż żył.

— Łatwo jest urządzać pokaz magii dla dzieciaka, ale musimy wywabić tego typu z dużego miasta, gdzie jest prawą ręką króla. W dodatku ma miotacz.

— Najwyraźniej nam się powiodło albo powiedzie — odparł Whitcomb.

— Wcale nie. Wiesz, że to nie jest nieodwołalne. Jeżeli przegramy, za trzy lata Wulfhoth opowie nam inną historię, pewnie taką, że Stane wciąż tam przebywa — przecież on może zabić nas dwukrotnie! A Anglia, w której po wiekach ciemnoty zapanowała kultura neoklasyczna, rozwinie się w taki sposób, że nie poznasz jej w roku 1894. Zastanawiam się, o co chodzi temu Stane'owi.

Poderwał pojazd i skierował go do Canterbury. Nocny wiatr smagał jego policzki. Kiedy znaleźli się w pobliżu miasta, Everard wylądował w zagajniku. Księżyc srebrzył na poły zrujnowane mury rzymskiego Durowernum, wydobywając z mroku łąty z ziemi i drewna, za których pomocą Jutowie naprawili miejskie umocnienia. Nikt nie mógł wejść do miasta po zachodzie słońca.

Ponownie zatrzymali chronocykl w biały dzień, około południa, po czym posłali go w niebo. Everardowi leżało na żołądku zjedzone przed dwiema godzinami — i zarazem przed trzema laty — niesmaczne śniadanie. Weszli na niszczącą rzymską drogę i podążyli w stronę Canterbury. Droga okazała się ruchliwa. Poruszali się po niej głównie wieśniacy wiozący żywność na jarmark skrzypiącymi prymitywnymi wozami. W bramie zatrzymali ich dwaj wartownicy o groźnych minach i zapytali, czego szukają w mieście. Tym razem agenci Patrolu podali się za pełnomocników pewnego kupca z Thanetu, który wysłał ich na spotkanie z tutejszymi rzemieślnikami. Dragale nadal spoglądali na nich nieufnie, póki Whitcomb nie wcisnął im do rąk kilku rzymskich monet. Dopiero wtedy strażnicy opuścili włócznie i pozwolili im wejść.

W mieście zaskoczyła ich wrzawa i krzątania, ale największe wrażenie wywarł na Everardzie wszechobecny smród. Wśród przepychających się Jutów dostrzegali od czasu do czasu zromanizowanego Bryta, który kroczył ostrożnie, starając się nie wpaść w błoto i pogardliwie obciągał wytartą tunikę, żeby nie dotknąć żadnego z otaczających go dzikusów. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było patetyczne.

Zatrzymali się w niezwykle brudnej karczmie mieszczącej się w omszałych ruinach, które niegdyś były miejską rezydencją bogatego Rzymianina lub Bryta. Everard i Whitcomb przekonali się, że w kraju, gdzie dominuje handel wymienny, ich pieniądze mają wielką wartość. Postawiwszy kilka kolejek, uzyskali wszystkie potrzebne im informacje. Dwór króla Hengista znajdował się w pobliżu centrum miasta... właściwie nie prawdziwy dwór, lecz stary budynek, który został — ku powszechnemu ubolewaniu — upiękuszony pod kierunkiem tego cudzoziemca, Stane'a... Nie znaczy to, że nasz zacny i dzielny król jest jakimś zniewieściałcem, nie zrozum mnie źle, przybyszu... przecież tylko w ostatnim miesiącu... Och, tak, Stane! Mieszka w domu tuż obok królewskiego dworu. Dziwny z niego jegomość, niektórzy mówią, że to jakiś bóg... na pewno lubi dziewczęta... Tak, mówiono, że to on stał za tymi wszystkimi rozmowami

* Thunor (Thor) — germański bóg piorunów, pogody i zbiorów. (Przyp. tłum.)

pokojuowymi z Brytami. Każdego dnia coraz więcej tych gogusiów przenosi się do miasta i porządny człowiek nie może już upuścić trochę krwi bez... Oczywiście, Stane jest bardzo mądry, zrozum, nie powiedziałbym o nim złego słowa, ostatecznie potrafi miotać błyskawice...

— Więc co robimy? — spytał Whitcomb, kiedy wrócili do swojej izby w karczmie. — Pójdziemy i aresztujemy go?

— Nie, wątpię, czy to możliwe — odparł ostrożnie Everard — Mam pewien plan, ale wszystko zależy od tego, czy odgadniemy prawdziwe zamiary tego „czarownika”. Zobaczmy, czy udzieli nam audiencji. — Wstał z wypchanego słomą siennika, który zastępował łóżko, i zaczął się drapać. — Do diabła! Ta epoka nie potrzebuje upowszechnienia umiejętności pisania i czytania, tylko proszku na pchły! — warknął.

Dom Stane’a został starannie odnowiony, a jego biała fasada z portykiem wydawała się nienaturalnie czysta w porównaniu z brudnym otoczeniem. Dwaj rozwaleni na schodach strażnicy natychmiast się ożywili na widok zbliżających się agentów. Everard obdarował ich pieniędzmi i powiedział, że jest przybyszem przynoszącym ważne wieści dla wielkiego czarownika.

— Powiedźcie mu „człowiek z przyszłości”. To jest hasło. Zrozumieliście?

— Ono jest bez sensu — poskarżył się jeden ze strażników.

— Hasła nie muszą mieć sensu — odparł wyniośle Everard.

Żołnierz oddalił się, szcękając bronią i kręcąc głową. Te wszystkie nowomodne pomysły!

— Czy jesteś pewien, że mądrze postąpiłeś? — zapytał Whitcomb. — Wiesz, że teraz będzie się miał na baczności.

— Wiem także, że ważna osobistość nie będzie traciła czasu dla każdego cudzoziemca. To sprawa nie cierpiąca zwłoki, chłopie! Jak dotąd nie dokonał niczego specjalnego, by przejść do legendy, ale gdyby Hengist rzeczywiście zjednoczył się z tymi Brytami...

Strażnik wrócił, mruknął coś pod nosem i poprowadził ich po schodach, a później przez perystyl. Dalej znajdowało się atrium, spore pomieszczenie, w którym dywany z niedźwiedziej skór kontrastowały z obtłuczonymi marmurami i wyblakłymi mozaikami. Jakiś mężczyzna czekał na nich, stojąc obok prymitywnego drewnianego łóżka. Kiedy weszli, podniósł rękę i Everard ujrzał smukłą lufę trzydziestowiecznego miotacza.

— Trzymajcie ręce tak, żebym je widział, z dala od boków — powiedział cicho. — Inaczej być może będę zmuszony porazić was piorunem.

Przerażony Whitcomb głośno wciągnął powietrze do płuc, ale Everard spodziewał się takiego przyjęcia. Mimo to poczuł ucisk w dołku.

Czarownik Stane był niskim mężczyzną, ubranym w piękną haftowaną tunikę, która musiała pochodzić z jakiejś brytyjskiej willi. Miał gibkie ciało, dużą głowę z bujną czarną czupryną i sympatyczną brzydką twarz. Jego usta były wykrzywione w sztucznym uśmiechu.

— Obszukaj ich, Eadgarze! — rozkazał. — Wyjmij wszystko, co mogą ukrywać w ubraniach.

Jut zrewidował ich niezdarnie, ale znalazł dwa paralizatory i rzucił je na podłogę.

— Możesz odejść — powiedział Stane.

— Czy oni nie są niebezpieczni, panie? — zapytał żołnierz.

Stane uśmiechnął się jeszcze szerzej i odrzekł:

— Kiedy trzymam to w rękę? No, idź.

Eadgar wyszedł, powłócząc nogami.

„Przynajmniej nadal mamy topór i miecz — pomyślał Everard. — Chociaż nie na wiele się zdadzą, póki trzyma nas na muszce”.

— Więc przybyliście z przyszłości — mruknął Stane. Nagle na jego czoło wystąpił perlisty pot. — Zastanawiałem się, czy znacie późniejszy język angielski?

Whitcomb otworzył usta, ale Everard go uprzedził, improwizując w sytuacji zagrożenia:

— O jaki język ci chodzi?

— O taki. — Stane przeszedł na angielszczyznę. Miał dziwny akcent, lecz słowa pozostały zrozumiałe dla dwudziestowiecznych ludzi.

— Ja kce fiediecz, skód wy jezdecze, jake macze zamary i fszystko ine. Dafać fakty albo fas spale.

Everard pokręcił głową.

— Nie — odparł po jutyjsku. — Nie rozumiem cię. Whitcomb spojrział na niego pytająco, po czym uspokoił się, gotów pójść za przykładem Amerykanina. Manse wyteżył umysł. Rozpacz dodała mu odwagi, gdyż wiedział, że zapłaci życiem za pierwszą pomyłkę.

— W naszych czasach rozmawialiśmy tak... — I wyrecytował jakiś ustęp w meksykańskiej odmianie hiszpańskiego, przekręcając słowa na tyle, na ile starczyło mu śmiałości.

— Ach... język romański! — Oczy Stane'a zabłyśły. Miotacz zadrżał mu w dłoni. — Skąd jesteście?

— Z dwudziestego wieku po Chrystusie, a nasz kraj nazywa się Lyonesse. Leży po drugiej stronie Oceanu Zachodniego...

— Ameryka! — jęknął „czarownik”. — Czy kiedykolwiek nazywano go Ameryką?

— Nie, nie wiem, o czym mówisz.

Stane zadrżał na całym ciele. Zaraz jednak opanował się i zapytał:

— Czy znasz język Rzymian?

Everard przytaknął.

Stane roześmiał się nerwowo i rzekł:

— Więc porozmawiajmy w nim. Żebyś wiedział, jak mam dość tego lokalnego świńskiego narzecza... — mówił łamaną łaciną. Najwyraźniej nauczył się jej w tym stuleciu, ale można go było zrozumieć. Machnął miotaczem. — Przepraszam za nieuprzejmość, ale muszę uważać.

— Naturalnie — przytaknął Everard. — Ja... mam na imię Mencius, a mój przyjaciel nazywa się Iuvenalis. Tak jak odgadłeś, przybывamy z przyszłości. Jesteśmy historykami. W naszej epoce właśnie odkryto możliwość podróżowania w czasie.

— Właściwie nazywam się Rozher Schtein i pochodzę z roku 2987. Czy... czy o mnie słyszeliście?

— A o kimże innym, jak nie o tobie? — podchwycił Everard. — Przybyliśmy w poszukiwaniu tajemniczego Stane'a, który wyglądał na jedną z ważniejszych postaci w historii. Przypuszczaliśmy, że był podróżnikiem w czasie, czyli *peregrinus temporis*. Teraz wiemy.

— Trzy lata. — Schtein zaczął gorączkowo chodzić po atrium, wymachując miotaczem, ale był zbyt daleko, żeby mogli go zniecka zaatakować. — Jestem tu od trzech lat. Gdybyście wiedzieli, jak często spędzałem bezsenne noce, zastanawiając się, czy mi się powiedzie... Powiedzcie mi, czy wasz świat jest zjednoczony?

— Nasz świat i planety — odparł Everard. — Od dawna. — Poczul wewnętrzny dreszcz. Jego życie zależało od tego, czy zdoła przejrzeć plany Schteina.

— Czy jesteście wolnym ludem?

— Jesteśmy. To znaczy, cesarz przewodniczy, ale senat stanowi prawa i jest wybierany przez lud.

Na brzydkiej jak u gnoma twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego szczęścia, przeobrażając ją tak, że stała się niemal piękna.

— Marzyłem o tym — szepnął Schtein. — Dziękuję wam.

— Więc przybyłeś tu ze swojej epoki, żeby... stworzyć historię?

— Nie — odparł Schtein. — Żeby ją zmienić.

Wyrzucił z siebie potok słów, jak gdyby od dawna pragnął przemówić, lecz nie miał śmiałości.

— Ja także byłem historykiem. Przypadkiem spotkałem człowieka, który podawał się za kupca z księżyców Saturna, ale ponieważ kiedyś tam mieszkałem, odgadłem, że kłamał. Przeprowadziłem więc dochodzenie i poznałem prawdę. Był podróżnikiem w czasie i przybył z bardzo odległej przyszłości. Żyłem w strasznej epoce, a jako historyk — psychograf zdawałem sobie sprawę, że nekające ludzkość wojny, nędza i tyranie nie są pochodnymi naszego przyrodzonego zła, lecz powstają na mocy zwykłego związku przyczynowo — skutkowego. Cywilizacja techniczna narodziła się w świecie podzielonym na wrogie państwa i wojny stawały się coraz większe i bardziej destrukcyjne. Bywały okresy pokoju, niekiedy nawet dość długie, ale ta choroba zapaściła korzenie zbyt głęboko i konflikt stał się istotnym elementem naszej cywilizacji. Moja rodzina zginęła podczas wenusjańskiego ataku, nie miałem więc nic do stracenia. Zabrałem kapsułę czasu po... pozbyciu się... jej właściciela. Doszedłem do wniosku, że ten wielki błąd popełniono jeszcze we wczesnym średniowieczu. Rzym stworzył wielkie imperium i zapewnił mu pokój, a z pokoju zawsze może wyrosnąć sprawiedliwość. Niestety, Rzym wyczerpał swoje siły i zaczął się rozpadać. Napływający zewsząd barbarzyńcy byli pełni energii i mogli wiele zdziałać, lecz szybko ulegli zepsuciu. Istniała jednak jeszcze Anglia. Żyła w izolacji od gnijącej tkanki społecznej Cesarstwa Rzymskiego. Przybywali do niej Germanie, brudni głupcy, ale silni i garnący się do nauki. W mojej historii unicestwili oni cywilizację zromanizowanych Brytów, a później, ponieważ pod względem intelektualnym niczego sobą nie reprezentowali, wchłonęła ich inna zła cywilizacja zwana zachodnią.

Chciałem to poprawić. Nie przyszło mi to łatwo. Może się zdziwicie, ale jest niezwykle trudno przetrwać w obcej epoce, zanim zorientujecie się w sytuacji, nawet jeśli macie nowoczesną broń i interesujące dary dla króla. Cieszę się teraz szacunkiem Hengista i coraz większym zaufaniem Brytów. Mogę zjednoczyć oba ludy do walki z Piktami*. Anglia stanie się jednym królestwem — amalgamatem saskiej siły i rzymskiej wiedzy — wystarczająco potężnym, by odeprzeć wszystkich najeźdźców. Naturalnie nie obejdzie się bez chrześcijaństwa, ale dopilnuję, żeby było to odpowiednie chrześcijaństwo, takie, które będzie uczyło i cywilizowało ludzi, nie krepując ich umysłów. Z czasem Anglia opanuje kontynent europejski, a w dalszej przyszłości powstanie jeden świat. Pozostanę tutaj dostatecznie długo, żeby zmontować antypiktyjską ligę, po czym zniknę, obiecawszy powrócić później. Jeżeli będę się pojawiał, powiedzmy, co pięćdziesiąt lat przez najbliższe kilka stuleci, wówczas stanę się żywą legendą, bogiem, który dopilnuje, by został zachowany właściwy kierunek.

— Wiele czytałem o świętym Stanusie — powiedział powoli Everard.

— Więc zwyciężyłem! — zawołał Shtein. — Dałem światu pokój. — Strumienie łez popłynęły mu z oczu.

Everard zbliżył się do niego. Shtein wycelował miotacz w jego brzuch, nie ufając mu jeszcze całkowicie. Everard okrążył go niedbałym krokiem i niższy mężczyzna odwrócił się, żeby nadal trzymać go na muszce. Był jednak zbyt poruszony rzekomym potwierdzeniem powodzenia swojej misji, by pamiętać o Whitcombe. Everard, obejrzawszy się przez ramię, posłał Anglikowi porozumiewawcze spojrzenie.

Whitcomb cisnął toporem. Everard padł na podłogę. Shtein wrzasnął, a jego miotacz zaskwierczał. Topór rozplątał ramię „czarownika”. Whitcomb podbiegł i chwycił za rękę, w której Shtein trzymał broń. Manse rzucił się na pomoc koledze. Przez chwilę panowało zamieszanie.

Później miotacz znów wystrzelił i ciało Shteina nagle zaciążyło w rękach agentów. Na ich płaszcze trysnęła krew z paskudnej dziury w piersi doradcy Hengista.

* Piktowie — pierwotni mieszkańcy Szkocji. (Przyp. tłum.)

Nadbiegli dwaj strażnicy. Everard podniósł z podłogi paralizator i nastawił urządzenie na pełną moc. Włócznia drasnęła go w ramię. Wystrzelił dwukrotnie i barczyści mężczyźni osunęli się bezwładnie. Będą nieprzytomni przez wiele godzin.

Przykucnąwszy na chwilę, Amerykanin wyteżył słuch. Z dalszych pokoi dobiegł go kobiecy krzyk, ale nikt nie pojawił się w drzwiach.

— Sądzę, że wykonaliśmy zadanie — powiedział rwącym się głosem.

— Tak.

Whitcomb spojrział ponuro na leżące u jego stóp zwłoki. Wydawały się żałośnie małe.

— Nie chciałem jego śmierci — podjął Everard — ale czas jest... odporny. Przypuszczam, że to było mu pisane.

— Lepsze to niż sąd Patrołu i planeta karna — odparł Whitcomb.

— Formalnie rzecz biorąc, był złodziejem i mordercą — dodał Amerykanin — ale miał śmiałą wizję.

— A my ją zniszczyliśmy.

— Sama historia mogła ją zniszczyć i zapewne zrobiłaby to. Pojedynczy człowiek nie jest ani dość potężny, ani mądry, by coś takiego osiągnąć. Myślę, że większość nieszczęść, które nekają ludzkość, to sprawka takich jak on fanatyków mających jak najlepsze chęci.

— Więc siedźmy z założonymi rękami i czekajmy, co się stanie.

— Pomyśl o swoich przyjaciółach tam, w czterdziestym siódmym. Żaden z nich nigdy by nie istniał.

Whitcomb zdjął opończę i usiłował oczyścić nią ubranie z krwi.

— Ruszajmy — powiedział Everard.

Przebiegł przez tylny portal. Przerażona konkubina Schteina przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

Zniszczył miotaczem zamek w drzwiach jednego z pokoi. Znalazł tam kapsułę czasu z epoki Ing, kilka skrzynek z bronią i żywnością oraz kilka książek. Załadował to wszystko do kapsuły z wyjątkiem skrzynki z paliwem. Musiał ją zostawić, żeby w dalekiej przyszłości dowiedzieć się o jej istnieniu, a później cofnąć się w czasie i powstrzymać człowieka, który chciał stać się Bogiem.

— Czy możesz to zabrać do magazynu w 1894? — zwrócił się do towarzysza. — Ja wyruszę naszym pojazdem i spotkamy się w biurze.

Whitcomb obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Twarz miał ściągniętą ze zmęczenia. Po chwili jego oblicze stężało, jak gdyby podjął jakąś decyzję.

— W porządku, przyjacielu — odparł Whitcomb. Uśmiechnął się niemal z żalem i uściśnął rękę Everarda. — Do widzenia! Życzę ci szczęścia.

Wsiadł do szarego stalowego cylindra. Everard odprowadził go wzrokiem. Zdziwiły go te słowa, bo przecież za kilka godzin mieli pójść na herbatę w roku 1894.

Ogarnięty dziwnym niepokojem wyszedł z budynku i wmieszał się w tłum. Charlie był dziwnym jegomościem. No cóż...

Bez przeszkód opuścił miasto i zagłębił się w zaroślach. Sprowadził na dół chronocykl i mimo że powinien był się pospieszyć, gdyż ktoś mógł zauważyć, jaki to ptak siadł na ziemi, opróżnił dzbanek piwa. Bardzo tego potrzebował. Później po raz ostatni omiół spojrzeniem starodawną Anglię i przeniósł się do roku 1894.

Mainwethering i jego strażnicy byli na miejscu, tak jak zostało ustalone. Oficer zaniepokoił się na widok samotnego człowieka w zakrwawionym ubraniu, ale Everard szybko go uspokoił.

Everard umył się, zmienił ubranie i złożył szczegółowy raport sekretarzowi, co zajęło mu trochę czasu. Whitcomb powinien był już przybyć w odebranej Schteinowi kapsule, ale jak dotąd sienie pojawił. Mainwethering wezwał przez radio personel magazynu i odwrócił się z ponurą miną.

— Jeszcze go nie ma — powiedział. — Czy mogło się coś stać?

— Wątpię. Tamte kapsuły są nie do zepsucia. — Everard przygryzł wargę. — Nie wiem, o co chodzi. Może źle mnie zrozumiał i zamiast przybyć tutaj, udał się do roku 1947.

W wyniku wymiany depesz okazało się, że Whitcomb również i tam się nie zjawił. Mimo to Everard i Mainwethering poszli na herbatę. Kiedy jednak wrócili, nadal nie było śladu Whitcoma.

— Najlepiej zawiadomić ekspozyturę w terenie — powiedział Mainwethering. — Co ty na to? Powinni go znaleźć.

— Nie, zaczekaj. — Manse stał przez chwilę rozmyślając. Od jakiegoś czasu w jego umyśle kielkowało straszne podejrzenie.

— Czy się czegoś domyślasz?

— Tak. Mniej więcej. — Manse zaczął zdejmować wiktoriański garnitur. Ręce mu drżały. — Czy możesz mi przynieść moje dwudziestowieczne ubranie? Spróbuję sam go odnaleźć.

— Patrol zażąda wstępnego raportu na temat twoich planów — przypomniał mu Mainwethering.

— Do diabła z Patrolem! — odparł Everard.

6

Londyn, rok 1944. Zapadł wczesny zimowy wieczór i chłodny wiatr wył w ciemnych ulicach. Gdzieś rozległ się odgłos wybuchu i błysnął ogień. Wielkie czerwone sztandary ognia załopotwały nad dachami.

Manse zostawił swój pojazd na chodniku — kiedy na miasto spadały bomby, na ulicach było pusto — i poszedł po omacku w gęstym mroku. Siedemnasty listopada. Dzięki dobrze wyćwiczonemu umysłowi przypomniał sobie tę datę. Tego dnia zginęła Mary Nelson.

Na rogu znalazł budkę telefoniczną i zajrzał do spisu telefonów. Było tam wielu abonentów z nazwiskiem Nelson, ale tylko jedna Mary figurowała w rejonie Streatham. Oczywiście musiała to być matka dziewczyny. Jej córka prawdopodobnie nosiła takie samo imię. Nie miał pojęcia, o której godzinie zrzucono bombę, ale łatwo mógł się tego dowiedzieć.

Po wyjściu z budki został ogłuszony wyciem bomb i oślepiony blaskiem pożaru. Rzucił się na ziemię, a szkło rozprysło się w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Młodszy Manse Everard, porucznik saperów w armii USA, znajdował się teraz gdzieś po drugiej stronie kanału La Manche w pobliżu niemieckich armat. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie dokładnie przebywał w tym czasie, i nie zatrzymał się, żeby wyteńczyć pamięć. To nie miało znaczenia. Wiedział, że przeżyje tamto niebezpieczeństwo.

Nowy pożar rozgorzał za jego plecami, gdy biegł do swojego pojazdu. Wskoczył na siodelko i wzbil się w powietrze. Wysoko nad Londynem zobaczył tylko morze ciemności, z którego w różnych miejscach strzelały do góry płomienie. Noc Walpurgi i prawdziwe piekło na ziemi!

Dobrze pamiętał Streatham, dzielnicę ceglanych budynków zamieszkałych przez niższych urzędników, handlarzy jarzyn i mechaników. To właśnie oni, angielska drobna burżuazja, powstrzymali potęgę, która podbiła Europę. Żyła tam kiedyś pewna dziewczyna, w roku 1943... W końcu wyszła za kogoś innego.

Lecąc nisko, spróbował odnaleźć dom narzeczonej. Nie opodał wybuchł prawdziwy wulkan. Chronocykl zakołysał się w powietrzu i Everard o mało nie spadł z siodelka. Pospieszył w stronę zbombardowanego miejsca i zobaczył zburzony płonący budynek, oddalony zaledwie o trzy domy od miejsca zamieszkania Mary Nelson. Spóźnił się.

Nie! Sprawdził czas — właśnie była 22.30 — i cofnął się o dwie godziny. Nadal było ciemno, lecz dom stał cały. Zapragnął ostrzec jego mieszkańców. Nie, przecież ludzie umierali na całym świecie. Nie był Schteinem, żeby brać historię na swoje barki.

Uśmiechnął się krzywo, wylądował i przeszedł przez bramę. Nie był też cholernym Danellianinem. Zapukał do drzwi. Otworzyła mu kobieta w średnim wieku. Uświadomił sobie, że mógł ją zdziwić widok Amerykanina w cywilnym ubraniu.

— Przepraszam panią — powiedział. — Czy zna pani pannę Mary Nelson?

— Tak. — Kobieta zawahała się i dodała: — Mieszka w pobliżu i wkrótce ma do nas przyjść. Czy jest pan jej przyjacielem?

Everard skinął głową i odparł:

— Przysłała mnie tutaj z wiadomością dla pani... ach...

— Enderby.

— Właśnie, pani Enderby. Jestem strasznie zapominalski. Panna Nelson bardzo przeprasza, ale nie może przyjść. Chce jednak spotkać się z panią i całą pani rodziną o 22.30.

— Ze wszystkimi? Ależ dzieci...

— Oczywiście, dzieci także. Ze wszystkimi. Ma dla was prawdziwą niespodziankę, coś, co może wam pokazać tylko wtedy. Dlatego musicie pójść tam wszyscy.

— No... no dobrze, proszę pana, skoro Mary tak mówi.

— Wszyscy bez wyjątku o 22.30. Wtedy ponownie się zobaczymy, pani Enderby. — Everard skinął głową i wrócił na ulicę.

Zrobił, co mógł. Teraz musi udać się do domu Nelsonów. Minął trzy budynki, zaparkował pojazd w ciemnej alei i podszedł do upatrzonego domu. Popelniał tę samą zbrodnię co Schtein. Nawet nie wiedział, jak wygląda planeta karna.

Nie dostrzegł śladu kapsuły z epoki Ing, zbyt dużej, by można było ją ukryć. Więc Charlie jeszcze tu sienie zjawił. Do czasu jego przybycia będzie musiał kierować się intuicją.

Pukając do drzwi, zastanowił się, jaki wpływ na losy rodziny Enderby wywrze jego interwencja. Dzieci dorosną i same będą miały dzieci, na pewno takich samych przeciętnych Anglików z klasy średniej, ale może kiedyś w przyszłości ta rodzina wyda jakąś ważną postać, która tak czy inaczej przyszlaby na świat. Oczywiście czas nie jest giętki. Poza nielicznymi wyjątkami nie liczy się konkretny przodek, tylko cała ludzka skarbnica genów i społeczeństwo. Mógłby to jednak być jeden z owych rzadkich przypadków.

Otworzyła mu niewysoka młoda kobieta. Chociaż nikt nie nazwałby jej skończoną pięknnością, była naprawdę śliczna i ładnie wyglądała w swoim eleganckim mundurze.

— Czy panna Nelson?

— Tak.

— Nazywam się Everard. Jestem przyjacielem Charlie'ego Whitcomba. Czy mogę wejść? Mam dla pani dość zaskakującą nowinę.

— Właśnie miałam wyjść — powiedziało przepraszającym tonem.

— Nie, nie miała pani. — Niedobrze; dziewczyna zeszywniała z oburzenia.

— Przepraszam. Czy mogę wszystko wytłumaczyć?

Zaprowadziła go do szampaowego zagraconego saloniku.

— Proszę usiąść, panie Everard. Niech pan nie mówi zbyt głośno. Cała rodzina już śpi. Muszę wcześniej wstać.

Everard rozsiadł się wygodnie. Mary przycupnęła na brzegu kanapy, przyglądając mu się wielkimi oczami. Zastanowił się, czy jej przodkami byli również Wulfhoth i Eadgar. Tak... po tylu wiekach byli bez wątpienia. Może również Schtein.

— Czy służy pan w lotnictwie? — zapytała. — Czy tam spotkał pan Charlie'ego?

— Nie, jestem w wywiadzie i stąd to cywilne ubranie. Czy mogę zapytać, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Och, kilka tygodni temu. Teraz stacjonuje we Francji. Mam nadzieję, że wojna wkrótce się skończy. Niemcy głupio postępują walcząc. Przecież muszą wiedzieć, że przegrali, prawda? — Przechyliła lekko głowę i zapytała z ciekawością: — Jakie nowiny ma pan dla mnie?

— Dojdziemy do tego za chwilę. — Zaczął przeskakiwać z tematu na temat, opowiadając o warunkach panujących po drugiej stronie kanału La Manche. Czuł się dziwnie, wiedząc, że rozmawia z duchem. Nabyty w Akademii odruch warunkowy uniemożliwił mu powiedzenie prawdy; chciał to zrobić, ale kiedy spróbował, jego język skołowaciał.

— ...i ile kosztuje zdobycie butelki zwykłego czerwonego wina...

— Proszę pana — przerwała mu zniecierpliwiona. — Czy nie zechciałby pan przejść do rzeczy? Jestem umówiona dziś wieczorem.

— Och, przepraszam. Bardzo przepraszam. Widzi pani, to jest tak... Uratowało go stukanie do drzwi.

— Proszę mi wybaczyć — mruknęła dziewczyna i przeszła obok czarnych zasłon, żeby zobaczyć, kto puka. Everard poszedł za nią.

Mary cofnęła się z cichym okrzykiem:

— Charlie!

Whitcomb przytulił ją do siebie, nie zważając na świeżą krew nadal płamiącą jego jutyjskie przebranie. Everard wszedł do przedpokoju. Anglik spojrział na niego z przerażeniem:

— Ty tutaj...

Szybko sięgnął po paralizator, ale Everard go uprzedził.

— Nie bądź głupcem — powiedział Amerykanin. — Jestem twoim przyjacielem i chcę ci pomóc. Czy ty w ogóle miałaś jakiś plan, choćby najbardziej szalony?

— Ja... zatrzymać ją tutaj... przeszkodzić jej pójść do...

— I wydaje ci się, że oni nie zdołają cię odnaleźć? — Everard przeszedł na temporalny, jedyny język, którym mogli się porozumiewać w obecności przestraszonej Mary.

— Kiedy opuszczałem Mainwetheringa, nabierał coraz więcej podejrzeli. Jeżeli nie załatwimy tego w odpowiedni sposób, na pewno zaalarmują wszystkie jednostki Patrolu. Prawdopodobnie naprawią pomyłkę, zabijając twoją dziewczynę. Ty zaś zostaniesz zesłany.

— Ja... — Whitcomb przełknął ślinę. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia. — Ty... czy pozwoliłbyś, żeby tam poszła na pewną śmierć?

— Nie, ale musimy zachować ostrożność.

— Uciekniemy... znajdę jakąś epokę odległą od tego wszystkiego... jeśli będzie trzeba, wrócimy do ery dinozaurów.

Mary wysnęła się z jego objęć. Otworzyła usta, by krzyknąć.

— Zamknij się! — rozkazał jej Everard. — Twoje życie jest w niebezpieczeństwie i próbujemy cię uratować. Jeśli mi nie ufasz, to zaufaj Charlie'emu.

Odwróciwszy się ponownie do przyjaciela, kontynuował w mowie temporalnej:

— Posłuchaj, człowieku, nie ma takiej epoki, w której mógłbyś się ukryć. Mary Nelson zginęła dzisiejszej nocy. To już historia. Nie było jej w roku 1947. To też historia. Ja już się naraziłem: rodziny, którą miała odwiedzić, nie będzie w domu, gdy uderzy w niego bomba. Jeśli spróbujesz z nią uciec, odnajdą mnie. To czysty przypadek, że dotąd nie zjawił się żaden oddział Patrolu.

Whitcomb starał się uspokoić.

— Przypuśćmy, że skoczę z nią do roku 1948. Skąd wiesz, że nagle znów się nie pojawiła w tym roku? Może i to należy do historii?

— Człowieku, nie możesz tego zrobić. Spróbuj. Powiedz jej, że zamierzasz ją przenieść o cztery lata w przyszłość.

Anglik jęknął.

— Mimowolne zdradzenie tajemnicy — a wyrobiono we mnie odruch warunkowy...

— Taak. Masz tylko tyle woli, żeby zjawić się przed swoją dziewczyną, ale rozmawiając z nią, musiałbyś skłamać, ponieważ nie mógłbyś powiedzieć prawdy. Zresztą jak byś jej to wytłumaczył? Jeśli pozostanie Mary Nelson, to tym samym zdezerteruje z WAF, jeśli zaś przyjmie inne nazwisko, to skąd weźmie metrykę, świadectwo ukończenia szkoły, książeczkę z kartami żywnościowymi, jakkolwiek ze świstków papieru, które dwudziestowieczne rządy tak uwielbiają? To beznadziejne, synu.

— Więc co możemy zrobić?

— Stawić czoło Patrolowi i walnąć pięścią w stół. Zaczekaj tu chwilę. — Everard był spokojny i opanowany. Nie miał czasu na strach czy zastanawianie się nad swoim zachowaniem.

Odszukał chronocykl i nastawił chronoregulatory tak, żeby pojazd pojawił się za pięć lat na Picadilly Circus w samo południe.

Nacisnął główny guzik, upewnił się, że chronocykl zniknął, i wrócił do domu Nelsonów. Zastał Mary w objęciach Whitcomba, drżącą i zapłakaną. Nieszczęsne dzieci zagubione w dżungli życia!

— W porządku. — Everard zaprowadził ich z powrotem do saloniku i usiadł, trzymając gotowy do strzału pistolet. — Teraz trochę poczekamy.

Nie trwało to długo. Zjawił się pojazd z dwoma mężczyznami w szarych mundurach Patrolu. Manse powalił ich wiązką z paralizatora nastawionego na pół mocy.

— Pomóż mi ich związać, Charlie — powiedział. Oniemiała Mary skuliła się w kąciu.

Kiedy agenci Patrolu odzyskali przytomność, Everard stanął nad nimi, uśmiechając się blade.

— O co jesteśmy oskarżeni, chłopcy? — zapytał w temporalnym.

— Sądzę, że wiesz — odparł spokojnie jeden z więźniów. — Centrala kazała was odnaleźć. Badając przyszły tydzień, odkryliśmy, że ewakuowałeś rodzinę, która miała zginąć pod bombami. Akta personalne Whitcomba nasunęły nam przypuszczenia, że później przybyłeś tutaj, aby pomóc mu uratować kobietę, która powinna umrzeć dziś wieczorem. Lepiej nas uwolnij albo otrzymasz najwyższy wymiar kary.

— Nie zmieniłem historii — oświadczył spokojnie Everard. — Przecież Danellianie nadal są tam, w przyszłości, prawda?

— Tak, oczywiście, ale...

— Skąd wiesz, że rodzina Enderbych miała zginąć?

— Ich dom został trafiony i powiedzieli nam, że opuścili go tylko dlatego, że...

— Aha, ale sęk w tym, że jednak go opuścili. Tak zostało zapisane. Teraz to wy chcecie zmienić historię.

— Ale ta kobieta tutaj...

— Czy jesteś pewien, że nie było niejkiej Mary Nelson, zamieszkałej, powiedzmy, w Londynie w roku 1850, która zmarła ze starości w roku 1900?

Szczupły mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

— Bardzo się starasz, prawda? To ci się nie uda. Nie możesz walczyć z całym Patrolem.

— Czyżby? Mogę was tu zostawić, żeby znaleźli was Enderby'owie. Nastawiłem swój pojazd, tak że pojawi się w miejscu publicznym w chwili, którą tylko ja znam. Jak to wpłynie na historię?

— Patrol podejmie działania korekcyjne... tak jak ty to zrobiłeś w piątym wieku.

— Być może! Mogę im znacznie ułatwić podjęcie decyzji, jeżeli zechcą wysłuchać mojej apelacji. Chcę Danellianina.

— Co takiego?

— Nie przesłyszaleś się — odpowiedział Everard. — W razie potrzeby wezmę wasz chronocykl i przeniosę się o milion lat w przyszłość. Udowodnię Danellianom osobiście, że będzie znacznie prościej, jeśli zostawią nas w spokoju.

— To nie będzie potrzebne.

Everard odwrócił się, z trudem łapiąc powietrze. Wypuścił z ręki paralizator. Nie mógł patrzeć na lśniącą postać. Szloch zamarł mu w gardle, gdy powoli się cofał.

— Twoja apelacja została rozpatrzona — rozległ się bezdźwięczny głos. — Zapoznano się z nią i oceniono na całe wieki przed twoim urodzeniem. Mimo to pozostałeś niezbędnym ogniwem w łańcuchu czasu. Gdybyś zawiódł dziś wieczorem, nie mógłbyś liczyć na litość. W naszych kronikach istnieje zapis, że niejacy Charles i Mary Whitcombowie żyli w wiktoriańskiej Anglii. Odnotowano też, że Mary Nelson zginęła razem z rodziną, którą odwiedziła, że Charles Whitcomb pozostał kawalerem i w końcu zginął podczas pełnienia obowiązków służbowych. Zauważono tę sprzeczność, a ponieważ nawet najdrobniejszy paradoks niebezpiecznie osłabia tkankę czasoprzestrzeni, należało ją usunąć, uniemożliwiając zaistnienie któregoś z tych dwóch faktów. Ty zdecydowałeś, który z nich zostanie wyeliminowany.

W jakiś sposób zaszokowany Everard zdał sobie sprawę, że pojmani przez niego agenci Patrolu nagle odzyskali wolność. Zorientował się też, że jego pojazd już został... właśnie jest... zostanie niepostrzeżenie przechwycony w tej samej chwili, kiedy się zmaterializuje. Poznał też odpowiedni zapis historyczny: Mary Nelson z WAF, uznana za zaginioną, prawdopodobnie zginęła od wybuchu bomby koło domu Enderbych, którzy przebywali w jej domu, gdy bomba zniszczyła ich domostwo. Charles Whitcomb zniknął w roku 1947; przypuszczalnie utonął. Manse dowiedział się również, że Mary powiedziano prawdę o Patrolu, wyrobiono w niej odruch warunkowy, by nigdy nie mogła jej ujawnić, i wysłano razem z Charlesem do roku 1850. Żyli spokojnie jako członkowie klasy średniej, chociaż nigdy dobrze się nie czuli w epoce wiktoriańskiej. Początkowo Charlie często rozmyślał z zalem o pracy w Patrolu, a później zajął się żoną i dziećmi i uznał, że wcale nie jest to takie wielkie poświęcenie.

Ledwie Everard zdołał przyjąć te wszystkie wiadomości, Danellianin zniknął. Kiedy odzyskał jasność myśli i spojrzał przytomnie na swoich niedawnych więźniów, nie wiedział, jak potoczą się jego dalsze losy.

— Chodź — zwrócił się do niego pierwszy agent. — Wyjdźmy stąd, zanim ktoś się obudzi. Podrzucimy cię do twojego roku. To 1954, prawda?

— A co potem? — zapytał Everard.

Tamten wzruszył ramionami, ukrywając pod pozorami beztroski szok, jakiego doznał w obecności Danellianina.

— Zamelduj się u szefa twojego sektora. Udowodniłeś, że nie nadajesz się do stałej pracy.

— Więc... wyrzucili mnie, co?

— Nie musisz aż tak dramatyzować. Czy sądziłeś, że twój przypadek jest jedyny w liczących milion lat dziejach Patrolu? Mamy ustaloną procedurę. Naturalnie zostaniesz skierowany na dodatkowe przeszkolenie. Ze względu na rodzaj osobowości najlepiej nadajesz się na samodzielnego agenta — w każdej epoce, każdym miejscu, wszędzie, gdzie i kiedy możesz być potrzebny. Sądzę, że to ci się spodoba.

Everard z trudem wsiadł na chronocykl. Gdy z niego zsiadł, minęło całe dziesięciolecie.

WIELKI KRÓL

1

Pewnego wieczoru w Nowym Jorku w połowie dwudziestego wieku Manse Everard przebrał się w podniszczony domowy strój i zaczął przygotowywać sobie drinka. Od tego zajęcia oderwał go dzwonek do drzwi. Everard zaklął. Miał za sobą kilka ciężkich dni i nie pragnął niczyjego towarzystwa. Wystarczyły mu opowieści dr. Watsona.

No cóż, może zdoła pozbyć się natręta. Przemknął przez mieszkanie i otworzył drzwi naburmuszony.

— Witaj — powiedział zimno.

I wtedy nagle doznał wrażenia, jak gdyby znalazł się na pokładzie rakiety z początków ery kosmicznej; stał nieważki i bezradny w blasku gwiazd.

— Och — wykrztusił. — Nie wiedziałem... Proszę, wejdz.

Cynthia Denison przystanęła i przeniosła spojrzenie na barek. Wisiał nad nim achajski brązowy hełm, ozdobiony kitą z końskiego włosia, oraz dwie skrzyżowane włócznie z tej samej epoki. Połyskiwały ponuro i wydawały się niewiarygodnie piękne. Cynthia próbowała się uspokoić, ale to się jej nie udało. Poprosiła więc:

— Czy mógłbyś poczęstować mnie drinkiem, Manse? I to zaraz?

— Oczywiście. — Everard zacisnął usta i pomógł jej zdjąć płaszcz. Zamknęła drzwi, po czym opadła na współczesną szwedzką kanapę, równie elegancką i funkcjonalną jak broń z epoki Homera.

Otworzyła po omacku torebkę i wyjęła papierosy. Przez jakiś czas nie patrzyli na siebie.

— Czy nadal lubisz irlandzką whisky z lodem? — zapytał. Słowa, które wypowiadał, zdawały się docierać do niego z daleka. Niezręcznie manipulował butelkami i kieliszkami, zapominając, jak Patrol Czasu wyćwiczył jego ciało.

— Tak — odparła. — Więc jednak pamiętasz. — Jej zapalniczka głośno zgrzytnęła w ciszy, która nagle zapanowała.

— Uplętnęło zaledwie kilka miesięcy — odpowiedział, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Czasu entropicznego. Normalnego, nie zmienionego, z dwudziestoczerogodzinną dobą. — Wydmuchnęła kłęb dymu i wbiła wzrok w Everarda. — Niewiele więcej niż dla mnie. Od czasu mojego ślubu prawie bez przerwy przebywałam w terażniejszości. Tylko osiem i pół miesiąca mojego biologicznego czasu, odkąd Keith i ja... Ale jak długo trwało to dla ciebie, Manse? He lat przeżyłeś, ile różnych epok odwiedziłeś od czasu, gdy byłeś najlepszym współpracownikiem Keitha?

Zawsze miała dość wysoki i cienki głos. Była to jedyna wada, jaką kiedykolwiek u niej odkrył, chyba że wziąłby pod uwagę jej niski wzrost — zaledwie półtora metra. Dlatego nigdy nie umiała mówić wystarczająco ekspresyjnie. Teraz jednak słyszał, że z trudem powstrzymuje się od krzyku.

Podał jej drinka.

— Do dna — powiedział. — Wszystko.

Posłuchała, krztusząc się lekko. Nalał jej jeszcze i skończył swoją porcję szkockiej whisky z wodą sodową. Następnie usiadł na krześle i wyjął fajkę i tytoń z kieszeni marynarki, zniszczonej przez mole. Ręce nadal mu drżały, lecz tak nieznacznie, że miał nadzieję, iż Cynthia tego nie

zauważy. Mądrze postąpiła, nie mówiąc na wstępie, co ją do niego sprowadza. Oboje potrzebowali czasu, żeby się uspokoić.

Teraz nawet odważył się jej przyjrzeć. Cynthia nie zmieniła się. Zachowała niemal idealną figurę, którą subtelnie podkreślała czarna elegancka sukienka. Jasne jak słońce włosy spadały jej na ramiona. Miała duże niebieskie oczy pod wygiętymi jak jaskółcze skrzydła brwiami i zawsze lekko rozchylone usta. Zrobiła sobie makijaż, więc nie mógł poznać, czy niedawno płakała. Odniósł jednak wrażenie, że zbiera się jej na płacz.

Zajął się nabijaniem fajki, żeby ukryć wzruszenie.

— W porządku, Cyn — zaczął. — Czy chcesz mi to powiedzieć?

Zadrzała. Wreszcie wykrztusiła:

— Chodzi o Keitha. On zniknął.

— Co takiego? — Everard wyprostował się. — Podczas jakiejś misji?

— Tak. Kiedyż by indziej? W starożytnym Iranie. Pojechał tam i nie wrócił. Było to przed tygodniem. — Postawiła kieliszek na poręczy kanapy i splotła palce. — Oczywiście Patrol przeprowadził poszukiwania. Dzisiaj poznałam rezultaty. Nie mogą go znaleźć. Nawet nie wiedzą, co się z nim stało.

— Niech to diabli — szepnął Everard.

— Keith zawsze... uważał cię za najlepszego przyjaciela — ciągnęła gorączkowo. — Nie uwierzyłyś, jak często o tobie mówił. Naprawdę, Manse, wiem, żeśmy cię trochę zaniedbali, ale nigdy nie było cię w domu i...

— Naturalnie — odparł. — Czy uważasz mnie za dziecko? Byłem zajęty. W dodatku przecież niedawno wzięliście ślub.

„Po tym, jak was sobie przedstawiłem tamtej księżycowej nocy na Mauna Loa. Patrol Czasu nie uznaje snobizmu. Dlatego taka młoda dziewczyna jak Cynthia Cunningham, absolwentka Akademii, odkomenderowana do stulecia, w którym wcześniej żyła, może spotykać się z zasłużonym weteranem... na przykład ze mną... tak często, jak sobie oboje tego życzą. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby — wykorzystując swoje umiejętności — zabrał ją w przebraniu na tańce do Wiednia w czasach Straussa, do londyńskiego teatru za życia Szekspira, do dziwacznych małych barów w Nowym Jorku Toma Lehrera. A może będą bawili się w berka na słonecznej hawajskiej plaży na tysiąc lat przed przybyciem Polinezyjczyków. Inny członek Patrolu również może się do nich przyłączyć. A później ożenić się z nią. Pewnie.”

Everard zapalił fajkę. Kiedy obłok dymu przesłonił jego twarz, powiedział:

— Zaczniemy od samego początku. Nie widziałem się z wami od dwóch lub trzech lat, licząc w moim osobistym czasie, więc nie wiem, nad czym Keith ostatnio pracował.

— Tak długo? — zapytała zdumiona. — Nigdy nie wzięłeś urlopu w tej dekadzie? Chcieliśmy, żebyś nas odwiedził.

— Przestań wreszcie przepraszać! — warknął. — Gdybym chciał, mógłbym do was wpaść!

Delikatna twarzyczka Cynthii wyglądała tak, jak gdyby ją spoliczkował. Everard opanował się i przeprosił:

— Bardzo mi przykro. Oczywiście, że chciałem, ale jak już mówiłem... My, samodzielni agenci, jesteśmy diabelnie zapracowani, skacząc po czasoprzestrzeni jak pchły po piasku... Och, do licha — spróbował się uśmiechnąć — znasz mnie, Cyn, wiesz, że bywam nietaktowny, lecz to nic nie znaczy. Dałem początek legendzie o chimerze jeszcze w klasycznej Grecji. Byłem tam znany jako *dilaiopod* — niezwykle potwór z dwiema lewymi stopami, trzymający je na dodatek w pysku.

Cynthia wykrzywiła wargi w wymuszonym uśmiechu i podniosła leżący w popielniczce papieros.

— Nadal jestem urzędniczką w „Engineering Studies Co.” — powiedziała — ale dzięki temu pozostaję w bliskim kontakcie z całym środowiskiem, łącznie z centralą. Dlatego dobrze wiem, co zrobiono dla Keitha... a to za mało! Po prostu go opuścili! Manse, jeśli ty mu nie pomożesz, Keith zginie!

Urwała, drżąc na całym ciele. Żeby dać sobie i jej trochę czasu, Everard zaczął odtwarzać w pamięci karierę Keitha Denisona.

Urodzony w Cambridge w stanie Massachusetts w roku 1927 w zamożnej rodzinie ukończył archeologię z wyróżnieniem w wieku 23 lat, zdobywszy wcześniej mistrzostwo uniwersytetu w boksie i przepłynąwszy Atlantyk w dziewięciometrowym keczu. Został powołany do wojska w roku 1950 i wyróżnił się w Korei odwagą, która zapewniłaby mu sławę, gdyby brał udział w bardziej popularnej wojnie. Trzeba go było jednak poznać lepiej, by dowiedzieć się tego wszystkiego. Potrafił mówić z cierpkim humorem o błahostkach dopóty, dopóki nie znalazło się zadanie, które trzeba było wykonać. Wtedy robił co trzeba bez zbędnego zawracania głowy. „Pewnie — pomyślał Everard — lepszy z nas dostał dziewczynę. Keith łatwo mógłby zostać samodzielnym agentem, gdyby mu na tym zależało, ale w przeciwieństwie do mnie zapuścił tutaj głębokie korzenie. Przypuszczam, że był bardziej stanowczy”.

Zwolniono go z wojska i znalazł się bez pracy w roku 1952. Wtedy to jeden z agentów Patrolu skontaktował się z nim i go zwerbował. Keith przyswoił sobie wiedzę o podróżach w czasie znacznie szybciej niż większość kadetów. Miał giętki umysł, a ponadto był archeologiem. Po ukończeniu Akademii szczęśliwie godził swoje zainteresowania z potrzebami Patrolu. Został specjalistą do spraw historii wschodnich Indoeuropejczyków i pod wieloma względami był znacznie ważniejszy od Everarda.

Samodzielny agent mógł jeździć tam i z powrotem po drogach czasu, ratując ofiary wypadków, aresztując przestępców i chroniąc dzieje ludzkości, ale czy mógłby cokolwiek zdziałać bez wiedzy historycznej? Na całe wieki przed powstaniem pierwszych hieroglifów toczono wojny, odbywano dalekie wędrówki, dokonywano odkryć i czynów, których konsekwencje miały znaczenie dla najdalszych rejonów kontinuum. Patrol musiał je poznać. Ich badaniem i opisywaniem zajmowali się właśnie specjaliści.

„W dodatku Keith był moim przyjacielem”.

Everard wyjął fajkę z ust.

— Dobrze, Cynthia — oświadczył. — Opowiedz mi, co się stało.

2

Cichy głosik brzmiał teraz prawie spokojnie, tak wzięła się w garść.

— Keith śledził migracje różnych aryjskich klanów. Przypominasz sobie, że praktycznie nic o nich nie wiadomo. Trzeba zacząć od dobrze udokumentowanej daty, a potem cofać się w czasie. Dla wypełnienia swojej ostatniej misji zamierzał się udać do Iranu w roku 558 p.ae. Powiedział mi, że to blisko epoki medyjskiej. Chciał przeprowadzić badania wśród tych ludzi, poznać ich tradycje, po czym znów je zbadać w jeszcze wcześniejszym okresie i tak dalej... Ale ty na pewno o tym dobrze wiesz, Manse. Pomagałeś mu kiedyś, zanim się spotkaliśmy. Często o tym mówił.

— Och, tylko wybrałem się z nim na wypadek, gdyby miał kłopoty. — Everard wzruszył ramionami. — Badał dzieje pewnego prehistorycznego plemienia znad Donu, wędrującego przez Hindukusz. Powiedzieliśmy wodzowi, że jesteśmy wędrownymi myśliwymi, powołaliśmy się na

prawo gościnności i towarzyszyliśmy tej kolumnie wozów przez kilka tygodni. To dopiero była zabawa!

Przypomniał sobie stopy i ogromną kopułę nieba, pościg za antylopą i pewną dziewczynę, której włosy pachniały gorzko — słodkim dymem. Przez jakiś czas chciał żyć i umrzeć jako członek tego plemienia.

— Tym razem Keith wyruszył samotnie — ciągnęła Cynthia. — W jego specjalności, a przypuszczam, że i w całym Patrolu, deficyt ludzi daje się dotkliwie we znaki. Trzeba obserwować tyle tysięcy, dysponując tylko garstką badaczy. Już kiedyś wyprawił się sam. Zawsze się tego obawiałam... ale powiedział... że nie ma przy sobie nic wartościowego... że będzie bezpieczniejszy na wyżynach Iranu niż na Broadwayu. Tym razem jednak się pomylił!

— Rozumiem więc — podchwycił szybko Manse — że wyruszył tydzień temu, czy tak? Zamierzał zdobyć wiadomość, powtórzyć ją w biurze naukowym odpowiednim dla jego specjalności i wrócić tego samego dnia, w którym cię opuścił. — „Ponieważ tylko skończony kretyn spędzałby tam więcej czasu niż tutaj” — pomyślał i dodał głośno: — Ale nie wrócił.

— Tak. — Zapaliła drugiego papierosa od pierwszego i ciągnęła: — Z miejsca mnie to zaniepokoiło. Zapytałam o to szefa. Wyświadczył mi przysługę i osobiście zasięgnął informacji. Odpowiedziano mu, że po tygodniu, to znaczy dzisiaj, Keitha nadal nie ma. Biuro naukowe oświadczyło, że wcale się tam nie zgłosił. Wobec tego sprawdziliśmy w archiwum kwatery głównej środowiska. Powiedzieli, że... że... Keith nigdy nie wrócił i wszelki ślad po nim zaginął.

Everard skinął głową i dodał w zamyśleniu:

— Oczywiście przeprowadzono poszukiwania, z których raporty zachowały się w archiwum.

Po raz setny pomyślał, że zmienność czasu powoduje mnóstwo paradoksów.

Jeżeli jakiś człowiek został uznany za zaginionego, nie musiałeś go szukać tylko dlatego, że gdzieś zapisano, iż to zrobiłeś. Ale jak inaczej zdołałbyś go odnaleźć? Mogłeś cofnąć się w czasie, odszukać go i w ten sposób zmienić bieg wypadków, a wówczas twój raport od „zawsze” byłby dowodem twojego sukcesu i tylko ty zachowałbyś w pamięci „poprzednią” prawdę.

— Nasze biuro zawiadomiło środowisko starożytnego Iranu. Wysłano ekipę, żeby zbadła te strony — zgadywał Everard. — Znali tylko w przybliżeniu miejsce, w którym Keith zamierzał się zmaterializować, prawda? Znaczący to, że nie podał dokładnych współrzędnych, ponieważ nie wiedział, gdzie będzie mógł ukryć pojazd czasu.

Cynthia skinęła głową. Everard ciągnął:

— Nie rozumiem jednego: dlaczego później nie znaleziono jego chronocykla? Bez względu na to, co przytrafiło się Keithowi, jego pojazd musiał znajdować się gdzieś w pobliżu, w jakiejś jaskini lub w czymś podobnym. Przecież Patrol ma detektory. Grupa ratownicza powinna była przynajmniej odnaleźć chronocykl, a następnie, cofając się, zlokalizować Keitha.

Cynthia zaciągnęła się tak mocno, że jej policzki się zapadły.

— Próbowali — odparła. — Poinformowano mnie, że to dzika górzysta okolica, którą trudno zbadać. Na nic nie natrafili. Zniknął bez śladu. To znaczy, na pewno coś by znaleźli, gdyby przeszukali teren bardzo, ale to bardzo dokładnie, kilometr po kilometrze. Nie odważyli się jednak, gdyż to środowisko jest niezwykle ważne. Pan Gordon pokazał mi analizy. Nie zrozumiałam tych wszystkich symboli, lecz powiedział mi, że ingerowanie w to stulecie mogłoby być bardzo niebezpieczne.

Everard zacisnął palce na cybuchu fajki. Bijące od niego ciepło w jakiś sposób go pokrzepiało. Zawsze obawiał się przełomowych epok.

— Rozumiem — oświadczył. — Nie ośmielili się szukać tak dokładnie, jak by chcieli, bo mogliby zaniepokoić zbyt wielu miejscowych kmiotków, którzy zachowaliby się inaczej w momencie krytycznym. Nnno tak. Dlaczego jednak nie przeprowadzili śledztwa w przebraniach?

— Zrobiło to kilku specjalistów Patrolu. Próbowali przez wiele tygodni, licząc w czasie perskim. Tubylcy nie dali im żadnej wskazówki. Tamtejsze plemiona są dzikie i podejrzliwe... Może obawiali się, że nasi agenci są szpiegami nasłanymi przez króla Medów? Z tego, co słyszałam, wynika, że nie podobały się im jego rządy... Nie, Patrol nie zdołał znaleźć żadnego śladu. Nie mają też podstawy do przypuszczeń, że historia się zmieniła. Uważają, że Keitha zamordowano, a jego pojazd gdzieś zniknął.

Nagle zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

— Jakie ma znaczenie jeszcze jeden szkielet na dnie wąwozu?! Everard również wstał i Cynthia rzuciła mu się w ramiona. Nie przypuszczał, że będzie cierpiał tak bardzo. Już prawie o niej nie myślał — co najwyżej dziesięć razy dziennie — a teraz przyszła do niego i znowu będzie musiał zapomnieć.

— Czy nie mogą cofnąć się w czasie? — błagała. — Czy ktoś nie może skoczyć do minionego tygodnia i powiedzieć Keithowi, żeby zaniechał tej wyprawy? Czy nie wolno mi o to prosić? Jakie potwory wymyśliły prawo, które tego zabrania?

— Zwyczajni ludzie — odparł Everard. — Gdybyśmy raz zaczęli ingerować w naszą przeszłość, to wkrótce tak byśmy się zaplątali, że żadne z nas by nie istniało.

— Przecież muszą zdarzać się wyjątki w ciągu miliona lub więcej lat!

Manse nie odpowiedział. Wiedział, że były. Zdawał sobie również sprawę, że przypadek Keitha Denisona nie będzie jednym z nich. Agenci Patrolu nie byli świętymi, lecz nie mieli odwagi łamać ustanowionego przez siebie prawa dla prywaty. Ponosili straty jak każda inna formacja, wznosili toasty na cześć zmarłych i nie cofali się w czasie, żeby na nich popatrzeć, gdy jeszcze żyli.

Cynthia wysunęła się z objęć Everarda, wróciła na swoje miejsce i jednym haustem dopiła drinka. Jej jasne loki zdrzały.

— Przepraszam — powiedziała cicho. Wyjęła chusteczkę i wytarła nią oczy. — Nie chciałam się mazać.

— Wszystko w porządku.

Wbiła wzrok w podłogę.

— Mógłbyś spróbować pomóc Keithowi. Zwyczajni agenci zrezygnowali, ale ty mógłbyś ich zastąpić.

Czy zdoła oprzeć się takiej prośbie?

— Mógłbym — powiedział. — Ale może mi się nie udać. Materiały archiwalne świadczą o tym, że jeśli nawet próbowałem, to poniosłem porażkę. Poza tym każda zmiana w czasoprzestrzeni jest źle widziana, nawet tak znikoma jak ta.

— Nie jest znikoma dla Keitha — oświadczyła.

— Wiesz, Cyn — mruknął — jesteś jedną z nielicznych kobiet spośród żyjących we wszystkich epokach, które wyraziły to w taki sposób. Większość powiedziałyby: „Nie jest znikoma dla mnie”.

Spojrzała mu w oczy i przez chwilę stała bardzo spokojnie. Później szepnęła:

— Przykro mi, Manse. Nie zdawałam sobie sprawy... myślałam, że skoro dla ciebie upłynęło tyle czasu, ty...

— O czym ty mówisz — próbował się bronić.

— Czy psychoanalicy Patrolu nie mogą nic dla ciebie zrobić? — zapytała, ponownie pochyliwszy głowę. — Skoro potrafiały wyrobić w nas odruch warunkowy, tak że po prostu nie potrafimy powiedzieć nikomu nie wtajemniczonymu o podróżach w czasie... sądzę, że potrafiliby wymazać z czyjejs pamięci...

— Zmieńmy temat — przerwał jej obcesowo. Przez chwilę gryzł ustnik fajki.

— No dobrze — rzekł w końcu. — Mam kilka pomysłów, których I nie wypróbowano. Jeżeli można uratować Keitha, jutro przed południem będziesz go miała z powrotem.

— Czy możesz mnie przenieść do tej chwili, Manse? — Zaczęła drżeć.

— Mógłbym, ale tego nie zrobię. Tak czy inaczej, jutro musisz być wypoczęta. Zabiorę cię do domu i dopilnuję, żebyś wzięła środek nasenny. Później wrócę tutaj i zastanowię się nad sytuacją.

— Skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. — Przestań tańczyć shimmy, dobrze? Mówiłem ci, że muszę pomyśleć.

— Manse...

Palce Cynthii zacisnęły się na jego dłoniach.

Poczuł nagły przyływ nadziei, za co sklął siebie w duchu.

3

Jesienią roku 542 p.n.e. samotny mężczyzna przybył z gór do doliny Kur. Jechał na pięknym kasztanowatym wałachu, okazalszym nawet od większości koni kawaleryjskich, tak że gdzie indziej kusiłby bandytów. Jednakże Wielki Król żelazną ręką wymusił przestrzeganie prawa w swoim państwie i mówiono, że dziewica z workiem złota przeszłaby nie napastowana przez Persję. Był to pierwszy powód, dla którego Manse Everard postanowił cofnąć się do tego roku, szesnaście lat po przybyciu Keitha Denisona.

Drugim powodem było to, że chciał przybyć tam po wygaśnięciu wszelkich emocji, które najprawdopodobniej wywołał podróżnik w czasie w roku 558. Uważał, że bez względu na to, jaki los spotkał męża Cynthii, najlepiej będzie poznać go z pewnego czasowego dystansu, skoro zwykle metody zawiodły.

Wreszcie, wedle biura środowiska achemenidzkiego*, jesienią roku 542 po raz pierwszy od czasu zaginięcia agenta Patrołu miał zapanować w Persji względny spokój. W latach 558 — 553 sytuacja była napięta, gdyż perski król Anszanu, Kurusz (który utrwalił się w historii jako Koresz i Cyrus), toczył spór ze swoim medyjskim zwierzchnikiem Astiagesem. Później Cyrus wzniecił bunt i przez trzy następne lata wojna domowa wstrząsała imperium, aż w końcu Persowie pokonali swoich północnych sąsiadów, lecz zaraz potem zwycięski władca stanął w obliczu buntów pokonanych oraz najazdów turańskich plemion. Potrzebował czterech lat, by spacyfikować zrewoltowane kraje i rozszerzyć swoje panowanie na wschodzie. Działania Cyrusa zaniepokoiły jednak innych monarchów: Babilon, Egipt, Lidia i Sparta zawiązały koalicję, by go zniszczyć. Wojskami inwazyjnymi dowodził w roku 546 lidyjski król Krezus. Lidyjczycy zostali pokonani, ale zbuntowali się i ponownie trzeba ich było poskramiać. Należało też uporządkować sprawy nieznośnych kolonii greckich w Jonii, Karii i Licji. Kiedy dowódcy Cyrusa zajmowali się tym na zachodzie, sam Cyrus musiał wojować na wschodzie, wypierając dzikich koczowników, którzy mogliby spalić jego miasta.

Teraz miał chwilę wytchnienia. Cylicja podda się bez walki, widząc, że inne podbite przez Persję kraje są rządzone humanitarnie, z zachowaniem niespotykanej dotąd tolerancji dla miejscowych zwyczajów. Cyrus pozostawi wschodnie rubieże swoim wielmożom i zajmie się konsolidacją państwa. Dopiero w roku 539 podejmie wojnę z Babilonem i podbije Mezopotamię. Później znów zazna spokoju do czasu, aż koczownicy zza Morza Aralskiego zbyt urosną w siłę i wówczas Wielki Król stoczy swoją ostatnią bitwę, w której poniesie śmierć.

Manse Everard wjechał do Pasargade, jak gdyby podążał do krynicy nadziei.

* Achemenidzi — dynastia założona przez Cyrusa Wielkiego. Panowała w Persji do roku 330 p.n.e. (Przyp. tłum.)

Nie, ani ta, ani inne epoki nie były tak piękne, by ewokować tak kwieciste metafory. Manse jechał drogą, mijając pochylonych wieśniaków z sierpami w dłoniach lub prowadzących nie pomalowane skrzypiące wozy zaprzężone w woły, a dym z wypalanych ściernisk gryzł go w oczy. Obdarte dzieci ssące palce przed pozbawionymi okien chatami gapiły się na niego. Rozgdakana kura chodziła tam i z powrotem po drodze, aż zginęła pod kopytami konia królewskiego posłańca, który ją spłoszył. Oddział kawalerii wyprzedził Everarda. Uzbrojeni we włócznie jeźdźcy wyglądali dość malowniczo. Mieli na sobie workowate spodnie, zbroje, spiczaste lub ozdobione pióropuszcami hełmy i barwne pasiaste płaszcze. Byli też zakurzeni, spoceni i opowiadali sprośne kawały. Perscy arystokraci posiadali duże domy z suszonej na słońcu cegły i przepiękne ogrody, ale stan prymitywnej gospodarki nie pozwalał na utrzymywanie wielu takich majątków. Pasargade było prawie zupełnie orientalnym miastem pełnym grząskich uliczek, wijących się między pozbawionymi okien chałupami, ludzi w brudnych turbanach i poplamionych szatach, wrzeszczących na bazarze handlarzy, żebraków wystawiających na widok publiczny swoje wrzody, kupców prowadzących rzędy sponiewieranych wielbłądów i obładowanych ponad wszelką miarę osłów, psów grzebiących w stosach śmieci, jazgotliwej muzyki w zajazdach, wymachujących rękami i miotających przekleństwa mężczyzn. Kto wymyślił bajeczkę o tajemniczym Wschodzie?

— Daj jałmużnę, panie. Jałmużnę, na miłość Światłości! Daj jałmużnę, a Mitra* uśmiechnie się do ciebie...!

— Spójrz, panie! Przysięgam na brodę mojego ojca, że nigdy nie było doskonalszego wyrobu niż ta uzda, którą ci proponuję, o najszcześliwszy z ludzi, za śmieszłą sumę...

— Tędy, panie, tędy, tylko cztery domy do najwspanialszego zajazdu w całej Persji, nie, na całym świecie. Nasze sienniki są wypchane łabędzim puchem, nasz ojciec podaje wino godne bogini, moja matka gotuje pilaw, którego sława dotarła do najdalszych zakątków świata, a moje siostry są prawdziwymi czarami rozkoszy dostępnymi tylko za...

Everard nie zwracał uwagi na biegnące koło niego rozkrzyczane dzieci. Jakiś chłopiec złapał go za kostkę. Manse zaklął i kopnął go, a tamten uśmiechnął się bez urazy. Amerykanin miał nadzieję, że nie będzie zmuszony zatrzymać się w jakimś zajeździe. Wprawdzie Persowie bardziej dbali o czystość niż większość ludów tej epoki, lecz nie umieli walczyć z dokuczliwymi insektami.

Starał się unikać uczucia, że jest bezbronny. Zazwyczaj agent Patrolu miał jakiegoś asa w rękawie, na przykład trzydziestowieczny miotacz i miniaturowy nadajnik, przez który mógł wezwać ukryty pojazd czasu. Było jednak inaczej, gdy groziła mu rewizja osobista. Everard nosił się po grecku: tunika, sandały, długi wełniany płaszcz, miecz u pasa i tarcza zawieszona na końskim zadzie. Tylko stal nie pochodziła z tej epoki. Gdyby wpadł w tarapaty, nie mógłby się zwrócić o pomoc do żadnego lokalnego biura, ponieważ ta dość uboga i niespokojna epoka nie brała udziału w handlu temporalnym. Najbliższą jednostką Patrolu była kwatera główna tego środowiska w Persepolis oddalona o całe pokolenie.

W miarę jak jechał, ulice rozszerzały się, bazyliki zmniejszały, a domy stawały coraz większe. Wreszcie dotarł do placu otoczonego czterema pałacami. Ponad murami ogrodów widział przycięte drzewa. Strażnicy — szczupli, uzbrojeni w łuki młodzieńcy — siedzieli w kucki, ponieważ jeszcze nie wymyślono postawy na baczność. Kiedy Everard się zbliżył, wstali, nakładając strzały na cięciwy. Mógł po prostu przejechać przez plac, ale zatrzymał konia i zwrócił się do żołnierza, który wyglądał na dowódcę.

* Mitra — perski bóg światła. (Przyp. tłum.)

— Witaj, panie, oby słońce zawsze jasno ci świeciło — przemówił płynnie po persku; opanował ten język, spędziwszy godzinę pod hipnoedukatorem. — Szukam gościny u jakiegoś wielkiego męża, który może zechce wysłuchać moich opowieści o dalekich podróżach.

— Oby twoje dni były liczne — odparł tamten.

Everard przypomniał sobie, że nie może dawać łapówek; ci Persowie z klanu samego Cyrusa byli dumnymi ludźmi — myśliwymi, pasterzami i wojownikami. Wszyscy mówili uprzejmie i z godnością — cechy te charakteryzowały ich przez wieki. — Służę Lidyjczykowi Krezusowi, słudze Wielkiego Króla. Nie odmówi schronienia...

— Meandrowi z Aten — uzupełnił Everard. Wybrał takie imię i kraj pochodzenia, by nikogo nie dziwiło jego mocno zbudowane ciało, jasna cera i krótkie włosy. Musiał jednak przykleić do podbródka zarost van Dyke. Herodot nie był pierwszym greckim globtroterem, więc Persów nie mógł zdziwić inny Ateńczyk. Mimo wszystko jednak pół wieku przed bitwą pod Maratonem Europejczycy dość rzadko gościli w Persji i budzili duże zainteresowanie.

Niewolnik sprowadził majordomusa, ten zaś polecił innemu słudze eskortować przybysza. W pięknym ogrodzie za murami panował miły chłód, tak jak Everard się spodziewał. Manse nie obawiał się, że może zostać w tym domu okradziony. Jedzenie i napoje powinny być dobre, a sam Krezus na pewno zechce spotkać się z gościem. „Szczęście nam sprzyja, chłopcze” — pomyślał Amerykanin. Przygotowano dla niego gorącą kąpiel i namaszczone go pachnącymi olejkami. Otrzymał też czystą odzież. Zaspokoił głód i pragnienie daktylami i winem przyniesionymi do sporego pokoju, którego umeblowanie ograniczało się do posłania. Z okna roztaczał się cieszący oko widok. Brakowało mu tylko cygara.

Ze wszystkich dostępnych rzeczy.

Oczywiście, jeśli Keith naprawdę zginął.

— Przestań, do wszystkich diabłów! — mruknął pod nosem Everard. — Pomyśl o czymś innym.

4

Po zachodzie słońca ochłodziło się. Ponieważ ogień uważano za rzecz świętą, uroczyście zapalano lampy i przenośne piecyki. Niewolnik padł na twarz i oznajmił, że kolacja jest gotowa. Everard poszedł z nim przez długą salę, gdzie pełne ekspresji freski przedstawiały słońce i byka Mitry, minął dwóch włóczników i znalazł się w małej, jasno oświetlonej komnacie. Paliły się tam wonne kadzidła, a podłoga była wyłożona dywanami. Zgodnie z greckim obyczajem przy stole zastawionym niegreckimi talerzami ze złota i srebra stały dwie leżanki; niewolnicy czekali w pobliżu, a z sąsiedniego pomieszczenia dobiegała muzyka podobna do chińskiej.

Krezus z Lidii uprzejmie skinął głową na powitanie. Kiedyś był przystojnym mężczyzną o regularnych rysach twarzy, ale musiał bardzo się postarzyć od czasu, kiedy jego bogactwa i potęga stały się przysłowiowe. Miał długą siwą brodę i włosy, ubrany był w tunikę greckiego kroju, lecz czerwoną na perską modłę.

— Ciesz się, Meandrze z Aten — rzekł po grecku i nadstawił twarz.

Everard pocałował go w policzek. Gospodarz dawał w ten sposób do zrozumienia, że uważa pozycję społeczną gościa za niewiele niższą od własnej. „To miło z jego strony — pomyślał Amerykanin — nawet jeśli niedawno jadł czosnek”.

— Ciesz się, panie. Dziękuję ci za twoją dobroć.

— Ten samotny posiłek nie miał cię poniżyć — powiedział były król. — Chciałem tylko... — Zawahał się i dodał: — Zawsze uważałem się za bliskiego kuzyna Greków i moglibyśmy poważnie porozmawiać...

— Panie, zaszczytasz moją skromną osobę ponad wszelką miarę. — Zwyczajowa wymiana uprzejmości trwała jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie obaj spoczęli na leżankach przy stole. Everard rozpoczął dawno przygotowaną opowieść o swoich rzekomych podróżach. Od czasu do czasu Krezus zadawał niepokojąco szczegółowe pytania, lecz każdy agent bardzo szybko uczył się unikać takich kłopotliwych pytań.

— Istotnie, czasy się zmieniają. Masz szczęście, że przybywasz na początku nowej epoki — stwierdził Krezus. — Świat nigdy nie znał króla wspanialszego od... — Te i następne słowa wypowiedział bez wątpienia pod adresem tych spośród domowników, którzy dodatkowo pełnili funkcję królewskich szpiegów, ale były one szczere.

— Sami bogowie sprzyjali naszemu władcy — ciągnął Krezus. — Gdybym wiedział, jak go naprawdę chronili i że opowieść p tym wcale nie jest bajką, jak wtedy sądziłem, nigdy nie wystąpiłbym przeciwko niemu. Nie można wątpić, że jest wybrańcem bogów.

Chcąc zachować konsekwencję w swojej maskaradzie, Everard rozcieńczał wino wodą i żałował, że nie wybrał mniej, niż Grecja, ceniącej trzeźwość ojczyzny.

— Co to za opowieść, panie? — zapytał. — Wiem tylko, że Wielki Król jest synem Kambyzesa, który władał tą prowincją jako wasal Meda Astiagesa. Czy jest coś jeszcze?

Krezus pochylił się do przodu. W migotliwym świetle lamp jego oczy nabrały dziwnego blasku, pojawiła się w nich dionizyjska mieszanka przerażenia i entuzjazmu, o których to uczuciach zapomniano w epoce Everarda.

— Posłuchaj więc i powtórz tę opowieść swoim ziomkom — powiedział. — Astiages wydał swoją córkę Mandane za Kambyzesa, ponieważ wiedział, że Persów uciskało narzucone przez niego ciężkie jarzmo. Chciał w ten sposób złączyć ich wodzów więzami pokrewieństwa ze swoim domem. Kambyzes jednak zachorował i słabł coraz bardziej. Gdyby umarł i jego nieletni syn, Cyrus zasiadł na tronie Anszanu, regentami zostaliby perscy wielmoże nie związani z Astiagesem. W dodatku prorocze sny ostrzegły króla Medów, że Cyrus pozbawi go korony. Dlatego Astiages rozkazał swojemu krewnemu, Królewskiemu Oku Aurwagauszowi (Krezus nazywał go Harpagosem, gdyż hellenizował wszystkie perskie imiona), żeby uwolnił go od małego księcia. Harpagos posłuchał mimo protestów królowej Mandane. Kambyzes był zbyt chory, żeby jej pomóc, a poza tym Persja nie mogła się zbuntować bez przygotowania. W końcu jednak medyjski wielmoża postanowił ocalić Cyrusa. Zamienił więc księcia na urodzone nieżywo dziecko pasterza, któremu kazał przysiąc, że nie zdradzi tajemnicy. Następnie zawiązał martwego chłopca w królewskie szaty i pozostawił go na zboczcu wzgórza. Później, kiedy oficjalni przedstawiciele medyjskiego dworu stwierdzili śmierć niemowlęcia, pochował fałszywego królewicza. I tak oto nasz pan Cyrus wyrósł wśród pasterzy. Kambyzes żył jeszcze dwadzieścia lat, lecz nie miał innych synów. Nie był też dostatecznie silny, aby pomścić śmierć pierworodnego. Gdy w końcu umarł, nie zostawił następcy, którego Persowie chcieliby uznać za władcę, Astiages zaś ponownie obawiał się niepokojów w podbitym kraju. W tym też czasie pojawił się Cyrus i dał się poznać dzięki pewnym znakom. Astiages, żałując tego, co uczynił, przyjął go i uznał za następcę Kambyzesa. Cyrus pozostawał jego wasalem przez pięć lat, ale tyrania Medów ciążyła mu coraz bardziej. Harpagos pozostający w Ekbatanie również miał powody do zemsty; żeby go ukarać za nieposłuszeństwo w sprawie Cyrusa, Astiages zmusił go do zjedzenia własnego syna. Zrozpaczony Harpagos zaczął spiskować z innymi medyjskimi wielmożami. Swoim przywódcą spiskowcy uczynili młodego króla Persów. Persja zbuntowała się i po trzyletniej wojnie Cyrus został władcą obu ludów. Czy bogowie kiedykolwiek bardziej otwarcie wyjawili swoją wolę?

Przez chwilę Everard siedział spokojnie przy stole. Słyszał, jak w ogrodzie zimny jesienny wiatr szeleści w koronach drzew.

— Czy to prawda, a nie fantastyczna plotka? — zapytał.

— Odkąd przyłączyłem się do perskiego dworu, opowiadano mi o tym wielokrotnie. Sam król poręczył za prawdziwość tej opowieści, podobnie jak Harpagos i inni, których to bezpośrednio dotyczyło.

Lidyjczyk nie mógł kłamać, jeśli powoływał się na słowa swojego władcy; szlachetnie urodzeni Persowie słynęli z prawdomówności, a przecież w całej swojej karierze w Patrolu Everard nie słyszał niczego bardziej wiarygodnego. Była to historia opowiedziana przez Herodota — z niewielkimi zmianami powtórzona później w *Szah-name** — i było jasne, że jest to typowy mit bohaterski. Niemal identyczne bajeczki opowiadano o Mojżeszu, Romulusie, Zygfyrdzie i o setce innych wielkich postaci historycznych czy legendarnych. Nic nie wskazywało na to, że jest w tej opowieści choćby źdźbło prawdy, coś, co kazałoby wątpić, że Cyrus wychował się po prostu w domu swojego ojca, z tytułu urodzenia został jego następcą i zbuntował się ze zwykłych powodów.

Jednakże naoczni świadkowie potwierdzali prawdziwość tej historii!

Na pewno kryła się w tym jakaś tajemnica. Everard przypomniał sobie, po co tu przybył. Po wyrażeniu stosownego zdumienia pokierował rozmową, tak by mógł w końcu powiedzieć:

— Dotarły do mnie pogłoski, że szesnaście lat temu przybył do Pasargade pewien cudzoziemiec. Ubrany był jak biedny pasterz, lecz okazał się magiem—cudotwórcą. Mógł tutaj umrzeć. Czy mój łaskawy gospodarz wie coś o tym?

Czekał w napięciu. Przeczuiwał, że Keith Denison nie zginął z rąk jakiegoś opryszka i nie skreślił karku ani też nie zakończył życia w podobny sposób. W takim przypadku Patrol odnalazłby jego chronocykl. Ratownicy mogli przeczesać okolicę nie dość starannie, żeby odnaleźć Denisona, ale dlatego ich detektory nie zdołały wykryć pojazdu czasu?

Manse przypuszczał, że wydarzyło się coś bardziej skomplikowanego. Gdyby Keith przeżył, na pewno zszedłby z gór w doliny, gdzie istniała cywilizacja, wprawdzie prymitywna, lecz zawsze cywilizacja.

— Szesnaście lat temu? — Krezus szarpnął brodę. — Nie było mnie tu wtedy. Wiem, że w tym kraju pojawiały się liczne wieszczce znaki, bo właśnie wtedy Cyrus zszedł z gór i jako prawowity następca tronu został królem Anszanu. Nie, Meandrze, nic o tym nie wiem.

— Pragnąłem odnaleźć tego maga — odrzekł Everard — ponieważ pewna wyrocznia...

— Możesz rozpytać się o niego wśród służby i mieszkańców miasta — zaproponował Krezus. — Sam popytam o to na dworze. Zostaniesz tu jakiś czas, prawda? Może król zechce cię zobaczyć. Zawsze interesowali go cudzoziemcy.

Rozmowa skończyła się wkrótce potem. Uśmiechając się kwaśno, Krezus wyjaśnił, że Persowie wcześniej kładą się spać i wcześniej wstają, i dlatego musi być o świcie w pałacu królewskim. Niewolnik odprowadził Everarda do jego pokoju, gdzie czekała na niego ładna uśmiechnięta dziewczyna. Manse zawahał się, przypomniawszy sobie pewną chwilę w przyszłości, od której dzieliły go dwadzieścia cztery wieki. Do diabła z tym! Człowiek powinien brać to, co mu proponują bogowie, znani przecież ze skąpstwa.

5

* „Szah-name” („Księga królów”) — epos wielkiego poety perskiego Firdausiego. (Przyp. tłum.)

Wkrótce po wschodzie słońca oddział kawalerii zatrzymał się na placu, wzywając głośno Menadra Ateńczyka. Everard nie dokończył śniadania, wyszedł i stanął przed dowódcą królewskich gwardzistów zwanych Nieśmiertelnymi. Był to mężczyzna o surowym spojrzeniu, orlich rysach twarzy i długiej brodzie; siedział na pięknym szarym ogierze. Konie przestępowały z nogi na nogę, płaszcze i pióra powiewały na wietrze, metal pobrzękiwał, skóra skrzypiała, a poranne słońce oślepiało, odbijając się od wypolerowanych kolczug.

— Chiliarcha cię wzywa — powiedział ochryplym głosem oficer. Był to perski tytuł oznaczający dowódcę gwardii i wielkiego wezyra.

Everard stał przez chwilę, oceniając sytuację. Nie było to zbyt serdeczne zaproszenie. Nie mógł jednak powołać się na inne, wcześniej umówione spotkanie!

— Słyszę i jestem posłuszny — odrzekł. — Pozwól mi tylko wziąć dla niego drobny upominek z moich bagaży w podziękę za zaszczyt, jaki mi wyświadcza.

— Chiliarcha powiedział, że masz przyjechać natychmiast. Wsiadaj na tego konia.

Stojący na warcie łucznik podsunął splecione dłonie, ale Everard wskoczył na siodło bez jego pomocy; była to pożyteczna umiejętność w czasach, gdy nie znano strzemion. Kapitan skinął głową na znak aprobaty, zawrócił konia i na czele swoich ludzi pogalopował przez plac, a później szeroką aleją między rzędami sfinksów i pałaców arystokracji. Aleja nie była tak zatłoczona, jak uliczki prowadzące na bazy, ale znajdowało się na niej sporo jeźdźców, rydwanów, lektyk i przechodniów, którzy pospiesznie usuwali się na boki. Nieśmiertelni nie zważali na nikogo. Wpadli w otwarte wrota pałacu. Żwir tryskał spod kopyt ich rumaków. Okrążyli trawnik, na którym były fontanny, i zatrzymali się przed zachodnim skrzydłem pałacu.

Pałac z pomalowanej na jaskrawy kolor cegły stał wespół z kilkoma mniejszymi budowlami na szerokim nasypie. Kapitan zeskoczył z konia, gestem nakazując iść za sobą, i wbiegł na marmurowe schody. Everard poszedł za nim, eskortowany przez wojowników, którzy ostentacyjnie wyjęli z kabłąków przy siodłach lekkie topory bojowe. Przedarli się przez tłum niewolników w turbanach i długich szatach, którzy na ich widok padli na twarze, minęli czerwono — żółtą kolumnadę, przeszli przez ozdobioną mozaikami salę — w takiej sytuacji Manse nie potrafił docenić jej piękna — aż wreszcie, nie zatrzymywani przez kolejny posterunek, znaleźli się w komnacie, gdzie smukłe kolumnienki podtrzymywały niebieską kopułę, a przez łukowate okna napływał z ogrodu zapach późnych róż.

Tutaj Nieśmiertelni padli na twarze. „Co jest dobre dla nich, dobre i dla ciebie, synku” — pomyślał Everard i pocałował perski dywan. Leżący na sofie mężczyzna skinął głową.

— Wstańcie i słuchajcie — powiedział. — Przyniesicie poduszkę dla Greka. — Żołnierze otoczyli rzekomego Meandra, nubijski niewolnik rzucił się na poszukiwanie poduszki, którą umieścić na podłodze obok kanapy swojego pana. Everard usiadł na niej i skrzyżował nogi. Zaszło mu w ustach.

Chiliarcha, którego Krezus nazwał Harpagosem, pochylił się lekko do przodu. Z narzuconą na kanapę tygrysią skórą kontrastowała wspaniała czerwona szata spowijająca jego wychudłe ciało. Ten starszy mężczyzna miał opadające na ramiona szpakowate włosy, pooraną zmarszczkami ciemną twarz, haczykowany nos i bystre czarne oczy. Zmierzył przybysza wzrokiem.

— Więc to ty jesteś tym mężem z Aten — rzekł po persku z chropawym akcentem charakterystycznym w północnych prowincjach. — Szlachetny Krezus opowiadał dziś rano o twoim przybyciu i wspomniał też o pytaniach, które mu zadałeś. Ponieważ może chodzić o bezpieczeństwo państwa, chciałbym się dowiedzieć, czego właściwie szukasz. — Poglądził brodę mocno upierścienioną dłonią i uśmiechnął się zimno. — Jeżeli twoje poszukiwania okażą się nieszkodliwe, wtedy być może będę mógł ci pomóc.

Starannie unikał zwyczajowych powitalnych formułek, nie proponował pokrzepiających napojów, słowem nie czynił nic, co nadałoby Meandrowi prawie święty status gościa. To było przesłuchanie.

— Panie, co chciałbyś wiedzieć? — zapytał Everard. Dobrze wiedział, co go interesuje, i czekał z niepokojem na odpowiedź.

— Szukasz maga w przebraniu pasterza, który zjawił się w Pasargade przed szesnastu laty i czynił cuda. — Pod wpływem napięcia chiliarcha mówił dyszkantem. — Dlaczego to robisz i co jeszcze słyszałeś o tej sprawie? Nie trać czasu na wymyślanie kłamstw — mów!

— Wielki panie — odparł Everard — wyrocznia delficka oznajmiła mi, że szczęście się do mnie uśmiechnie, jeżeli poznam losy pewnego pasterza, który przybył do perskiej stolicy w, ach, trzecim roku pierwszej tyranii Pizystratesa. Niczego więcej się nie dowiedziałem. Wiesz, panie, jak niejasne są wypowiedzi wyroczni.

— Hm, hm. — Strach odmalował się na szczupłym obliczu wezyra, który nakreślił w powietrzu znak krzyża, mitraicki symbol stolica. Potem zapytał obcesowo: — Czego się dotąd dowiedziałeś?

— Niczego, wielki panie. Nikt nie mógł mi nic powiedzieć...

— Kłamiesz! — warknął Harpagos. — Wszyscy Grecy są kłamcami. Strzeż się, gdyż bliski jesteś świętokradztwa. Z kim jeszcze o tym rozmawiałeś?

Everard zauważył tik nerwowy wprawiający w drżenie usta Harpagosa. Ścisnęło go w dołku. Przypadkiem natrafił na jakiś sekret, który wezyr uważał za dobrze strzeżony. Był to sekret tak ważny, że chiliarcha ryzykował konflikt z Krezusem, któremu zwyczaj nakazywał bronić gościa. A najlepszym kneblem, jaki kiedykolwiek wynaleziono, był nóż... po wyciągnięciu z cudzoziemca za pomocą szczypców i koła tortur wszystkich wiadomości... „Ale co ja takiego wiem, do wszystkich diabłów?”

— Z nikim, panie — powiedział ochryłym głosem. — Tylko z wyrocznią i bogiem słońca, który przez nią przemawia i który mnie tu przysłał.

Harpagos ze świstem wciągnął powietrze do płuc, zaskoczony powołaniem się na takiego patrona. Później jednak odzyskał zimną krew, wzruszył ramionami i wycedził:

— Mamy tylko twoje słowo, słowo Greka, że jesteś wysłannikiem wyroczni, a nie szpiegiem. Jeżeli nawet bóg słońca cię tu przysłał, to chyba tylko po to, żebyś poniósł karę za swoje winy. Zaprowadźcie go do lochów. W imieniu króla.

Króla.

Everard doznał nagle olśnienia. Zerwał się na równe nogi.

— Tak, króla! — krzyknął. — Bóg mi powiedział... że otrzymam pewien znak... a później powinienem przekazać jego słowa królowi perskiemu.

— Bierzcie go!

Gwardziści odwrócili się, żeby wykonać rozkaz swojego komendanta. Everard odskoczył, wzywając króla Cyrusa tak głośno, jak tylko mógł. Niech go aresztują. Wieść o tym dotrze do władcy, a wtedy... Dwóch gwardzistów przycisnęło go do ściany, wznosząc topory. Ponad ich głowami Amerykanin zobaczył, że Harpagos zeskakuje z kanapy.

— Weźcie go i zetnijcie mu głowę! — rozkazał chiliarcha.

— Ależ panie — zaprotestował kapitan — on odwołał się do króla!

— Żeby rzucić na niego urok! Poznają go teraz, jest synem Zohaka* i wysłannikiem Arymana*! Zabijcie go!

* Zohak — trógłowy wąż, wcielenie złych mocy.

* Aryman — zły duch, władca ciemności i podziemnego świata.

— Nie, zaczekajcie! — krzyknął Everard. — Zaczekajcie. Czy nie widzicie, że to zdrajca, który chce mnie powstrzymać od przekazania królowi... Puść mnie, ty draniu!

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego prawym ramieniu. Był przygotowany na kilkugodzinny pobyt w więzieniu, dopóki król nie usłyszy o całej sprawie i nie wyciągnie go stamtąd, ale sytuacja przedstawiała się źle. Lewym sierpowym rozkwaślił nos najbliższemu gwardziście, który cofnął się o krok. Everard wyrwał mu topór z ręki i odparował cios wojownika atakującego z lewej.

Nieśmiertelni rzucili się na niego. Topór Amerykanina ze szczękiem uderzył o metal i zmiażdżył czyjś knykciec. Mógł sięgnąć ostrzem dalej niż większość jego przeciwników, ale nie miał żadnej szansy, by wyjść z opresji cało. Coś ze świstem przeleciało obok jego głowy. Uskoczył za kolumnę; posypały się odłamki. Dostrzegł odstęp między atakującymi. Ogłuszył jednego gwardzistę, przeskoczył nad nim i znalazł się na otwartej przestrzeni pod kopułą.

Wtedy rzucił się na niego Harpagos, wyciągając szablę spod luźnej szaty. Everard musiał przyznać, że ten stary łajdak był odważny. Odwrócił się, by stawić mu czoło, a chiliarcha odgrodził go od Nieśmiertelnych. Topór i miecz skrzyżowały się z brzękiem. Manse zamierzał trzymać się blisko przeciwnika, by Persowie nie odważyli się cisnąć w niego toporami, ale gwardziści już go okrażali, starając się zająć go od tyłu. Na Boga, to może oznaczać koniec kolejnego agenta Patrołu...

Trzykrotnie zabrzmiała trąbka. Gwardziści znieruchomieli, utkwili wzrok w odzianej w szkarłatną szatę gigantycznej postaci, która stanęła w drzwiach i rzucili się na dywan. Harpagos upuścił miecz. Everard o mały włos nie rozbił mu głowy, później jednak, przypomniawszy sobie, gdzie jest, i słysząc w korytarzu szybkie kroki wojowników, cisnął broń na podłogę. Przez chwilę niedawni przeciwnicy, dysząc ciężko, patrzyli sobie w oczy.

— Więc tak... dowiedział się... i przybył... od razu — wystękał Everard.

Med skulił się jak prężący się do skoku kot i syknął:

— Uważaj! Będę cię obserwował. Jeśli skazisz jego umysł, czeka cię trucizna lub sztylet...

— Król idzie! Król idzie! — ryknął herold.

Oddział Nieśmiertelnych wmaszerował do komnaty i stanął w dwuszerogu, tworząc alejkę prowadzącą do kanapy. Wbiegł szambelan, by rozwinąć specjalny dywan. Po chwili, stawiając sprężyste kroki, wszedł sam Cyrus. Luźna szata falowała wokół jego szczupłej postaci. Za nim podążało kilku dworzan, zahartowanych w bojach wojowników, którzy mieli prawo nosić broń w obecności króla, oraz niewolnik pełniący funkcję mistrza ceremonii. Ten ostatni załamywał ręce z rozpaczy, że nikt nie miał czasu, aby rozłożyć godny władcy kobierzec lub zawołać muzykantów.

W zapadłej nagle ciszy rozległ się głos Wielkiego Króla:

— Co się dzieje? Gdzie jest cudzoziemiec, który mnie wzywa?

Everard odważył się rzucić na niego okiem. Cyrus był wysoki, smukły, lecz szeroki w barach. Wyglądał starzej, niż mówiła Cynthia — Manse uświadomił sobie, że skończył czterdzieści siedem lat, i się zdrygnął — był jednak w dobrej kondycji dzięki wojnom i polowaniom. Miał pociągłą ciemną twarz, orzechowe oczy, prosty nos i pełne wargi; lewy policzek przecinała blizna po ciosie zadany mieczem. Lekko siwiejące czarne włosy nosił zaczesane do tyłu i bardziej dbał o brodę, niż tego wymagał perski obyczaj. Był ubrany tak skromnie, jak na to pozwalał jego status.

— Gdzie jest cudzoziemiec, o którym zameldował mi niewolnik?

— Ja nim jestem, Wielki Królu — powiedział Everard.

— Wstań. Podaj swoje imię.

Manse wstał i mruknął:

— Cześć, Keith.

Bujna winorośl oplatała marmurową pergolę, niemal zasłaniając łuczników, którzy stali wokoło. Keith Denison osunął się na ławkę, wpatrując się w podłogę, i stwierdził z przekąsem:

— Przynajmniej możemy porozmawiać bez obawy. Angielskiego jeszcze nie wymyślono. — Można było poznać, że od dawna nie posługiwał się ojczystym językiem. — Czasami mam wrażenie — podjął — że najtrudniej jest żyć wtedy, gdy nie ma się ani jednej chwili dla siebie. Mogę co najwyżej wyrzucić wszystkich z pokoju, w którym akurat przebywam, ale nadal sterczą pod drzwiami i oknami, pilnując i nasłuchując. Mam nadzieję, że ich lojalne duszyczki będą się smażyć w piekle przez całą wieczność!

— Jeszcze nie pomyślano o życiu prywatnym — przypomniał mu Everard — a takie grube ryby jak ty w żadnej epoce nie miały do niego prawa.

Denison zwrócił ku niemu ściągniętą ze zmęczenia twarz.

— Chciałbym wiedzieć, jak ma się Cynthia. Oczywiście dla niej nie trwało to — nie potrwa — tak długo. Najwyżej tydzień. Czy masz przypadkiem papierosy?

— Zostawiłem je w pojeździe — odparł Everard. — Nie chciałem się tłumaczyć w razie rewizji. Uznałem, że i tak będę miał dość kłopotów, ale nigdy nie przypuszczałem, że zastanę tu ciebie, kierującego całym tym kramem.

— Sam tego nie oczekiwałem. — Denison wzruszył ramionami. — Jeśli kiedyś wydarzyła się jakaś fantastyczna rzecz, to chyba właśnie ta. Same paradoksy czasowe...

— Co się właściwie stało? Denison przetarł oczy i westchnął.

— Włożyłem palec do skrzyni biegów tej epoki. Wiesz, czasami wszystko, co się kiedyś wydarzyło, wydaje mi się nierealne jak sen. Czy istniało kiedyś coś takiego jak chrześcijaństwo, muzyka kontrapunktowa albo Deklaracja Praw Człowieka? Nie mówiąc już o ludziach, których znałem. Ty sam nie należysz do tych czasów, Manse. Powtarzam sobie, że lada moment się obudzę... Pozwól mi zebrać myśli. Czy wiesz, co się wówczas działo? Medowie i Persowie są ze sobą dość blisko spokrewnieni, zarówno pod względem etnicznym, jak kulturowym, ale wtedy rządził akurat Medowie i przejęli od Asyryjczyków wiele obyczajów, które niezbyt przypadły do gustu Persom. Jesteśmy przede wszystkim hodowcami i wolnymi rolnikami. Czy to sprawiedliwe, że mielibyśmy zostać wasalami...? — Denison zamrugał. — Nie, znowu zaczynam! Rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc „my”? W każdym razie w Persji było niespokojnie. Przed dwudziestu laty medyjski król Astiages rozkazał zamordować małego księcia Cyrusa, choć później tego żałował, ponieważ ojciec Cyrusa umierał i spory o sukcesję mogły się przerodzić w wojnę domową. Wtedy właśnie pojawiłem się w górach. Zacząłem od niewielkiej eksploracji przestrzeni i czasu, przeskakując po kilka mil i kilka dni, żeby znaleźć dobrą kryjówkę dla mojego pojazdu. Po części dlatego, żeby Patrol nie mógł go później zlokalizować. W końcu ukryłem go w pewnej jaskini i ruszyłem w drogę pieszo, lecz wkrótce potem wpadłem w tarapaty. Okazało się, że w pobliżu stacjonowała armia medyjska, mająca za zadanie nastraszyć bliskich wszczenia rewolty Persów. Jeden ze zwiadowców, który widział, jak wychodziłem z grotty, poszedł za mną i zanim się zorientowałem, co się dzieje, wpadłem w ich ręce. Dowódca Medów zaczął mnie przesłuchiwać, żądając wyjaśnień dotyczących urządzenia, które zostawiłem w jaskini. Jego ludzie uznali mnie za czarownika i bardzo się mnie bali, ale jeszcze bardziej bali się okazać strach. Oczywiście wieść o moim przybyciu rozeszła się lotem błyskawicy zarówno w armii, jak i wśród okolicznych mieszkańców. Niebawem cała prowincja wiedziała, że pewien cudzoziemiec pojawił się w niezwykłych okolicznościach. Medami dowodził sam Harpagos, najprzebieglejszy i najbardziej uparty człowiek na świecie. Doszedł do wniosku, że mogę mu się przydać i rozkazał mi wprawić w

ruch mojego brązowego konia, lecz nie pozwolił mi go dosiąść. Mimo to udało mi się wysłać go z powrotem w czas i dlatego ratownicy z Patrołu nic nie znaleźli. Przebywał w tym stuleciu tylko kilka godzin, a później zapewne wrócił do Początku.

— Dobra robota! — pochwalił go Everard.

— Och, doskonale wiedziałem, że takie anachronizmy są zakazane. — Denison skrzywił się. — Spodziewałem się jednak, że ludzie z Patrołu mnie uratują. Gdybym wiedział, że tego nie zrobią, to nie wiadomo, czy pozostałbym równie zdyscyplinowanym, zdolnym do wszelkich poświęceń agentem. Mogłem ucześcić się pojazdu i uczestniczyć w grze Harpagosa, aż nadarzyłaby się okazja do ucieczki.

Manse spojrział ponuro na swojego rozmówcę. Pomyślał, że Keith się zmienił. Nie tylko wiek, ale i lata spędzone wśród obcych wywarły na niego większy wpływ, niż przypuszczał.

— Podejmując ryzyko zmiany przyszłości — powiedział Everard — ryzykowałeś istnieniem Cynthii.

— Tak, to prawda. Pamiętam, że o tym myślałem... wtedy. Wydaje mi się, że to było tak dawno!

Denison pochylił się do przodu, oparł ręce na kolanach i utkwiał wzrok w zielonej zasłonie okrywającej pergolę. Mówił dalej apatycznie:

— Oczywiście Harpagos ciskał gromy. Przez jakiś czas myślałem, że mnie zabije. Zabrali mnie związanego jak indyka przed upieczeniem. Ale, jak ci już mówiłem, krążyły o mnie pogłoski, które coraz bardziej ubarwiano. Harpagos zrozumiał, że może mnie lepiej wykorzystać. Dał mi do wyboru: albo przyjmę jego warunki, albo każe mi poderżnąć gardło. Co mogłem zrobić? Zwłaszcza że problem zmiany przyszłości w ogóle się nie pojawił: bardzo szybko odkryłem, że gram rolę, którą historia już napisała. Harpagos przekupił pewnego pasterza, który miał potwierdzić jego opowieść i przedstawił mnie jako Cyrusa, syna Kambyzesa.

Everard, którego ta rewelacja wcale nie zaskoczyła, skinął głową i zapytał:

— Dlaczego to zrobił?

— Na początku chciał umocnić rządy Medów. Wiedział, że zależny od niego król Anszanu będzie musiał dochować wierności Astiagesowi i że w ten sposób zjednoczy wszystkich Persów. Brałem w tym udział, będąc zbyt zdezorientowany, żeby robić coś więcej ponad wypełnianie poleceń Harpagosa. Spodziewałem się, że lada chwila przybędzie pojazd Patrołu i wybawi mnie z kłopotliwego położenia. Fanatyczne umiłowanie prawdy cechujące irańskich arystokratów bardzo nam pomogło: tylko nieliczni podejrzewali, że skłamałem, przysięgając, iż jestem Cyrusem. Przypuszczam jednak, że nie zwiodłem Astiagesa. Zresztą król Medów zemścił się straszliwie na Harpagosie za to, że nie wykonał jego rozkazu i nie zabił Cyrusa, mimo iż teraz obecność fałszywego księcia była mu na rękę. Zakrawa to na ironię losu, ponieważ przed dwudziestu laty Harpagos był mu ślepo posłuszny! Jeśli idzie o mnie, to przez pięć następnych lat czułem coraz większą antypatię do Astiagesa. Teraz, oceniając to z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, że wcale nie był diabłem z piekła rodem, tylko zwyczajnym orientalnym monarchą, typowym w tej epoce. Trudno jest zdobyć się na obiektywizm, gdy trzeba patrzeć, jak torturuje się człowieka. Harpagos, pałając żądzą zemsty, uknuł spisek i zaproponował mi objęcie przywództwa, na co się zgodziłem. — Denison uśmiechnął się krzywo. — Byłem przecież Cyrusem Wielkim i miałem odegrać swoją rolę na arenie dziejów. Na początku mieliśmy twardy orzech do zgryzienia, gdyż napadali na nas Medowie. Ale wiesz co, Manse? To mi się spodobało. Było zupełnie inaczej niż w tym cholernym dwudziestym wieku, kiedy siedziałeś w lisiej norze, zastanawiając się, czy ogień zaporowy nieprzyjaciela nie przygniecie cię na zawsze. Och, tutaj wojna także jest przerażająca, zwłaszcza gdy służysz jako prosty żołnierz i wybuchnie zaraza, jak to się zawsze dzieje. Ale kiedy

już walczysz, na Boga, to walczysz! Własnymi rękami! Przekonałem się, że mam talent do takiej zabawy. Przeżyłem wspaniałe chwile!

Wielki Król ożywił się i ciągnął z entuzjazmem:

— Na przykład tego dnia, kiedy zaatakowała nas znacznie liczniejsza lidyjska kawaleria. Pognaliśmy przodem wszystkie juczne wielbłądy, za nimi ruszyła piechota, a na samym końcu nasza jazda. Kuce Krezusa zwęszyły wielbłądy i rzuciły się do ucieczki. Może do dziś gnają na łeb na szyję! Wymietliśmy ich dokładnie! — nagle urwał.

Spojrzał Everardowi w oczy i przygryzł wargi.

— Przepraszam, poniosło mnie — podjął. — Od czasu do czasu przypominam sobie, że w naszej epoce nie byłem zabójcą — szczególnie po bitwie, gdy widzę zabitych i, co jest jeszcze straszniejsze, rannych. Ale to było silniejsze ode mnie, Manse! Musiałem walczyć! Na początku był bunt przeciwko Astiagesowi. Jak długo bym pożył, gdybym nie wziął udziału w grze Harpagosa? A później spadły na mnie obowiązki wobec państwa. Nie prosiłem ani Lidyjczyków, ani wschodnich barbarzyńców, żeby nas zaatakowali. Czy widziałeś kiedyś miasto splądrowane przez Turanów, Manse? To walka na śmierć i życie. Tyle że kiedy my zwyciężamy, nie zakuwamy pokonanych w kajdany, zachowują oni swoje ziemie, obyczaje i... Na Mitrę, Manse, czy mogłem zrobić coś innego?

Everard siedział, wsłuchując się w szelest liści poruszanych łagodnym wietrzykiem. Wreszcie powiedział:

— Nie, rozumiem. Mam nadzieję, że nie byłeś zbyt samotny.

— Przyzwyczailem się do tego — odparł ostrożnie Denison. — Harpagos został moim znajomym. To interesujący człowiek. Krezus okazał się bardzo porządnym jegomościem. Mag Kobad ma oryginalne myśli i jest jedynym z dworzan, który nie boi się wygrać ze mną w szachy. Oprócz tego są uczty, polowania i kobiety...

— Rzucił Everardowi wyzywające spojrzenie. — Taak. A co jeszcze miałbym robić?

— Nic — odrzekł Manse. — Szesnaście lat to bardzo długo.

— Kassadane, moja główna żona, wynagrodziła mi z nawiązką wszelkie kłopoty i przykrości. Chociaż Cynthia, na Boga, Manse!

— Denison wstał i oparł ręce na ramionach Everarda. Zacisnął palce aż do bólu: przez ponad piętnaście lat trzymał w nich topór, łuk i wodze. Król Persów krzyknął głośno:

— Jak chcesz mnie stąd wyciągnąć?!?

7

Everard również wstał i podszedł do krańca marmurowej posadzki. Wsadził kciuki za pas, pochylił głowę i utkwiał wzrok w kamiennym wzorze.

— Naprawdę nie wiem — odparł.

Denison uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Tego się właśnie obawiałem. Z roku na rok coraz bardziej się bałem, że jeśli nawet Patrol mnie znajdzie... Musisz mi pomóc.

— Mówię ci, że nie mogę — odparł Everard. Głos mu się załamał. — Zastanów się. Na pewno robiłeś to wielokrotnie. Nie jesteś jakimś drobnym barbarzyńskim kacykiem, którego kariera w żaden sposób nie zmieni biegu wydarzeń w tej epoce. Jesteś Cyrusem, założycielem imperium perskiego, główną postacią w ważnym środowisku. Jeżeli Cyrus zniknie, wraz z nim zniknie przyszłość! Nie będzie w niej żadnej dwudziestowiecznej Cynthii!

— Czy jesteś tego pewny? — zapytał błagalnie Denison.

— Zanim tutaj przybyłem, dokładnie sprawdziłem wszystkie fakty — powiedział Everard przez zaciśnięte zęby. — Przestali się oszukiwać. Żywimy uprzedzenia wobec Persów, ponieważ w pewnej epoce byli wrogami Greków, a zręby naszej cywilizacji powstały dzięki kulturze helleńskiej. Persowie są jednak przynajmniej tak samo ważni! Widziałeś to na własne oczy. Pewnie, że z naszego punktu widzenia są bardzo okrutni, lecz taka jest ta epoka. Grecy im nie ustępują. Persowie nie znają demokracji, ale nie można ich potępiać za to, że nie skorzystali z europejskiego wynalazku, nie pasującego do ich sposobu myślenia. Liczy się co innego. Otóż Persja była pierwszym mocarstwem, które starało się szanować i zjednywać sobie podbite ludy i liczyło się z ich prawami. Podporządkowało sobie tak rozległe terytoria, że umożliwiło regularne kontakty między Wschodem a Zachodem. Stworzyło zoroastrizm — żywotną światową religię, nie ograniczającą się ani do jednego ludu, ani kraju. Może nie wiesz, jak silnie chrześcijańska wiara i obrządek są zakorzenione w mitraizmie? Wierz mi, że bardzo silnie. Nie mówiąc już o judaizmie, który ty, Cyrus Wielki, uratujesz. Pamiętasz? Kiedy opanujesz Babilon, pozwolisz wrócić do ojczyzny Żydom, którzy zachowali narodową tożsamość. Gdyby nie ty, zostaliby wchłonięci, rozpląnęliby się w morzu obcych, tak jak dziesięć innych plemion Izraela. Imperium perskie nawet w okresie schyłku było źródłem cywilizacji. Na czym bowiem polegała większość podbojów Aleksandra Wielkiego, jeśli nie na opanowaniu terytoriów, które przedtem należały do Persji? Dzięki temu hellenizm rozprzestrzenił się na cały znany świat! Powstały też państwa będące spadkobiercami imperium perskiego: Pont, Partia, Persja Firdausiego, Omara* i Hafiza*, Iran, który znamy, i Iran z przyszłości znacznie odleglejszej niż dwudziesty wiek...

Everard odwrócił się na pięcie.

— Jeśli odejdiesz — powiedział — mogę sobie wyobrazić, że za trzy tysiące lat ludzie nadal będą budować zikkuraty*, wróżyć z wnętrzości zwierząt i przemierzać puszcze Europy — Europy, która nie odkryła Ameryki.

Denison zgarbił się.

— Taak — odparł. — Tak też myślałem.

Przez jakiś czas chodził tam i z powrotem po tarasie, a jego twarz zdawała się starzeć z minuty na minutę.

— Jeszcze trzynaście lat — mruknął, tak że można było pomyśleć, iż zwraca się tylko do siebie. — Za trzynaście lat zginę w bitwie z koczownikami. Nie wiem dokładnie, jak to się stanie, ale tak czy owak to mnie czeka. Przecież okoliczności zmusiły mnie do dokonania tego, co już, chcąc nie chcąc, dokonałem... Wiem, że mój syn Kambyzes, mimo moich wysiłków, by go dobrze wychować, okaże się nieudolnym osobnikiem i w dodatku sadystą i że trzeba będzie Dariusza, aby uratować imperium. Ach, Boże! — Zasłonił twarz szerokim rękawem. — Wybacz mi. Gardzę ludźmi, którzy rozczulają się nad sobą, ale to silniejsze ode mnie.

Everard usiadł, odwracając wzrok, słyszał jednak głośny, urywany oddech Denisona.

Wreszcie Wielki Król napelnił winem dwa kielichy, usiadł na ławce obok niego i stwierdził sucho:

— Przepraszam. Ze mną już wszystko w porządku. Jeszcze nie skapitulowałem.

— Mogę przekazać twoją sprawę do kwatery głównej — rzekł Everard nieco ironicznie.

Denison zawtórował mu:

* Omar Chajjam — perski poeta, astronom i filozof.

* Hafiz — sławny perski poeta.

* zikkurat — budowany w Mezopotamii rodzaj świątyni w kształcie ściętej piramidy. (Przyp. tłum.)

— Piękne dzięki, przyjacielu. Doskonale pamiętam ich poglądy. Żaden z nas nie jest naprawdę niezastąpiony. Zabronią podróżować do epoki Cyrusa, żebym nie uległ pokusie, i przysłał mi uprzejme pismo. Przypomną mi, że jestem władcą absolutnym cywilizowanego ludu i że posiadam wielką liczbę pałaców, niewolników, winnic, artystów i terenów łowieckich. Na co miałbym się uskarżać? Nie, Manse, to sprawa, którą musimy załatwić sami.

Everard zacisnął palce dłoni tak mocno, że paznokcie wpiły się w jego ciało.

— Czy zdajesz sobie sprawę, w jak trudnym stawiasz mnie położeniu, Keith?

— Proszę cię tylko, żebyś się zastanowił nad tym problemem; i, na przekłętą Arymana, zrobisz to!

Znów silne palce Wielkiego Króla zacisnęły się jak cęgi na ramieniu Everarda. Zdobywca Wschodu wydał podniesionym głosem jakiś rozkaz. „Dawniej Keith nigdy nie użyłby takiego tonu” — pomyślał Manse, drżąc z gniewu. „Jeżeli nie wrócisz i Cynthia zostanie przekonana, że nigdy do tego nie dojdzie, będzie mogła do ciebie przybyć, Keith. Jeszcze jedna cudzoziemka w królewskim haremie w niczym nie zmieni historii. Jeśli jednak złożę raport w kwaterze głównej przed spotkaniem z Cynthia i zasygnalizuję, że tego problemu nie można rozwiązać, co jest najszczerzą prawdą... Patrol zakaze podróży do epoki Cyrusa i nigdy jej nie zobaczysz”.

— Rozważyłem to wszystko — podjął spokojniejszym tonem Denison. — Równie dobrze, jak ty, znam wszystkie implikacje mojej sytuacji. Gdybym pokazał ci jaskinię, w której przez kilka godzin znajdował się mój chronocykl, mógłbyś się zmaterializować w tej samej chwili, gdy się tam pojawiłem, i mnie ostrzec.

— Nie, w żadnym wypadku — odparował Everard — i to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że zabraniają tego nasze przepisy. W innych okolicznościach nasze władze zrobiłyby wyjątek. Jest jednak i drugi powód: ty jesteś Cyrusem. Patrol nie poświęci całej przyszłości dla uratowania jednego mężczyzny.

„Czy zrobiłbym to dla jednej kobiety? Nie wiem. Mam nadzieję, że nie... Cynthia nie musi poznać wszystkich faktów i lepiej by dla niej było, gdyby jej nie wtajemniczono. Jako samodzielny agent mógłbym zażądać, żeby zatajono prawdę przed niższymi rangą oficerami Patrolu. Powiedziałbym jej tylko, że Keith zmarł w okolicznościach, które zmusiły nas do zamknięcia tej epoki dla ruchu w czasie. Na pewno będzie cierpiała, lecz jest zbyt zrównoważona, żeby nosić żałobę... oczywiście, byłoby to świństwo wobec niego... ale czy nie wyświadczyłbym jej przysługi, nie godząc się, aby przybyła do środowiska, gdzie będzie musiała dzielić się ukochanym mężczyzną z przynajmniej tuzinem księżniczek, które Cyrus poślubił ze względu na rację stanu? Czy nie byłoby dla niej lepiej, gdyby z nim zerwała i rozpoczęła życie od nowa, pozostając przy tym wśród swoich?”

— No tak — burknął Denison. — Wspomniałem o tej możliwości tylko po to, żeby ją wykluczyć. Przecież musi istnieć jakiś inny sposób. Posłuchaj mnie, Manse. Przed szesnastu laty powstała sytuacja, z której wynikło to wszystko, a nie była ona rezultatem ludzkiego kaprysu, lecz logiki wydarzeń. A gdybym się nie zjawił? Czy Harpagos nie znalazłby innego fałszywego Cyrusa? Prawdziwa tożsamość króla Persji się nie liczy. Inny Cyrus na co dzień zachowywałby się inaczej. To naturalne. Jeśli jednak nie byłby kretynem czy maniakiem, lecz przeciętnie zdolnym i uczciwym człowiekiem — a musisz przyznać, że tak jest w moim przypadku — jego kariera w ogólnych zarysach nie różniłaby się od mojej. Nastąpiłyby te same wydarzenia, które opisano w dziełach historycznych. Wiesz równie dobrze jak ja, że poza kilkoma krytycznymi punktami czas zawsze powraca do swojego pierwotnego kształtu. W miarę upływu dni i lat niewielkie różnice zacierają się. To jest negatywne sprzężenie zwrotne. Tylko w kluczowych momentach może wystąpić pozytywne sprzężenie zwrotne, którego rezultaty mnożą się w czasie, zamiast zanikać. Dobrze o tym wiesz!

— Oczywiście — odparł Everard — ale sądząc na podstawie tego, co mi powiedziałaś, uważam, że twoje pojawienie się w tamtej jaskini było właśnie wydarzeniem przełomowym. To dzięki niemu Harpagosowi przyszedł do głowy taki, a nie inny plan. Gdyby nie to... łatwo mogę sobie wyobrazić schyłek, później zaś rozpad imperium medyjskiego. Może padłoby łupem Lidyczyków lub Turanów, ponieważ Persowie nie mieliby odpowiedniego przywódcy, którego władza opierałaby się na prawie boskim... Nie, nie zbliżyłbym się do tej krytycznej chwili w grocie bez pozwolenia Danellianina.

Denison spojrział na niego ponad uniesionym kielichem i powoli opuścił naczynie, nie odrywając oczu od Everarda. Jego rysy stężały. Wreszcie powiedział bardzo łagodnie:

— Nie chcesz, żebym wrócił, prawda?

Manse zerwał się z ławki. Kielich wypadł mu z ręki i z brzękiem potoczył się po podłodze; wino wylało się z niego jak krew.

— Zamknij się! — wrzasnął. Denison skinął głową i rzekł:

— Jestem królem. Wystarczy, żebym skinął małym palcem, a moi gwardziści porąbią cię na kawałki.

— Dziwny sposób na przekonanie mnie, żebym ci pomógł! — warknął Everard.

Denison siedział przez jakiś czas nieruchomo. W końcu powiedział:

— Wybacz mi, Manse. Nie możesz sobie wyobrazić, jaki to szok... och, tak, tak, to nie było takie złe życie. Znacznie bardziej malownicze niż większości ludzi i wydaje mi się, że niby-boskość nie pozostaje bez wpływu na człowieka. Przypuszczam, że właśnie dlatego za trzynaście lat wyruszę przeciw Scytom. Nie będę mógł postąpić inaczej, czując na sobie spojrzenia tych wszystkich młodych lwów. Do diabła, myślę nawet, że gra była warta świeczki.

Na jego ustach zaigrał lekki uśmiech.

— Niektóre z moich dziewczyn były nadzwyczajne. No i mam jeszcze Kassadane. Uczyniłem ją główną żoną, ponieważ przypomina mi nieco Cynthię. Po tylu latach trudno to określić, ale dwudziesty wiek wydaje mi się nierealny. Jeden dobry koń sprawia więcej radości niż sportowy samochód... W dodatku wiem, że moja praca tutaj coś znaczy, a tylko niewielu ludzi los obdarzył taką pewnością... Taak. Przepraszam, że się uniosłem. Wiem, że pomógłbyś mi, gdybyś się odważył. Ponieważ tak nie jest, a ja nie żywię do ciebie urazy, nie musisz się o mnie martwić.

— Przestań! — jęknął Everard.

Miał wrażenie, że jego mózg wypełniają koła zębate, obracające się w próżni. Na suficie zobaczył malowidło przedstawiające młodzieńca zabijającego byka. Byk był zarazem słońcem i człowiekiem. Za kolumnami i zasłoną z winorośli kroczyli tam i z powrotem gwardziści w kolczugach, z napiętymi łukami w dłoniach; ich twarze sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w drewnie. W oddali dostrzegł skrzydło pałacu, w którym mieścił się harem, gdzie sto, a może tysiąc młodych kobiet uważało się za szczęśliwe, gdyż mogły czekać na możliwość zaspokojenia królewskiej żądzy. Za murami miasta falowały łany dojrzałego zboża. (Żeńcy właśnie składali ofiary Matce — Ziemi, która była uznawana za bóstwo od niepamiętnych czasów, kiedy na te ziemie przybyli Aryjczycy). Na horyzoncie majaczyły góry, w których żyły wilki, lwy, dziki i demony.

To wszystko było zbyt obce. Everard przecenił swoją zdolność akomodacji w obcym środowisku. Nagle zapragnął tylko jednego — uciec, ukryć się, wrócić do swojej epoki i zapomnieć o wszystkim...

— Zapytam kolegów o radę — powiedział ostrożnie. — Badając szczegółowo całe środowisko, możemy natrafić na punkt zwrotny, ale brak mi kwalifikacji, żeby określić to na własną rękę, Keith. Jeśli chcesz, wrócę w przyszłość i zasięgnę rady. Jeżeli znajdziemy rozwiązanie, wrócę jeszcze tej nocy.

— Gdzie jest twój chronocykl?

Manse machnął ręką i odparł wymijająco:

— Tam, na wzgórzach.

Denison pogładził brodę.

— Nie powiesz mi nic więcej, co? W gruncie rzeczy masz rację. Nie jestem pewien, czy bym sobie zaufał, gdybym wiedział, gdzie jest pojazd czasu.

— Nie o to mi chodziło! — zawołał Everard.

— Och, to nieważne. Nie pobijemy się o to — westchnął Denison. — Niech tak będzie: jedź do domu i zobacz, co się da zrobić. Czy chcesz eskortę?

— Wolałbym nie. Czy to konieczne?

— Nie. W tej epoce jest bezpieczniej niż w Central Parku.

— To niewiele znaczy. — Everard wyciągnął rękę. — Rozkaż, żeby zwrócono mi konia. Nie chciałbym go stracić: to zwierzę specjalnie wytresowane do podróży w czasie. — Spojrzał w oczy Keitha. — Wrócę bez względu na to, jaka zapadnie decyzja.

— Wiem, Manse — odparł Denison.

Wyszli razem i zadośćuczynili wymaganiom dworskiej etykiety, zawiadamiając gwardzistów i odźwiernych. Denison pokazał Everardowi komnatę, w której zamierzał czekać na niego co noc przez najbliższy tydzień. Wreszcie Manse pocałował stopy Wielkiego Króla. Kiedy ten się oddalił, Everard wskoczył na konia i powoli wyjechał za wrota pałacu.

Czuł pustkę w sercu. Naprawdę nie mógł nic zrobić.

A przecież obiecał Keithowi, że wróci i zawiadomi go o decyzji.

8

Pod koniec dnia znalazł się wśród wzgórz, kłusując w ponurym cieniu wielkich cedrów. Wokoło szemrały strumyki, a boczna droga, w którą skręcił, zmieniła się w stromą i krętą ścieżkę. W tej epoce, mimo wyjąłowienia gleby, w Persji wciąż jeszcze rosły takie lasy.

Jego zmęczony koń ciężko stąpał. Powinien znaleźć jakąś pasterską chatę i poprosić o gościnę, chociażby po to, żeby dać odpocząć biednemu zwierzęciu. Nie chciał jednak tego zrobić. Podczas pełni księżyca będzie mógł dotrzeć do miejsca, gdzie ukrył chronocykl, przed wschodem słońca, nawet gdyby musiał wędrować pieszo. W każdym razie na pewno nie zmruży oka tej nocy...

Widok polany porośniętej trawą i otoczonej krzakami oblepionymi jagodami zachęcił go do odpoczynku. W sakwach przy siodle miał żywność i bukłak z winem, a pościł od świtu. Cmoknął na konia i zawrócił. Coś przykuło jego uwagę. Daleko na ścieżce zauważył powiększający się z minuty na minutę obłok kurzu. Odgadł, że to kilku jeźdźców pędzących co koń wyskoczy. Królewscy wysłannicy? W tych stronach? Zaniepokojony włożył hełm, zawiesił tarczę na ramieniu i sprawdził, czy może łatwo wyjąć z pochwy swój krótki miecz. Na pewno jeźdźcy miną go, pozdrawiając życzliwie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Naliczył ich ośmiu. Dosiadali wspaniałych wierzchowców (ostatni prowadził luzaki), lecz zwierzęta padały ze zmęczenia. Pot rysował arabeski na ich zakurzonych bokach, a grzywy lepiły się do szyj. Nieznajomi byli przywoicie ubrani w tradycyjne szerokie białe spodnie, kaftany, bury, płaszcze i wysokie kapelusze bez skrzydeł. Nie wyglądali na dworzan czy zawodowych żołnierzy, ale i nie na bandytów. Ich uzbrojenie składało się z szabli, łuków i lass.

Nagle Everard rozpoznał siwobrodego starca jadącego na czele: to był Harpagos! Mimo iż się ściemniało, zauważył, że nawet w warunkach perskich członkowie eskorty wezyra sprawiali wrażenie typów spod ciemnej gwiazdy.

— Oho ho — powiedział półgłosem. — Można rzec, że zaczęły się wakacje.

Wyteżył umysł. Nie miał czasu, żeby się bać. Musiał szybko myśleć. Harpagos zapuścił się tak daleko tylko w jednym celu: żeby pojmać Greka Meandra. Oczywiście na pełnym szpiegów i gadułów dworze wezyr w ciągu godziny dowiedział się, że król rozmawiał z cudzoziemcem w obcym języku jak równy z równym i że pozwolił mu odjechać na północ. Znacznie więcej czasu zabrało chiliarsze wymyślenie pretekstu do opuszczenia pałacu, wezwanie straży przybocznej i rozpoczęcie polowania na Greka. Dlaczego? Ponieważ właśnie w tych stronach przed lary pojawił się „Cyrus” na tajemniczej rzeczy, która spodobała się Harpagosowi. Starego Meda, który przecież nie był głupcem, nigdy nie zwiodła historyjka opowiedziana przez Keitha. Na pewno przypuszczał, że prędzej czy później przybędzie inny mag z ojczyzny króla, a wtedy nie pozwoli równie łatwo jak niegdyś sprzątnąć sobie sprzed nosa spiżowego „konia”.

Everard nie tracił więcej czasu. Pogoń znajdowała się w odległości zaledwie pięciuset metrów od niego. Dostrzegł błyszczące oczy chiliarchy.

— Zatrzymaj się! — dobiegł go z tyłu znajomy głos. — Zatrzymaj się, Greku!

Manse zmusił swojego zmęczonego konia do kłusu. Cedry rzucały na niego długie cienie.

— Zatrzymaj się albo będziemy strzelać... stój!... strzelajcie! Nie żeby zabić! Celujcie w konia!

Na skraju lasu Everard zsunął się z siodła. Usłyszał przeciągłe świsty i odgłosy uderzeń. Jego koń zarżał boleśnie. Kiedy Manse się odwrócił, nieszczęsne zwierzę osunęło się na kolana. Na Boga, ktoś za to odpowie! Był jednak sam, a prześladowców — ośmiu. Rzucił się między drzewa. Strzała świsnęła obok jego lewego ramienia i wbiła się w pień.

Biegł, kluczył, niekiedy padał na ziemię. Czasami niższe gałęzie smagały go po twarzy. Mógłby lepiej wykorzystać leśne poszycie — nauczył się kilku algonkińskich* sztuczek przydatnych dla zbiega — ale przynajmniej miękka ziemia tłumiała kroki. Stracił Persów z oczu. Próbowali dopaść go konno, jadąc na wycucie. Trzask łamanych gałęzi i odgłosy szamotaniny, którym towarzyszyły ohydne przekleństwa, dowodziły, że to im się nie udało.

Łada moment mogli pojawić się pieszo. Everard nastawił ucha. Cichy szmer wody...

Ruszył w stronę niewidocznego potoku, pnąc się na strome, usiane głazami zbocze. Nie ścigały go zwykle mieszczuchy.

Przynajmniej niektórzy byli góralami potrafiącymi znaleźć nawet najmniej wyraźne ślady jego stóp. Musiał więc ich zmylić. Kiedy tego dokona, będzie mógł się ukryć i czekać spokojnie, aż Harpagos wróci do pałacu.

Nagle zaschło mu w gardle. Usłyszał za sobą rozkazy wydawane ostrym władcym tonem, ale nie rozumiał ich sensu. Był za daleko, a ponadto czuł w uszach mocne pulsowanie krwi.

Harpagos kazał strzelać do królewskiego gościa. Nie zamierzał więc pozwolić, żeby ten powiedział o napaści „Cyrusowi”. Plan był jasny jak słońce: schwytać zbiega, poddać go torturom, żeby wskazał kryjówkę pojazdu i wyjaśnił, jak go obsłużyć, a później z nim skończyć. „Ładna historia — pomyślał gorączkowo Everard — tak spartaczyłem tę robotę, że mogłoby to zostać opisane gwoli przestrogi w podręczniku dla agentów Patrolu. Punkt pierwszy: nie zadrećzać się myślami o dziewczynie kochającej innego mężczyznę do tego stopnia, żeby zapomnieć o elementarnych środkach ostrożności”.

* Algonkinowie — plemię indiańskie zamieszkujące niegdyś północno-wschodnie obszary USA. (Przyp. tłum.)

Dotarł na skraj wysokiej skarpy, u której podnóża wił się strumyk. Persowie dojdą jego tropem do tego miejsca, a później... rzut monetą rozstrzygnie, dokąd się skieruje... Ślizgając się po zimnym błocie, niezdarnie schodził. Lepiej pójść w górę strumienia: po pierwsze, znajdzie się bliżej chronocykla, a po drugie, Harpagos może pomyśleć, że uciekinier zawraca, żeby dotrzeć do króla.

Kamienie kaleczyły jego cierpnące w lodowatej wodzie stopy. Na brzegach strumienia rósł gęsty nieprzebyty las. Wysoko na niebie szybował orzeł. Robiło się coraz chłodniej. Szczęście jednak nie całkiem opuściło Everarda, gdyż strumyk wił się niczym oszalały wał. Manse szedł jego korytem, ślizgając się i potykając, i szybko przestał być widoczny z miejsca, gdzie wszedł do wody. „Przejdę jeszcze kilometr albo dwa, a później może znajdę jakąś zwisającą gałąź i wyjdę na brzeg, nie zostawiając śladów”. Wolno mijały minuty.

„Odzyskam pojazd, wrócę do przyszłości i poproszę szefów o pomoc. Dam głowę, że mi jej nie udziela. Dlaczego nie mieliby poświęcić jednego człowieka dla zapewnienia egzystencji sobie i tym, których mają chronić? Keith definitywnie wpadł i za trzynaście lat załatwią go barbarzyńcy. Ale wtedy Cynthia będzie jeszcze młoda. Po trzynastu latach spędzonych na wygnaniu w tej obcej i strasznej epoce — od początku wiedząc, jak długo pożyje jej mąż — zostanie sama na dworze Kambyzesa, szaleńca i sadysty... Nie, nie powiem jej prawdy. Niech nie opuszcza dwudziestego wieku, niech sądzi, że Keith nie żyje. Myślę, że Denison sam tak by postąpił. Za rok lub dwa znów będzie szczęśliwa. Mógłbym jej w tym pomóc”.

Amerikanin zatrzymał się. Skały kaleczyły mu źle chronione cienkimi podeszwami stopy; był cały obolały i słał się na nogach. Woda wydała mu się zbyt hałaśliwa. Później skręcił i ujrzał dwóch Persów.

Brodzili w wodzie, idąc w dół strumienia. Tak bardzo chcieli go pojmać, że złamali religijne zasady zabraniające kalania wody. Dwóch innych szło po obu stronach potoku, prześlizgując się między drzewami. Jednym z tych ostatnich był Harpagos. Wyciągnęli z pochew długie miecze.

— Zatrzymaj się! — zawołał chiliarcha. — Zatrzymaj się, Greku, i się poddaj!

Everard znieruchomiał. Woda pluskała wokół jego kostek. Idący w jego stronę Persowie wydawali mu się nierealni; w głębokim cieniu ich ciemne twarze były zamazane i widział tylko ich białe stroje i błyszczące miecze. Wstrząśnięty zrozumiał, że doszli po jego śladach do potoku, a potem, rozdzielili się, aby przeszukać tak górny, jak dolny odcinek. Idąc brzegiem, posuwali się szybciej od niego. Niebawem odnaleźli miejsce, dokąd w najlepszym razie mógłby dotrzeć, po czym zawrócili. Szli teraz wolniej, pewni, że im się nie wymknie.

— Weźcie go żywcem! — przypomniał im Harpagos. — Przetnijcie mu ścięgna w kolanie, jeśli będzie trzeba, ale weźcie go żywcem.

Everard odwrócił się w stronę, skąd padł rozkaz.

— Sam tego chciałeś, łajdaku! — warknął po angielsku.

Dwaj żołnierze, którzy weszli do wody, wrzasnęli i zaczęli biec. Jeden potknął się i upadł na twarz, drugi zaś zjechał na siedzeniu ze zbocza.

Błoto było śliskie i Everard wspierał się na tarczy, żeby utrzymać równowagę podczas wspinaczki. Harpagos spokojnie wyszedł mu na spotkanie. Kiedy Amerikanin znalazł się w zasięgu jego miecza, chiliarcha zadał cios z góry. Everard odwrócił głowę; brzeszczot zadzwieczał na jego hełmie, odbił się od ochraniacza policzka i drasnął go w prawe ramię, niezbyt głęboko. Manse poczuł tylko zwykłe pieczenie, a później był zbyt zaaferowany, by cokolwiek odczuwać.

Nie liczył na zwycięstwo. Zmusi ich, żeby go zabili, ale przedtem zapłacą wysoką cenę. Znalazłszy się na porośniętym trawą terenie, ledwie zdążył przyjąć na tarczę cios Harpagosa celującego w oczy, a następnie odbić płazem brzeszczot, który tym razem był wymierzony w kolano. W pojedynku z hoplitą lekko zbrojny Azjata nie miał żadnych szans, co zostało

udowodnione dwa pokolenia później. „Gdybym miał teraz na sobie porządną zbroję i nagolenniki, mógłbym pokonać całą czwórkę!” — pomyślał Everard, zręcznie manewrując tarczą nie tylko po to, by się osłonić, lecz także żeby zmusić przeciwnika do odwrotu; uparcie starał się wśliznąć pod długi miecz chiliarchy i zadać mu cios w brzuch.

Harpagos uśmiechnął się pogardliwie pod nastroszonymi siwymi wąsami i odskoczył. Chciał zyskać na czasie i to mu się udało. Trzech żołnierzy wdrapało się na brzeg i z krzykiem rzuciło na rzekomego Meandra. Atakowali w rozproszeniu. Wspaniale walcząc w pojedynkę, Persowie nigdy nie przyswoili sobie europejskiej dyscypliny, której im zabrakło na polach Maratonu i Gaugameli. Jednakże tocząc nierówny bój z czterema wojownikami, Manse nie miał żadnych szans.

Oparł się plecami o drzewo. Pierwszy przeciwnik rzucił się na niego i jego miecz zadźwięczał na podłużnej greckiej tarczy. Brzeszczot miecza Everarda wyskoczył do przodu i zagłębił się w ciele Persa. Poczawszy miękki, ale mimo wszystko wyraźny opór Amerykanin, który stoczył już niejedną walkę, wyciągnął ostrze z rany i szybko odstąpił na bok. Śmiertelnie ranny wojownik z jękiem osunął się na ziemię. Powoli wyciekało zeń życie. Zrozumiawszy, że umiera, zwrócił twarz ku niebu.

Jego towarzysze otoczyli Manse'a. Zwisające nisko gałęzie uniemożliwiały im użycie łańcuchów, więc zdecydowali się na bezpośrednie starcie. Uderzeniem tarczy Everard odtrącił brzeszczot miecza atakującego go z lewej strony Persa, odsłaniając przy tym swój prawy bok. Świadomie podjął to ryzyko, bo Harpagos polecił swoim ludziom wziąć go żywcem. Drugi strażnik zamachnął się mieczem, mierząc w kostki uciekiniera, który podskoczył i ostrze ze świstem przemknęło pod jego złączonymi stopami. Napastnik z lewej ponownie zaatakował. Manse poczuł mocne uderzenie i zobaczył, że perski miecz zagłębił się w jego łydce. Odskoczył do tyłu. Promień zachodzącego słońca przedarł się przez gęstwinę, oświetlając krew, która niesamowicie zaślniła. Zraniona noga ugięła się pod „Meandrem”.

— Tak, tak! — wołał Harpagos stojący jakieś trzy metry dalej. — Rąbcie go!

Manse warknął znad krawędzi tarczy:

— Wasz dowódca to szakal, który nie odważyłby się zrobić tego sam po tym, jak uciekł przede mną, chowając ogon pod siebie!

To było dobrze obliczone. Ataki na chwilę ustały i Manse, zataczając się, postąpił krok naprzód.

— Jeśli wy, Persowie, koniecznie musicie być psami łańcuchowymi jakiegoś Meda — podjął — to przynajmniej wybierzcie sobie człowieka honoru, a nie tchórza, który zdradził króla i teraz ucieka przed samotnym Grekiem.

Nawet w kraju leżącym tak daleko na zachodzie i w tak odległej epoce żaden Azjata nie mógł puścić płazem takiej obelgi. Harpagos wcale nie był tchórzem; Everard doskonale wiedział, że jego oskarżenia są bezpodstawne. Chiliarcha zaklął wściekle i zaatakował. Amerykanin dostrzegł oszalałe oczy osadzone w chudej twarzy z krogulczym nosem. Chwiejąc się na nogach, stawiał czoło wezyrowi. Pozostali Persowie wahali się sekundę za długo. Everard i Harpagos starli się. Szabla Meda spadła na grecki hełm, ześliznęła się po tarczy i wbiła w nogę „Meandra”. Luźna biała tunika zafalowała przed oczami Manse'a, który pochylił się i pchnął mieczem z całej siły.

Wyciągnął miecz z, dobrze znanym zawodowcom, okrutnym skrętem, który zamieniał każdą ranę w śmiertelną, odwrócił się na prawej pięcie i wychwycił cios tarczą. Przez chwilę zaciekle walczył z kolejnym napastnikiem. Kątem oka dostrzegł, że pozostali żołnierze zataczają krąg, chcąc go zająć od tyłu. „No cóż — pomyślał dziwnie obojętnie — przynajmniej zabiłem jedyne go człowieka, który mógł być niebezpieczny dla Cynthii...”

— Przestańcie! Opuśćcie broń!

Wołanie było cichsze niż szmer strumienia, ale atakujący wojownicy zatrzymali się i opuścili miecze; nawet konający Pers przestał wpatrywać się w niebo.

Harpagos usiadł z trudem w kałuży krwi. Jego twarz zszarzała.

— Nie... zaczekajcie — szepnął. — To nie przypadek. Mitra nie pozwoliłby mi zginąć, gdyby...

Przywołał swojego niedawnego przeciwnika dziwnie wielkopańskim gestem. Everard opuścił miecz, kulejąc zbliżył się do wezyra i uklęknął obok niego. Harpagos osunął mu się w ramiona.

— Przybywasz z ojczyzny króla — powiedział chrapliwie. — Nie zaprzeczaj. Wiedz jednak, że... Aurwagausz, syn Chszajawarsza... nie jest zdrajcą. — Zesztywniał, jak gdyby kazał śmierci czekać na jego pozwolenie. — Nigdy nie wątpiłem, że przybycie króla miało związek z jakimiś mocami, choć do dziś nie wiem, czy były one dobre, czy złe. Posłużyłem się nimi, tak jak posłużyłem się królem, lecz nie dla własnych celów, tylko dlatego, że mój dawny władca, Astiages, potrzebował jakiegoś... jakiegoś Cyrusa. Inaczej wojna domowa rozdarłaby całe królestwo. Później z powodu okrucieństwa Astiagesa poczułem się zwolniony z przysięgi. Nadal jednak byłem Medem i zrozumiałem, że Cyrus jest jedyną nadzieją... Medii. Jest dobrym królem także dla nas... W jego państwie cieszymy się niemal takim samym poważaniem jak Persowie. Czy to rozumiesz, przybyszu z ojczyzny króla? — Chiliarcha starał się skierować swoje zmętniałe źrenice na Everarda, lecz już ich nie kontrolował. — Chciałem cię schwytać... wydobyć z ciebie wiadomości o twoim wozie i jego obsłudze, a potem zabić... tak, ale nie dla siebie, dla dobra królestwa. Obawiałem się, że zabierzesz króla do jego ojczyzny. Wiem, że bardzo tego pragnął. Co wtedy by się z nami stało? Bądź litościwy, bo może pewnego dnia i ty będziesz błagał o litość.

— Będę — odparł Everard. — Król zostanie.

— To dobrze — westchnął Harpagos. — Wierzę, że mówisz prawdę... nie śmiem wątpić w twoje słowa. Powiedz mi: czy odpokutowałem za zbrodnię popełnioną z rozkazu mojego dawnego władcy? O ty, który jesteś królewskim ziomkiem, powiedz mi, czy odpokutowałem za porzucenie bezbronnego dziecka w górach? Przecież śmierć tego księcia... omal nie doprowadziła do katastrofy... ale znalazłem innego Cyrusa i uratowałem nas wszystkich! Czy odpokutowałem?

— Tak, zostało ci to wybaczone — odpowiedział Everard, zastanawiając się, ile warte jest rozgrzeszenie, którego udzielił.

Harpagos zamknął oczy.

— Więc zostaw mnie! — powiedział głosem, w którym pobrzmiwało tylko echo dawnego władczego tonu.

Amerikanin położył go na ziemi i oddalił się kulejąc. Dwaj Persowie uklękli obok swojego pana, żeby odprawić konieczne obrządki. Konający znów zajął się kontemplacją nieba.

Manse usiadł pod drzewem, oderwał od płaszcza pas materiału i zabandażował nim rany. Niepokoiła go zraniona noga. Powinien jak najszybciej dotrzeć do chronocykla, a na pewno nie będzie to przyjemny spacer. Za kilka godzin poczuje się jak nowo narodzony, gdyż lekarz Patrołu zastosuje nieznaną w XX wieku terapię. Uda się do biura w dość odległym środowisku, ponieważ w macierzystej epoce musiałby odpowiedzieć na zbyt wiele pytań. Nie mógł sobie na to pozwolić. Gdyby szefowie poznali jego zamiary, prawdopodobnie postawiliby veto.

Znalazł rozwiązanie. Nie nastąpiło to dzięki niespodziewanemu olśnieniu, lecz w wyniku żmudnego odsłonięcia wiedzy, która być może od dawna znajdowała się pod powierzchnią jego świadomości. Oparł się o pień, usiłując złapać oddech.

Przyszli pozostali żołnierze Harpagosa i dowiedzieli się, co zaszło. Udawali, że nie dostrzegają Everarda, ale obrzucali go ukradkowymi spojrzeciami, w których przerażenie mieszało się z dumą, i dyskretnie kreślili znaki chroniące przed złem. Zanieśli do lasu ciało swojego pana i konającego towarzysza. Mrok zgęstniał. Gdzieś w oddali zahukała sowa.

Wielki Król usiadł na łożu. Za zasłonami rozległ się jakiś dźwięk. Królowa Kassadane poruszyła się w mroku; smukła dłoń dotknęła jego twarzy.

— Co się dzieje, słońce mojego nieba? — zapytała.

— Nie wiem — odparł król. Namacał miecz, który zawsze trzymał pod poduszką. — Nic.

Niewidoczna ręka przesunęła się na pierś monarchy.

— Tak, coś jest — szepnęła nagle wstrząśnięta Kassadane. — Coś poważnego. Twoje serce wali jak młot

— Zostań tutaj.

Cyrus prześliznął się między zasłonami. Księżycowa poświata wpadała przez łukowate okno do wnętrza komnaty. Prawie oślepiła, odbijając się w brązowym zwierciadle. Zimne nocne powietrze owiało nagie ciało monarchy.

Dostrzegł w mroku na tle granatowego nieba cień, unoszący się w powietrzu spory przedmiot, który po chwili bezszelestnie wylądował na trawniku przed pałacem. Chronocyklista przestał manipulować regulatorami i guzikami na tablicy rozdzielczej i zeskoczył na ziemię. Był to muskularny mężczyzna w greckiej tunice i błyszczącym hełmie.

— Keith! — szepnął przybysz.

— Manse! — Denison zrobił krok do przodu i stanął w świetle księżyca. — Wróciłeś!

— Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? — prychnął ironicznie Everard. — Czy ktoś nas usłyszy? Nie sądzę, żeby mnie zauważono. Zmaterializowałem się tuż nad dachem i powoli poszybowałem w dół.

— Za drzwiami są gwardziści — odrzekł Denison. — Ale nie wejdą, chyba że uderzę w ten gong albo zawołam.

— Doskonale. Ubierz się.

Denison upuścił miecz i stał przez chwilę w osłupieniu. Wreszcie szepnął z niedowierzaniem:

— Znalazłeś wyjście?

— Być może... — Everard odwrócił wzrok i zabębnił palcami na tablicy rozdzielczej chronocykla. — Być może... Posłuchaj, Keith — powiedział w końcu. — Mam pewien plan, który może się udać albo nie. Potrzebuję twojej pomocy i lojalnej współpracy. Jeśli się nam powiedzie, biuro zaakceptuje fakt dokonany i nie zareaguje na złamanie przepisów. Jeśli jednak ten pomysł nie wypali, będziesz musiał wrócić do tej samej nocy i przeżyć resztę życia jako Cyrus. Czy czujesz się na siłach?

Denison zadrżał, nie tylko od nocnego chłodu.

— Sądzę, że tak — odrzekł bardzo cicho.

— Jestem od ciebie silniejszy — ciągnął szorstko Everard — i tylko ja będę miał broń. Jeśli będzie trzeba, przyprowadzę cię tu siłą. Nie zmuszaj mnie do tego.

Keith głęboko westchnął.

— Nie będę.

— Miejmy nadzieję, że norny* będą nam pomagać. Włóż coś na siebie. Wytłumaczę ci wszystko po drodze. Pożegnaj się z tą epoką, bo jeśli wcielimy plan w życie, ani ty, ani nikt inny więcej jej nie zobaczy.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał

* Norny — boginie losu w mitologii skandynawskiej. (Przyp. tłum.)

— Spróbujemy na nowo napisać historię — odparł Manse. — A może odtworzyć ją taką, jaką była na początku? Dokładnie nie wiem. No, pospiesz się!

— Ale...

— Szybko, stary, szybko... Czy zdajesz sobie sprawę, że wróciłem do tego samego dnia, w którym cię opuściłem, że właśnie w tej chwili wlokę się przez góry z otwartą raną na nodze tylko dlatego, żebyś miał dodatkowy czas? Ruszaj się!

Denison podjął jakąś decyzję. Jego twarz była niewidoczna w mroku, lecz powiedział bardzo cicho i wyraźnie:

— Muszę się z kimś pożegnać.

— Co takiego?

— Chcę się pożegnać z Kassadane. Na Boga, przecież była tutaj moją żoną przez czternaście lat! Urodziła mi troje dzieci, dwukrotnie wyleczyła z gorączki i ponad sto razy dodawała mi otuchy, gdy wpadałem w rozpacz. Pewnego dnia, kiedy Medowie podeszli pod nasze mury, stanęła na czele kobiet Pasargade, które się do nas przyłączyły, i zwyciężyliśmy... Daj mi pięć minut, Manse.

— No dobrze... dobrze... rób, co chcesz, ale upłynie ponad pięć minut, zanim eunuch odnajdzie ją w haremie i...

— Ona jest tutaj.

Denison zniknął za zasłonami łoża.

Everard osłupiał. „Spodziewałeś się, że przybędę dziś w nocy — pomyślał — i miałeś nadzieję, że będę mógł cię zabrać do Cynthii. Dlatego posłałeś po Kassadane?”

Zacisnął palce na rękojeści miecza tak mocno, że go zabolaty, i zbeształ siebie w duchu: „Och, zamknij się, ty nędzny purytanie!”

Denison wkrótce wrócił. Bez słowa ubrał się i zajął miejsce na tylnym siedelku chronocykla. Everard usiadł przed tablicą rozdzielczą. W jednej chwili komnata zniknęła i dwaj mężczyźni znaleźli się wysoko w górze, ponad zalanymi księżycowym blaskiem wzgórzami. Odnalazł ich tam zimny porywisty wiatr.

— Teraz do Ekbatany — oświadczył Everard.

Zapalił małą lampkę na tablicy rozdzielczej i zaczął manipulować guzikami zgodnie z zapisanymi w notesie współrzędnymi.

— Ek... och! Chcesz powiedzieć do Hammatanu, dawnej stolicy Medii? — powiedział zdziwiony — Denison. — Przecież teraz to tylko letnia rezydencja.

— Mówię o Ekbatanie sprzed trzydziestu sześciu lat — wyjaśnił Manse.

— Co?

— Wszyscy historycy są przekonani, że opowieść o dzieciństwie Cyrusa przekazana przez Herodota i zachowana w tradycji perskiej, to tylko legenda. Może od początku mieli rację? Może twoje przygody wynikły za sprawą jednego z niewielkich zaburzeń w czasoprzestrzeni, które Patrol stara się wyeliminować?

— Rozumiem — powiedział powoli Denison.

— Przypuszczam, że jako wasal Astiagesa często bywałeś na jego dworze. Będiesz przewodnikiem. Chcę osobiście spotkać się z tą starą kanalią, najchętniej w nocy i bez świadków.

— Szesnaście lat to bardzo dużo — odparł Denison.

— I co z tego?

— Jeśli chcesz zmienić historię, dlaczego interweniujesz właśnie wtedy? Lepiej zabierz mnie do drugiego roku moich rządów, kiedy dobrze znałem Ekbatanę...

— Przykro mi, ale nie. Nie odważę się tego zrobić. Jeden Bóg wie, jakie mogłyby być konsekwencje pętli wtórnej w liniach wszechświata! Nawet gdybyśmy się z tego wyplątali, Patrol wysłałby nas obu na planetę kamą, żeby nas oduczyć takiego ryzykanctwa.

— No... tak, w gruncie rzeczy masz rację.

— Poza tym nie masz skłonności samobójczych. Czy naprawdę chciałbyś, żeby twoja obecna osobowość nigdy nie zaistniała? Zastanów się chwilę nad tym, co to wszystko mogłoby oznaczać.

Kiedy Everard ustawił ostatni przycisk, Keith wzdrygnął się.

— Na Mitrę, masz rację! Nie mówmy już o tym!

— Więc ruszajmy.

Manse wcisnął główny guzik.

Szybowali nad otoczonym obronnymi murami miastem, które leżało pośrodku nieznannej równiny. Choć i ta noc była księżycowa, Everard widział tylko bezładne nagromadzenie ciemnych kształtów. Sięgnął do bagażnika.

— Włożyliśmy te kostiumy — powiedział. — Chłopcy z biura środkowego Mohendzo–Daro* zrobili je na moje zamówienie. Często muszą tam używać takiego przebrania.

Pojazd ze świstem skierował się ku ziemi. Denison wskazał na majaczącą w mroku bryłę.

— To jest pałac królewski. Sypialnia znajduje się na górze, w lewym skrzydle...

Masywna budowla nie była tak elegancka jak perski pałac w Pasargade. Everard dostrzegł przelotnie parę skrzydlatych byków, których kult Medowie przejęli od Asyryjczyków, oświetlonych teraz przez księżyc. Zobaczywszy, że okna są za wąskie, zaklął i zawrócił w stronę najbliższych drzwi. Dwaj konni gwardziści krzyknęli ze strachu na widok tego, co spadało z nieba. Ich wierzchowce stanęły dęba, zrzucając jeźdźców na ziemię. Chronocykl Everarda roztrzaskał drzwi. Jeszcze jeden cud nie zmieni historii, zwłaszcza w epoce, w której wierzono w cuda z równym zapalem, jak w czasach Everarda w witaminy w tabletkach — i może nie bez racji.

Korytarz był oświetlony. Na widok „latającego wozu” gwardziści i niewolnicy wrzasnęli z przerażenia, a kiedy chronocykl dotarł do królewskich komnat, Manse uderzył ręką miecza w drzwi.

— Twoja kolej, Keith — powiedział. — Znasz dobrze dialekt medyjski.

— Otwórz, Astiagesie! — ryknął Denison. — Otwórz wysłannikom Ahura–Mazdy!

Ku zdumieniu Everarda ukryty w sypialni mężczyzna posłuchał. Astiages — korpulentny, jeszcze młody jegomość o srogiej, zaciętej twarzy — był równie odważny jak większość jego poddanych, ale kiedy zobaczył dwie istoty w błyszczących tunikach, z aureolami wokół głów i pulsującymi świetlnymi skrzydłami, siedzące na żelaznym tronie, który unosił się w powietrzu, padł na twarz.

Keith zagrzmiał w najlepszym stylu pustynnych proroków, posługując się dialektem, który Manse niezbyt dobrze rozumiał:

— O nikczemne naczynie grzechu, gniew bogów wisi nad tobą! Czy wyobrażasz sobie, że twoje myśli, chociaż kryją się w mroku, który je spłodził, kiedykolwiek umknęły uwadze Oka Dnia?! Czy sadzisz, że wszechpotężny Ahura — Mazda pozwoli, żebyś dokonał czynu tak ohydneho, jaki teraz knujesz?

Everard przestał słuchać i zamyślił się. Gdzieś w tym samym mieście na pewno przebywał niewinny Harpagos, w kwiecie wieku. Nigdy nie będzie musiał dźwigać” brzemienia grzechu. Nigdy nie położy dziecka na górze i nie będzie czekał, wsparty na włóczni, aż przestanie ono krzyczeć, zacznie drzeć z zimna i wreszcie umrze. Wprawdzie w przyszłości zbuntuje się z innych pobudek i zostanie chiliarchą Cyrusa, ale nie skona w ramionach wroga w nawiedzonym przez

* Mohendzo–Daro — starożytne miasto leżące na terytorium dzisiejszego Pakistanu. (Przyp. tłum.)

demony lesie. Również pewien nie znany z imienia Pers nie zginie od greckiego miecza i nie zapadnie się w nicość śmierci.

„A przecież wspomnienie o ludziach, których zabiłem, wryło się w komórki mojego mózgu, na nodze mam wąską białą bliznę, a Keith Denison nauczył się myśleć jak król”.

— ... Wiedz, o Astiagesie, że to dziecko, Cyrus, jest wybrańcem nieba. A niebo jest miłosierne: ostrzega cię, że jeśli splamisz swoją duszę krwią tego niewiniątka, nic nie zmaże tego grzechu. Pozwól Cyrusowi dorosnąć w Amszanie albo będziesz się smażył w wiecznym ogniu w towarzystwie Arymana. Mitra cię ostrzega!

Leżący plackiem Astiages bił głową o podłogę.

— Chodźmy stąd — powiedział po angielsku Denison.

W mgnieniu oka znaleźli się trzydzieści sześć lat później. Światło księżyca spływało na wielkie cedry, na drogę i na strumień. Było zimno i niewidoczny wilk zawył przeciągle.

Everard posadził pojazd na zmarzniętej ziemi, zsiadł z niego i zaczął ściągać przebranie. Twarz Keitha wyłoniła się spod maski; malowało się na niej wielkie zdziwienie. Kiedy się odezwał, jego głos zdawał się ginać w głębokiej ciszy zalegającej w górach:

— Zastanawiam się, czy nie przesadziliśmy, strasząc Astiagesa. Historia mówi, że przez trzy lata walczył ze zbuntowanymi Persami.

— Zawsze możemy wrócić do początku tej wojny i zesłać mu widzenie, które zachęci go do oporu — odparł Everard, starając się myśleć praktycznie, gdyż otaczały go widma przeszłości. — Nie sądzę jednak, żeby było to konieczne. Nie tknie małego księcia, ale kiedy jego wasale się zbuntują, będzie tak wściekły, że nie weźmie pod uwagę widzenia, które uzna za sen. Poza tym dostojnicy z jego dworu związani ze sprawą medyjską nie pozwolą mu skapitulować. Zresztą łatwo to sprawdzić. Czy król nie przewodzi rytualnej procesji po ceremonii związanej z zimowym zrównaniem dnia i nocy?

— Tak. Jedźmy tam prędko.

I nagle zobaczyli zalane słońcem Pasargade. Ukryli chronocykl i wmieszali się w tłum pielgrzymów przybyłych świętować dzień narodzin Mitry. Po drodze, udając podróżnych, którzy długo przebywali na obczyźnie, zapytali, co się wydarzyło podczas ich nieobecności. Otrzymane odpowiedzi zadowolily ich. Zgadzały się nawet w drobnych szczegółach z tym, co Denison zachował w pamięci, a pominęły kroniki.

Wreszcie stanęli pod bladym niebem w wielotysięcznym tłumie i padli na ziemię, kiedy minął ich wielki Cyrus jadący na wspaniałym rumaku, a potem jego mistrz ceremonii, mag Kobad, Krezus, Harpagos i kwiat duchowieństwa Pasargade.

— Jest młodszy ode mnie — szepnął Denison — ale to chyba normalne. I trochę niższy... wcale nie jest do mnie podobny, prawda? Na pewno da sobie radę.

— Może chciałbyś zostać, żeby się o tym przekonać? Denison owinał się szczelnie płaszczem. Mróz był siarczysty.

— Nie — odparł. — Wracajmy. To trwało tak długo... nawet jeśli nic się nie wydarzyło.

— Właśnie — zawtórował mu Everard. — Teraz nic z tego nigdy się nie wydarzyło. — W jego głosie było więcej smutku niż zadowolenia z udanej misji ratunkowej.

Keith wyszedł z windy w pewnym budynku w Nowym Jorku. Z pewnym zaskoczeniem stwierdził, jak mgliste są jego wspomnienia o tym mieście. Zapomniał nawet swojego adresu i musiał sprawdzić w książce telefonicznej. Szczegóły. Tyle szczegółów. Nie może tak drzeć.

Nie zdążył zadzwonić: Cynthia już otworzyła drzwi.

— Keith — powiedziała prawie z zaskoczeniem.

— Manse uprzedził cię o moim powrocie, prawda? Obiecał to zrobić. — Nie miał nic więcej do powiedzenia.

— Tak. Nie o to chodzi. Nie przypuszczałam, że aż tak bardzo się zmieniłeś. Ale to nieważne. Mój kochany, och, mój kochany!

Wprowadziła go do środka, zamknęła drzwi i rzuciła mu się na szyję.

Keith rozejrzał się po pokoju. Zapomniał, że był taki zagracony. Chociaż zawsze uważał, że Cynthia urządziła ich mieszkanie bez gustu, nigdy jej tego nie powiedział.

Będzie musiał znów nauczyć się ulegać kobiecie, a nawet pytać ją o zdanie. Nie przyjdzie mu to łatwo!

Nadstawiła zapłakaną twarz, czekając na pocałunek. Więc tak wygląda? Zapomniał o niej. Zupełnie. Pamiętał tylko, że była mała i miała jasne włosy. Przeżył z nią zaledwie kilka miesięcy, podczas gdy z Kassadane... Kassadane nazywała go gwiazdą poranną, urodziła mu troje dzieci i przez czternaście lat żyła u jego boku, wypełniając jego wolę i odgadując życzenia.

— Witaj w domu, Keith — powiedziała niepewnie Cynthia. „W domu! — pomyślał. — W domu! O Boże!”

SŁUPY HERKULESA

1

Baza Patrolu Czasu miała przetrwać około sto lat wielkiego przyływu. Przez ten czas niewiele ludzi poza naukowcami i pracownikami miało zatrzymać się w niej na dłużej. Dlatego ta placówka była mała — składała się z siedziby kierownika bazy i kilku domków zamieszkałych przez personel — i niemal zupełnie ginęła w prehistorycznym krajobrazie.

Pięć i pół miliona lat przed swoimi narodzinami Tom Nomura przekonał się, że południowy kraniec Półwyspu Iberyjskiego był jeszcze bardziej stromy niż w jego czasach. Wzgórza jak wysokie fale pięły się na północny wschód, aż stawały się pasmem zasłaniających horyzont niskich gór poprzecinanych wąwozami, w których kryły się błękitne cienie. Była to sucha kraina, gdzie tylko w zimie przez krótki czas padały ulewne deszcze; w lecie rzeki zamieniały się w strumienie albo całkiem wysychały, gdy słońce wypalało wiosenną trawę. Drzewa i krzewy rosły daleko od siebie: głogi, mimozy, akacje, sosny, aloesy. Wokół kałuż pozostałych w wyschniętych korytach rzek skupiały się palmy, paprocie i orchidee.

W dodatku żyło tam mnóstwo zwierząt i ptaków. Sokoly i sępy zawsze szybowały po bezchmurnym niebie. Liczące miliony sztuk stada roślinożerców mieszały się ze sobą: pasiąste niczym zebry kucyki, prymitywne nosorożce, podobni do okapi przodkowie żyraf, niekiedy mastodont o rzadkiej rudej sierści i wielkich ciosach albo pojedynczy słoń. Z drapieżników i padlinożerców można tam było spotkać tygrysy szablozębe — wczesny gatunek wielkich kotów — oraz hieny i bojaźliwe naziemne małpy, które czasami chodziły na tylnych nogach. Mrowiska osiągały wysokość od półtora do dwóch metrów. Świstaki gwizdały przenikliwie.

Iberyjska sawanna cuchnęła sianem, spalenizną i suchym łajnem, lecz dominował tam ostry zwierzęcy odór. Od czasu do czasu zrywał się wiatr, który huczał, pchał, ciskał w twarz kurzem i gorącym powietrzem. Ziemia dudniła często pod kopytami wielotysięcznych stad, ptaki podnosiły wrzawę, a z oddali dobiegał chrapliwy ryk zwierząt. W nocy temperatura gwałtownie spadała, a na niebie świeciło tyle gwiazd, że prawie nie zauważało się odmienności ich układu.

Tak się rzeczy miały do niedawna. Wprawdzie jeszcze nie nadeszła wielka zmiana, lecz właśnie dał się słyszeć potężny grzmot spadających wód, który miał trwać sto lat. Kiedy ucichł, wszystko było odmienione.

* * *

Manse Everard, mrużąc oczy, przyglądał się przez chwilę Tomowi Nomurze i Feliz a Rach, po czym uśmiechnął się i powiedział:

— Nie, dziękuję, tylko pospaceruję po okolicy.

Czy ten wysoki, lekko siwiejący mężczyzna z orlim nosem mrugnął porozumiewawczo do Nomury? Tom nie był tego pewien. Obaj pochodzili z tego samego środowiska, nawet z tego samego kraju. Nie powinno ich zbytnio różnić to, że Everarda zwerbowano w Nowym Jorku w roku 1954, Nomurę zaś w San Francisco w roku 1972. Wstrząsy, jakie przeżyło pokolenie Toma, były niczym w porównaniu z tym, co się wydarzyło przedtem i co miało nastąpić później. Ale Nomura niedawno ukończył Akademię i miał zaledwie dwadzieścia pięć lat. Everard nigdy mu nie powiedział, ile jego osobistego czasu upłynęło, odkąd zaczął wędrować po drogach historii, a ze względu na kurację odmładzającą, którą Patrol zapewniał swoim pracownikom, nie można było

tego odgadnąć. Nomura przypuszczał, że samodzielny agent miał za sobą tak długie życie, iż stał mu się bardziej obcy niż Feliz, która urodziła się dwa tysiące lat później niż oni.

— W porządku, zaczynajmy — przerwała milczenie Feliz. Chociaż wypowiedziała tylko kilka słów, Tom pomyślał, że w jej ustach temporalny język Patrolu zamienia się w piękną muzykę.

Zeszli z werandy i przeszli przez dziedziniec. Po drodze pozdrowili ich dwaj agenci, spoglądający z przyjemnością na Feliz. Nomura przyznawał im rację. Dziewczyna była młoda, wysoka, a jej orli nos nie raził w połączeniu z wielkimi zielonymi oczami i krótko ostrzyżonymi kasztanowatymi włosami. Obowiązkowy szary strój i ciężkie buty nie mogły ukryć ani pięknej figury, ani sprężystego kroku. Nomura wiedział, że jest przystojnym mężczyzną o krępych, lecz gibkim ciele. Miał też regularne rysy twarzy, nieco wystające kości policzkowe i śniadą cerę. Jednakże przy Feliz czuł się brzydki i niezgrabny.

„Onieśmiela mnie” — pomyślał. — Jako świeżo upieczony agent Patrolu, nawet nie przyszedł policjant, a tylko zwykły przyrodnik, ma powiedzieć arystokratce z czasów pierwszego matriarchatu, że się w niej zakochał?

Grzmot, który stale wisiał w powietrzu, choć do katarakt Gibraltaru było wiele mil, brzmiał w uszach Toma jak anielski chór. Czy mu się tylko wydawało, czy też rzeczywiście czuł nie kończące się drgania ziemi, które przenikały całe jego ciało?

Feliz otworzyła garaż. Stało tam kilka pojazdów czasu. Przypominały nieco pozbawione kół motocykle z dwoma siodełkami. Były napędzane silnikami antygravitacyjnymi i mogły przeskoczyć kilka tysięcy lat. (Zarówno pojazdy jak i chronocykliści zostali tutaj przywiezieni w dużych kapsułach transportowych). Pojazd Feliz był obładowany aparaturą rejestrującą — Tom nie zdołał jej przekonać, że go niebezpiecznie przeciążyła. Zaprosił więc Everarda — najwyższego rangą oficera w bazie, mimo że spędzał on tu tylko urlop, żeby się do nich przyłączył. Miał nadzieję, że samodzielny agent zauważy nadmierne obciążenie chronocykla dziewczyny i rozkaże, by przekazała część urządzeń asystentowi.

Feliz wskoczyła na siodełko.

— Ruszajmy! — powiedziała. — Robi się późno.

Tom usiadł za kierownicą i dotknął guzika na tablicy rozdzielczej. Oba pojazdy wyjechały z garażu i uniosły się w powietrze. Po wzniesieniu się na wysokość, na której zwykle latają orły, skrzyły na południe, gdzie ocean wlewał się do Środka Świata.

Kłęby mgły zawsze przesłaniały horyzont — srebro stopniowo przechodzące w лазur. Gdy zbliżałeś się do nich pieszo, wisiały w górze, jak gdyby w każdej chwili miały runąć ci na głowę. Dalej przestrzeń wypełniała szara mgła o gorzkim smaku; słychać było huk wody spadającej ze skał i przebijającej się przez muł. Zimna słona mgła była tak gęsta, że niebezpiecznie było nią oddychać dłużej niż kilka minut.

Z góry widok ten budził jeszcze większą grozę. Od razu można było poznać, że jest to koniec jakiejś epoki geologicznej. Przez półtora miliona lat basen Morza Śródziemnego był pustynny, a teraz słupy, a właściwie wrota Herkulesa stały otworem i wlewał się przez nie Atlantyk.

Nie zwracając uwagi na pęd powietrza, Nomura spojrział na wschód ponad niespokojnym wielobarwnym żywiołem, ozdobionym koronką z morskiej piany. Widział masy wody pędzące w stronę niedawno powstałej wyrwy pomiędzy Europą i Afryką. Zderzały się i cofały, tworząc sięgający niebios biało — zielony chaos, który wdzierał się na wiele mil w głąb ładu. Nadciągał stamtąd śnieżnobiały, połyskujący szmaragdowo potok, który nieco dalej zmieniał się w wysoką prawie na trzysta kilometrów ścianę między kontynentami a położonym niżej dnem późniejszego Morza Śródziemnego. Pył wodny rozpryskiwał się na wszystkie strony, przesłaniając potężne bałwany prącego naprzód oceanu.

W obłokach pyłu wodnego i piany wirowały tęcze. Wysoko w górze huk gigantycznego wodospadu brzmiał jak chrobot olbrzymich kamieni młyńskich. Nomura usłyszał w słuchawkach głos Feliz, która zatrzymała się i podniosła rękę.

— Zaczekaj, chcę zrobić jeszcze kilka zdjęć, zanim ruszymy dalej.

— Czy nie masz dość? — zapytał.

— Czy można mieć dość cudu? — odrzekła dziewczyna łagodniejszym głosem.

Serce Nomury zabiło mocniej. „Nie jest żołnierką urodzoną po to, by rozkazywać tłumowi sług. Nie jest nią mimo poprzedniego trybu życia i zwyczajów. Odczuwa przerażające piękno, tak, czuje rękę Boga”. Po chwili pomyślał z przekąsem: „Lepiej, żeby tak było!”

Przecież to właśnie Feliz powierzono zarejestrowanie całego wydarzenia za pomocą aparatury multisensorycznej od początku, aż do chwili, kiedy po upływie stu lat basen się wypełni i zaplaska w nim morze, po którym kiedyś będzie pływał Odyseusz. Zabierze to jej wiele miesięcy osobistego czasu (I mojego, błagam, mojego!). Każdy z agentów Patrolu pragnął doświadczyć zdumienia i przerażenia, gdyż tylko ludzie owładnięci żądzą przygody mogli zostać przyjęci do policji temporalnej. Jednakże tylko nieliczni mogli podróżować w tak zamierzchłą przeszłość, tłocząc się w wąskiej szczelinie czasowej. Większość będzie musiała skorzystać z cudzego pośrednictwa. Szefowie wybrali prawdziwą artystkę, która przeżyje wszystko dla nich i przekaże im swoje wrażenia.

Nomura przypomniał sobie swoje zdziwienie, kiedy wyznaczono go na asystenta Feliz. Skoro Patrol cierpiał na chroniczne braki kadrowe, jak mógł sobie pozwolić na werbowanie artystów?

Po tym jak odpowiedział na enigmatyczne ogłoszenie, poddał się kilku dziwnym testom i dowiedział o podróżach intertemporalnych, zapytał, czy mogą w nich uczestniczyć policjanci i ratownicy. Odpowiedziano mu, że zazwyczaj mogą. Zdawał sobie sprawę, że Patrol potrzebuje personel administracyjny i urzędników, agentów — rezydentów odkomenderowanych do konkretnej epoki, historiografów, antropologów, no i oczywiście takich jak on przyrodników, ale podczas kilku tygodni wspólnej pracy Feliz przekonała go, że i bez artystów nie można się obejść. Człowiek nie żyje tylko samym chlebem, wojaczką, papierkową czy naukową robotą, nie zadowala go nagi pragmatyzm.

Dziewczyna ponownie schowała aparat.

— Jedźmy! — rozkazała.

Kiedy oddaliła się od swojego asystenta i skierowała na wschód, jej włosy załśniły w słońcu jak roztopiony brąz. Nomura leciał za nią w milczeniu.

Dno przyszłego Morza Śródziemnego znajdowało się trzy kilometry poniżej poziomu Atlantyku. Przyptyw zalał sporą jego część, tworząc cieśninę oddaloną od słupów Herkulesa o osiemdziesiąt i pół kilometra. Przepływało przez nią szesnaście tysięcy km³ wody w ciągu roku, czyli sto Wodospadów Wiktorii albo tysiąc Niagar.

Tyle statystyki. Rzeczywistość to biały, huczący, spieniony, przesłonięty wodnym pyłem żywioł, który rwał na kawałki ziemię i wstrząsał górami. Ludzie mogli widzieć, słyszeć, wachać, czuć smak, ale nie byli w stanie sobie tego wyobrazić.

Dalej kanał stawał się szerszy, a wody spokojniejsze, zielono-czarne. Mgła zrzędła i wyłoniły się z niej wyspy podobne do statków przecinających fale potężnymi dziobami. Życie znów mogło zapuścić tam korzenie albo przenieść się na jeden z kontynentów. Zanim jednak upłynie sto lat, większość tych wysp zniknie pod powierzchnią morza, a żywe organizmy zginą w zmienionym klimacie. Wydarzenie to zakończy epokę mioceniową i zapoczątkuje plioceniową.

Mknąc naprzód, Nomura słyszał coraz większy hałas. Chociaż tutaj morze było nieco spokojniejsze, to jednak ryczało basem, który wzrastał się i wzrastał, aż całe niebo dźwięczało jak jeden wielki mosiężny dzwon. Tom rozpoznał cypel, którego nędzny szczątek zostanie kiedyś

nazwany Gibraltarem. Niedaleko za owym przylądkiem szeroka na trzydzieści dwa kilometry katarakta tworzyła prawie połowę gigantycznego wodospadu. Wody oceanu przerażająco łatwo spływały z tej krawędzi. Na tle ciemnych klifów i brunatnej trawy rosnącej na obu kontynentach wodne masy były zielone jak szkło. Promienie słoneczne odbijały się od ich powierzchni. Dalej rozciągało się błękitne jezioro, skąd wypływały rzeki złośliwie wąwozy, coraz głębiej wdzierające się w spalone słońcem piaski pustyni, którą chciały zamienić w morze.

Wody huczały, kipiły i wirowały.

Feliz znowu zatrzymała pojazd. Nomura dołączył do niej. Znajdowali się wysoko nad ziemią; zimny wiatr owiewał ich świszcząc.

— Dzisiaj — powiedziała — chcę spróbować uchwycić wrażenie ogromu wodospadu. Podlecę blisko do najwyższej katarakty, rejestrując wszystko, a potem obniżę lot.

— Nie za blisko — ostrzegł. Dziewczyna nastroszyła się.

— Wiem, co mam robić.

— Och, ja... nie próbuję tobą kierować ani nic w tym rodzaju. „I nie powinieneś tego robić. Przecież jesteś plebejuszem, a w dodatku mężczyzną”. Proszę o to jak o przysługę... — Nomurę irytowała własna nieśmiałość i beładna mowa. — Bądź ostrożna, dobrze? Chodzi mi o to, że wiele dla mnie znaczysz.

Zaskoczył go jej śmiech. Wychyliła się, napinając pasy bezpieczeństwa, żeby wziąć go za rękę.

— Dziękuję ci, Tom — powiedziała. A po chwili dodała z powagą: — Dzięki takim mężczyznom jak ty, rozumiem, co jest niewłaściwego w mojej epoce.

Często, a właściwie prawie zawsze rozmawiała z nim przyjaźnie. Gdyby była zacieklą feministką, choćby nie wiadomo jak piękną, nigdy nie myślałby o niej w bezsenne noce. Zastanowił się, czy nie zaczął jej kochać w chwili, gdy zauważył, że bardzo stara się traktować go jak równą jej ludzką istotę. Nie przychodziło jej to łatwiej niż mężczyznom z różnych epok, którzy uwierzyli, że Feliz ma takie same zdolności jak oni i że powinna je w pełni wykorzystywać.

Dziewczyna nie umiała długo zachować powagi.

— Ruszaj! — zawołała. — Pospiesz się! Ten gigantyczny wodospad nie przetrwa następnych dwudziestu lat!

Jej pojazd pomknął do przodu. Tom sięgnął do hełmu i opuścił przezroczysta osłonę twarzy. Zanurkował za Feliz, wioząc taśmy, baterie i inne pomocnicze drobiazgi. „Bądź ostrożna — błagał ją w duchu — bądź ostrożna, kochanie”.

Wyprzedziła go znacznie. Widział ją z oddali, jaskrawą i szybką jak kometa; wyglądała jak wałka na tle spadającego w kilkukilometrową przepaść morza. Hałas narastał. Pełen złych przeczuć Nomura nie słyszał już nic innego.

Lecąc kilkanaście metrów nad powierzchnią wody, dziewczyna skierowała pojazd w stronę otchłani. Ukryła głowę w pokrytej tarczami wskaźników skrzynce, manipulowała regulatorami i sterowała kolanami. Słony pył wodny pokrył ekran Nomury. Tom uruchomił urządzenie czyszczące. Nagle pochwycił go powietrzny wir; chronocykl przechylił się. Poczuł ostre klucie w bębenkach uszu, chronionych przed hałasem, ale nie przed zmianami ciśnienia.

Podleciał dość blisko do Feliz, gdy jej pojazd oszalał. Wpadł w korkociąg i uderzył w zielony bezmiar, który pochłonął i jego, i dziewczynę. Huk wodospadu zagłuszył krzyk Nomury.

Tom z całej siły uderzył w przełącznik mikrofonu i zanurkował za Feliz. Czy ślepy traf sprawił, że przekoziółkował o kilka cali od chciwych macek żywiołu? Dziewczyna zniknęła mu z oczu. Widział tylko ścianę wody i bezlitosny spokojny błękit w górze. Słyszał hałas, który przenikał go do szpiku kości, drżał pod wpływem zimnego wilgotnego powietrza i czuł na wargach słony smak łez.

Uciekł, żeby sprowadzić pomoc.

* * *

Za oknem żar lał się z nieba. W południe wyblakły krajobraz wydawał się martwy i nieruchomy; nie opodał przeleciał jakiś padlinożerny ptak. Tylko daleki wodospad nie milczał.

Ktoś zapukał do drzwi. Tom Nomura zerwał się z łóżka. Czując, że serce wali mu jak młot, wycharczał:

— Proszę.

Everard wszedł do pokoju młodego przyrodnika. Mimo klimatyzacji na jego mundurze widać było plamy potu. Garbił się lekko i gryzł ustnik nie zapalanej fajki.

— Co nowego? — zapytał błagalnie Nomura.

— Tak jak się obawiałem. Nic. Nigdy nie wróciła do swojej epoki.

Tom osunął się na krzesło, które zaskrzypiało pod jego ciężarem.

— Taak. Kapsuła pocztowa właśnie wróciła. W odpowiedzi na moje zapytanie i tak dalej, agent Feliz a Rach nie zameldowała się w centrali swojego środowiska po powrocie z misji gibraltarskiej i nie ma o niej żadnych innych danych.

— Z żadnej epoki?

— No cóż, agenci tak krążą po czasoprzestrzeni, że nikt nie prowadzi ich akt, może wyjąwszy Danellian.

— Niech pan ich zapyta!

— Czy wydaje ci się, że udzieliliby mi odpowiedzi?! — warknął Everard. — Oni, nadludzie z dalekiej przyszłości, założyciele i prawdziwi władcy Patrolu Czasu. — Walnął pięścią w kolano. — I nie mów mi, że my, zwyczajni śmiertelnicy, moglibyśmy dokładniej śledzić nasze losy. Czy już sprawdziłeś swoją przyszłość, synu? My nie chcemy tego robić i basta.

Samodzielny agent uspokoił się. Ujął inaczej cybuch fajki i dodał łagodnie:

— Jeżeli żyjemy dostatecznie długo, przeżywamy tych, których kochamy. Czeka to wszystkich i my z Patrolu nie jesteśmy pod tym względem wyjątkowi. Bardzo mi przykro, że nieszczęście spadło na ciebie w tak młodym wieku.

— Mniejsza o mnie! — zawołał Nomura. — Ale co z nią?!

— Tak... zastanawiałem się nad twoją opowieścią. Przypuszczam, że w pobliżu wodospadu prądy powietrzne są bardzo niebezpieczne — czego należało się spodziewać. Na dodatek trudniej jest kontrolować przeciążony pojazd. Dziura powietrzna, niespodziewany szkwał. Cokolwiek to było, chwyciło ją niespodziewanie i wrzuciło do morza.

Nomura poruszył splecionymi palcami.

— A ja miałem na nią uważać!

Everard pokręcił przecząco głową.

— Nie wiń siebie bardziej niż na to zasługujesz. Byłeś tylko jej asystentem. To ona powinna być ostrożniejsza.

— Ależ... niech to diabli, przecież nadal możemy ją uratować, a pan na to nie pozwoli?! — niemal wrzasnął Nomura.

— Zamilknij — ostrzegł go Everard. — Zamilknij, właśnie teraz.

„I nigdy nie powiedz głośno, że kilku agentów Patrolu mogło cofnąć się w czasie, unieruchomić ją wiązkami siłowymi i wyciągnąć z otchłani albo że mogłem ostrzec ją i moje wcześniejsze wcielenie. Tak się nie stało, więc się nie stanie.

To NIE MOŻE się stać.

Ponieważ przeszłość zmienia się w chwili, kiedy zjawiamy się w niej na naszych pojazdach i przekształcamy ją w naszą terażniejszość. A gdyby kiedyś jakiś śmiertelnik zdobył taką władzę,

czy wóczas mogłoby się skończyć takie poprawianie przeszłości? Zaczynamy od uratowania sympatycznej dziewczyny, później staramy się ocalić Lincolna, ale ktoś inny pragnie uratować konfederację stanów południowych. Nie, tylko Bóg może władać czasem. Patrol istnieje po to, żeby strzec prawdziwej historii. Jego agenci nie mogą zawieść pokładanego w nich zaufania, gwałcić ustanowionych przez siebie praw, tak jak nie potrafiliby zgwałcić własnych matek”.

— Przepraszam — wymamrotał Nomura.

— W porządku, Tom.

— Nie, ja... ja pomyślałem... kiedy zobaczyłem jej zniknięcie, natychmiast pomyślałem, że moglibyśmy zorganizować ekipę ratunkową, cofnąć się do tej samej chwili i wyrwać ją...

— To normalne u nowego agenta. Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Chodzi o to, że tego nie zrobiliśmy. Zresztą chyba i tak by nam na to nie pozwolono. To zbyt niebezpieczne. Nie możemy narażać na śmierć więcej ludzi. Na pewno nie wtedy, gdy w archiwum Patrolu znajduje się wzmianka, że podjęta przez nas próba uratowania kogoś jest z góry skazana na niepowodzenie.

— Czy nie można jakoś tego obejść? — Nomura nie ustępował. Starszy agent westchnął i odparł:

— Nic mi nie przychodzi do głowy. Pogódź się z losem, Tom. — Zawahał się, po czym dodał:

— Czy mogę... czy możemy coś dla ciebie zrobić?

— Nie — odparł szorstko młody przyrodnik. — Proszę zostawić mnie samego na jakiś czas.

— Oczywiście. — Everard wstał. — Nie tylko ty dużo o niej myślałeś — przypomniał mu i wyszedł.

Kiedy za samodzielnym agentem zamknęły się drzwi, Nomurze wydało się, że grzmot wodospadu stał się głośniejszy i że do złudzenia przypominał odgłosy wydawane przez wielkie kamienie młyńskie. Patrzył przed siebie niewidzącymi oczami. Słońce minęło zenit i zaczęło się chylić ku zachodowi.

„Powinienem być za nią polecieć, i to natychmiast i narazić życie. Nie, to bezsensowne. Moja śmierć nie przywróci jej życia. Nie mógłbym jej uratować. Nie miałem odpowiedniego sprzętu ani... Rozsądek nakazywał wezwać pomoc”.

Ale pomoc nie nadeszła — nieważne, czy odmówili jej ludzie, czy los, prawda? — i Feliz runęła w otchłań. Prąd cisnął ją w wodną przepaść — zdążyła poczuć strach, zanim w następnej sekundzie straciła przytomność — a później zmiądzzył, rozerwał na strzępy, rozrzucił kawałki jej kości na dnie morza, po którym jako młody chłopak będąc pływał żaglówką pewnej niedzieli, nie wiedząc, że istnieje Patrol Czasu ani, że kiedyś żyła jakaś Feliz. O Boże, chcę, żeby moje prochy zmieszały się z jej prochami po pięciu i pół milionach lat od tej strasznej chwili!”

Zabrzmiał daleki, przypominający armatnią salwę huk, a ziemia i podłoga zadrżały. To podmyty brzeg musiał runąć do wody. Feliz na pewno chciałaby sfilmować taką scenę.

— Czy chciałaby?! — wrzasnął Nomura i zerwał się z krzesła. Ziemia nadal drżała pod jego stopami. — Zrobi to!

Powinien był poradzić się Everarda, ale obawiał się — może niesłusznie, lecz kierowała nim rozpacz i nie znał się na ludziach — że samodzielny agent nie pozwoli mu tam polecieć i natychmiast odeśle go w przeszłość.

Powinien był odpocząć kilka dni, ale czuł obawę, że się zdradzi. Pigułka pobudzająca wyręczyła naturę.

Powinien był oficjalnie wypożyczyć generator pola siłowego, a nie szmuglować go w bagażniku pojazdu.

Kiedy wyprowadził chronocykl z garażu, jakiś agent, który to zauważył, zapytał go, dokąd się udaje.

— Na przejażdżkę — odpowiedział Nomura.

Tamten skinął współczująco głową. Może nie podejrzewał, że młody przyrodnik stracił ukochaną kobietę, ale utrata koleżanki i tak była wystarczająco ciężkim ciosem. Tom przezornie poleciał na północ i skręcił w stronę wodospadu dopiero wtedy, gdy przestał być widoczny z bazy.

* * *

Nie mógł objąć wzrokiem gigantycznej katarakty. Tutaj, dalej niż w połowie drogi w dół klifu z zielonego szkła, nie widział krzywizny Ziemi. Później, kiedy zanurzył się w obłokach morskiej piany, otoczyła go biel, kłębiąc się i kłując.

Osłona twarzy nie zaparowała. Miał jednak ograniczone pole widzenia i mógł obserwować tylko nikłą cząstkę bezmiaru. Choć lekki hełm chronił bębniaki uszu, nie tłumił odgłosów nawałnicy, które wstrząsały całym ciałem młodego przyrodnika, tak że Tom dzwonił zębami. Wiatr zawirował i szarpnął. Chronocykl zakołysał się i Nomura ze wszystkich sił starał się zachować nad nim kontrolę.

I trafić na właściwy moment.

Przemierzył czas tam i z powrotem, ponownie ustawił noniusz, nacisnął główny guzik i przez chwilę widział siebie we mgle. Nie odrywał oczu od nieba, cofał się wracał, aż wreszcie znalazł się w tamtej chwili.

Wysoko w górze zauważył dwie identyczne iskierki... Zobaczył, że jedna z nich zakołysała się, zniżyła lot i spadła, podczas gdy druga krążyła w powietrzu i wkrótce zniknęła. Zrozpaczony pilot tego drugiego chronocykla nie zauważył Toma, który krył się w zimnej słonej mgle. Jego obecność pozostała nie zauważona.

Pomknął przed siebie, ale nie stracił cierpliwości. W razie potrzeby zamierzał krążyć tutaj przez większą część życia, szukając odpowiedniego momentu. Wydawało mu się, że strach przed śmiercią, a nawet lęk, iż odnajdzie Feliz martwą, stanowiły część na poły zapomnianego snu. Zawładnęły nim żywioły. Został zdominowany przez nieugiętą wolę, opanowany jednym wielkim pragnieniem.

Zawisł w powietrzu metr nad wodą. Wicher usiłował go pochwycić, tak jak przedtem Feliz, ale Nomura był na to przygotowany. Zręcznie odskoczył i wrócił, żeby dalej wypatrywać ukochanej — wrócił zarówno w przestrzeni, jak i w czasie — tak że prawie dwa tuziny jego wcześniejszych wcieleń przeszukiwały okolice wodospadu w przedziale kilku sekund, kiedy Feliz mogła jeszcze żyć.

Tom nie zwracał uwagi na swoje sobowtóry. Po prostu należały do faz, które już przebył albo będzie musiał przebyć.

TAM!

Minął go niewyraźny ciemny kształt. Spadał w morze na zatracenie. Nomura przekręcił regulator. Wiązka siłowa skoncentrowała się wokół drugiej maszyny. Jego chronocykl zawirował i został pociągnięty przez pojazd Feliz, gdyż nie był w stanie uwolnić tak wielkiej masy z objęć żywiołu.

Niewiele brakowało, a wpadliby do wody, lecz nadeszła pomoc. Dwa, trzy, cztery pojazdy wspólnym wysiłkiem uwolniły chronocykl Feliz. Zwisła bezwładnie w pasach bezpieczeństwa. Tom nie podleciał do niej od razu, lecz najpierw cofnął się w czasie o kilka chwil, wrócił i znowu cofnął, żeby uratować ją i siebie.

Kiedy wreszcie znaleźli się wśród wichrów i mgieł, a Feliz była wolna i znajdowała się w objęciach Toma, Nomura był gotów wypalić dziurę w niebie, aby dostać się na brzeg, gdzie mógłby jej udzielić pierwszej pomocy. Ale dziewczyna poruszyła się, otworzyła oczy i po długiej

jak wieczność chwili uśmiechnęła się do swojego wybawcy. Wtedy Tom rozpląkał się ze szczęścia.

Za nimi ocean ryknął jak bestia, której wyrwano ofiarę.

* * *

Zachód słońca wieczorem, do którego Nomura przeniósł siebie i Feliz, również nie został przez nikogo zarejestrowany. Promienie słoneczne ozłociły całą ziemię i rozpałyły gigantyczny wodospad. Jego pieśń rozbrzmiewała pod gwiazdą wieczorną.

Feliz poprawiła poduszki, usiadła na łóżku i oświadczyła Everardowi:

— Jeżeli oskarży go pan o złamanie przepisów albo o jakieś inne męskie bzdury, które ma pan na myśli, ja także opuszczę wasz przekłety Patrol!

— Och, nie! — Wysoki mężczyzna podniósł otwartą dłoń, jak gdyby chciał się osłonić przed atakiem. — Proszę, pani mnie źle zrozumiała. Chciałem tylko powiedzieć, że znaleźliśmy się w trochę niezręcznej sytuacji.

— Dlaczego? — zapytał Nomura, który siedział na krześle przy łóżku i trzymał Feliz za rękę. — Nikt mi tego nie zabronił, prawda? Wiem też, że agenci nie powinni, jeśli to możliwe, narażać życia, gdy Patrol ich potrzebuje. Czy nie wynika z tego także to, że warto ratować ich życie?

— Tak, oczywiście. — Everard zaczął chodzić po pokoju. Podłoga dudniła pod jego stopami głośniejsz niż huczał wodospad. — Nikt nie ma za złe sukcesów, nawet w organizacjach o bardziej surowej dyscyplinie niż nasza. Wierz mi, Tom, że inicjatywa, jaką dzisiaj wykazałeś, dobrze ci wróży na przyszłość. — Uśmiechnął się krzywo, gdyż trzymał w ustach fajkę. — Nasi zwierzchnicy wybaczą też. takiemu staremu żołnierzowi jak ja, że za szybko chciał się poddać. — Dodał ponuro: — Zbyt wielu naszym agentom nikt nie mógł pomóc. Widziałem to na własne oczy.

Zatrzymał się na środku pokoju, zwrócił do nich twarzą i oświadczył:

— Musimy jednak załatwić tę sprawę do końca. Chodzi o to, że środowisko Feliz nie zarejestrowało jej powrotu.

Dłonie Feliz i Toma zacisnęły się mocniej. Everard przywołał na usta uśmiech — blady, lecz mimo wszystko uśmiech — zanim powiedział:

— Nie bójcie się. Tom, niedawno zastanawiałeś się, dlaczego my, zwykli śmiertelnicy, nie śledzimy uważnie losów naszych kolegów. Czy teraz rozumiesz dlaczego? Feliz a Rach nie zameldowała się w swoim macierzystym biurze. Naturalnie mogła odwiedzić swój dawny dom, ale Patrol nigdy nie pyta, co agenci robią na urlopie. — Wciągnął powietrze do płuc i mówił dalej. — Jeśli zaś idzie o jej dalszą karierę, to gdyby zechciała się przenieść do innej centrali i zmienić nazwisko, każdy wyższy oficer mógłby to zatwierdzić. Na przykład ja. Patrol pozostawia swoim ludziom pewną swobodę działania. Nie mamy odwagi postępować inaczej.

Nomura zrozumiał i wzdrygnął się. Feliz przywołała go do rzeczywistości.

— Ale kim mogłabym zostać? — zastanowiła się głośno.

Tom w lot pojął aluzję i odparł na poły poważnie, na poły zaś ze śmiechem:

— A co byś powiedziała na panią Feliz Nomura?

SZACH MONGOŁOM

1

Mimo swojego imienia i nazwiska Jack Sandoval nie miał w sobie nic z Anglosasa. Wydawało się też, że nie powinien stać w drelichowych spodniach i pstrokatej koszulce koło okna wychodzącego na Manhattan w mieszkaniu Manse'a Everarda. Wprawdzie samodzielny agent od dawna przywykł do anachronizmów, ale zawsze odnosił wrażenie, że jego gościowi, wiecznie zasepionemu mężczyźnie o orlich rysach twarzy, brakuje wojennych barw, konia i karabinu, który można by wycelować w jakąś niecną bladą twarz.

— No dobrze — powiedział. — Chińczycy odkryli Amerykę. To interesujące, ale do czego są ci potrzebne moje usługi?

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem — odparł Sandoval. Stojąc na skórze białego niedźwiedzia, którą niegdyś podarował Everardowi Bjarni Herjulfsson, odwrócił się żeby wyjrzeć przez okno. Drapacze chmur rysowały się wyraźnie na tle jasnego nieba; na tej wysokości miało się wrażenie, że uliczny gwar dociera z daleka. Sandoval zaciskał i rozprostowywał palce założonych do tyłu dłoni.

— Kazano mi skontaktować się z jakimś samodzielnym agentem, wyruszyć razem z nim w przeszłość i zastosować odpowiednie środki — dodał po chwili milczenia. — Znam cię najlepiej, więc... — urwał.

— Czy nie powinieneś raczej zabrać ze sobą innego Indianina? — zapytał Manse. — Będę chyba nie na miejscu w trzynastowiecznej Ameryce.

— Tym lepiej. To wywrze większe wrażenie i wyda się bardziej tajemnicze... Zresztą to zadanie nie będzie zbyt trudne.

— Naprawdę? — odparł Eyerard.

Wyjął z kieszeni znoszonej marynarki fajkę oraz woreczek z tytoniem i nabił ją szybkimi nerwowymi ruchami. Po wstąpieniu do policji temporalnej najtrudniej przyszło mu oswoić się z tym, że do realizacji ważnych zadań nie jest konieczna typowa dla dwudziestego wieku rozbudowana organizacja. Dawne kultury — na przykład antycznej Grecji czy średniowiecznej Japonii — były zorientowane na wszechstronny rozwój jednostki. Podobnie jeden absolwent Akademii Patrolu Czasu (naturalnie wyposażony w narzędzia i broń z przyszłości) mógł zastąpić całą brygadę.

Była to zresztą w równym stopniu kwestia potrzeb jak i estetyki. Patrol zatrudniał niewielki personel w porównaniu ze skalą zadań.

— Odnoszę wrażenie — powiedział powoli Everard — że nie chodzi tu o zwykłe skorygowanie interferencji ekstratemporalnej.

— Właśnie — potwierdził ochryplym głosem Sandoval. — Kiedy zameldowałem o moim odkryciu, biuro środowiska juanskiego przeprowadziło drobiazgowo śledztwo. Nie mogło być mowy o podróżnikach w czasie. Chan Kubilaj* sam to wymyślił. Wprawdzie mogły go zainspirować opowieści Marco Polo o morskich podróżach Wenecjan i Arabów, ale to była prawdziwa historia, nawet jeśli Marco Polo o tym nie wspomina w swojej książce.

* Chan Kubilaj (1215–1294) wnuk Czyngis-chana, wielki chan Mongolii i Chin. W roku 1271 obalił dynastię Sung i założył dynastię Juan. (Przyp. tłum.)

— Chińczycy mieli niebagatelne tradycje morskie — myślał głośno Manse. — To zupełnie naturalne. Gdzie zatem interweniujemy?

Zapałił fajkę i zaciągnął się głęboko. Ponieważ Sandoval nadal milczał, zapytał:

— Jak odnalazłeś tę wyprawę? Przecież nie w kraju Nawahów, prawda?

— Do diabła, nie ograniczam się do badania mojego plemienia! — burknął Sandoval. — W Patrolu pracuje za mało Indian, a trudno jest badać ludzi innych ras. Badałem migracje Atabasków. (Jack Sandoval, podobnie jak Keith Denison, był specjalistą odtwarzającym dzieje ludów, które nigdy ich nie spisały, żeby Patrol wiedział, jakie wydarzenia powinien chronić).

— Pracowałem po wschodniej stronie Gór Kaskadowych, w pobliżu Crater Lake — ciągnął. — To kraina Lutuami, ale miałem powody do przypuszczeń, że zawędrowało tam pewne plemię Atabasków, którego ślad zgubiłem. Tubylcy mówili o tajemniczych cudzoziemcach przybyłych z północy. Poleciałem tam, żeby rzucić na nich okiem i natknąłem się na mongolskich jeźdźców. Wróciłem po ich śladach i znalazłem ich obóz nad rzeką Czehalis, gdzie inni Mongołowie pomagali chińskim marynarzom pilnować statków. Wskoczyłem na chronocykl i szybko udałem się do centrali, żeby o tym zameldować.

Eyerard usiadł i długo patrzył na swojego rozmówcę.

— Czy po chińskiej stronie przeprowadzono dokładne śledztwo? — zapytał. — Czy jesteś absolutnie pewien, że nie nastąpiła interferencja ekstratemporalna? To mogła być jedna z pomyłek, których konsekwencje dają o sobie znać dopiero po dziesiątkach lat

— I mnie przyszło to na myśl, kiedy powierzono mi tę misję. — Sandoval skinął głową. — Nawet udałem się prosto do centrali juańskiego środowiska w Chanbałyku, czyli w Pekinie. Powiedziano mi, że zbadano czas aż do epoki Czyngis — chana, a przestrzeń aż po Indonezję. Wszystko było w porządku, podobnie jak Normanowie i Winland*. Po prostu nie nadano temu takiego rozgłosu. Wedle informacji, jakimi dysponował dwór cesarski, ekspedycja ta została wysłana i nigdy nie powróciła, a Kubilaj uznał, że nie warto wysłać następnej. Raport o niej leżał w cesarskim archiwum, ale został zniszczony podczas rewolty Mingów, którzy wypędzili Mongołów. Historiografia pominęła milczeniem to wydarzenie.

Everard nadal miał zamyślane spojrzenie. Zazwyczaj lubił swoją pracę, lecz w tym przypadku wyczuwał coś nienaturalnego.

— Oczywiście ta ekspedycja zakończyła się niepowodzeniem — powiedział. — Na pewno chcielibyśmy wiedzieć, jak to się stało. Czemu jednak potrzebujesz pomocy samodzielnego agenta, żeby ją szpiegować?

Sandoval odwrócił się od okna. Manse znów pomyślał, że Nawaho nie pasuje do tego miejsca. Urodził się w roku 1930, walczył w Korei i jako były żołnierz zdążył ukończyć college, zanim skontaktował się z nim Patrol, a mimo to jakoś nie pasował do dwudziestego wieku.

„Lecz czy to nie dotyczy nas wszystkich? Czy jakiś człowiek zdołałby udźwignąć ciężar wiedzy o przyszłym losie swojego narodu?”

— Przecież wcale nie mam jej szpiegować! — wykrzyknął Sandoval. — Kiedy złożyłem meldunek, rozkazy przysły prosto z centrali danelliańskiej. Nie było żadnych wyjaśnień ani usprawiedliwień, tylko suchy rozkaz: zaaranżować tę katastrofę, zmienić historię!

* Winland — rejon Ameryki Północnej odkryty w XI w. przez Leifa Erikssona (prawdop. dzisiejsza Nowa Anglia). (Przyp. tłum.)

Rok Pański tysiąc dwieście osiemdziesiąty.

Chan Kubilaj władał znacznymi połaciami Azji; marzył o światowym imperium i przyjmował na dworze z honorami każdego gościa, który przywoził nową wiedzę czy nową filozofię. Młody kupiec wenecki Marco Polo cieszył się jego szczególnymi łaskami, lecz nie wszystkie ludy pragnęły być rządzone przez mongolskich władców. Konspiracyjne rewolucyjne sprzysiężenia powstawały w kilku podbitych królestwach tworzących Kathaj*. Japonia, w której faktyczną władzę sprawował potężny ród Hojo, już odparła jedną inwazję. Poza tym Mongołowie byli zjednoczeni tylko w teorii. Ruscy książęta stali się poborcami podatków dla Złotej Ordy; wielki chan Abaka rządził w Bagdadzie.

Widmowy kalifat abasydzki schronił się w Kairze; w Delhi rządziła dynastia Gurydów; Mikołaj III był papieżem, a Rudolf Habsburg cesarzem niemieckim; gwelfowie i gibelinowie rozdzielali między siebie Włochy; we Francji panował Filip III zwany Śmiałym, w Anglii zaś Edward I. Wśród ich współczesnych byli Dante Alighieri, Jan Duns Szkot, Roger Bacon i Tomasz Rymotwórca.

Natomiast w Ameryce Północnej Manse Everard i Jack Sandoval, zatrzymawszy konie, spoglądali w dół z wierzchołka długiego wzgórza.

— Po raz pierwszy zobaczyłem ich w ubiegłym tygodniu — powiedział Indianin. — Przebyli spory kawałek. Przy tej szybkości znajdują się w Meksyku za dwa miesiące, nawet biorąc pod uwagę trudny teren, który będą musieli przebyć.

— Ale jak na Mongołów wędrują niespiesznie — odparł na to Everard.

Podniósł lornetkę do oczu. Cała okolica była pokryta wiosenną zielenią. Nawet najwyższe i najstarsze buki przystroili się w drzące na wietrze młode listki. Sosny szumiały na wiejącym od gór silnym i zimnym wietrze, który niósł woń topniejącego śniegu. Stada powracających ptaków były tak liczne, że przesłaniały słońce. W oddali na zachodzie niebiesko — białe szczyty Gór Kaskadowych zdawały się unosić nad ziemią, na wschodzie zaś u podnóża wzgórz rozciągały się lasy i łąki, a za horyzontem otwierała się ogromna preria, gdzie kopyta bizonów dudniły jak wiosenne grzmoty.

Everard skierował lornetkę na mongolską ekspedycję, która posuwała się w wężowym szyku po otwartym terenie, trzymając się brzegu niewielkiej rzeczki. Około osiemdziesięciu jeźdźców dosiadało kosmatych azjatyckich kucyków kasztanowatej maści, krótkonogich i z wydłużonymi łbami. Prowadzili ze sobą juczne konie i luzaki. Rozpoznał też kilku tubylczych przewodników tak po niezgrabnej postawie w siodłach, jak po stroju i rysach twarzy. Skupił jednak całą uwagę na nowo przybyłych.

— Dużo żrebnych klaczy objuczonych tobołami — zauważył na poły pod nosem. — Przypuszczam, że zabrali na statki tyle koni, ile mogli, wypuszczając je, żeby zażyły ruchu i mogły się paść na każdym postoju. Teraz w drodze hodują nowe. Ich kucyki są bardzo wytrzymałe i na pewno zniosą trudy takiej podróży.

— Oddział pilnujący statków także hoduje konie — poinformował go Indianin. — Tyle zauważyłem.

— Co jeszcze o nich wiesz?

— Nie więcej, niż ci powiedziałem, to znaczy niewiele więcej, niż sam zobaczyłeś. A tamten raport leżał jakiś czas w archiwum Kubilaja. Przypominasz sobie, że zapisano w nim tylko tyle, iż

* Kathaj — dawna nazwa Chin. (Przyp. tłum.)

cztery statki pod wodzą nojona Toktaja i uczonego Li Tai-Tsunga zostały wysłane w celu zbadania wysp leżących za Japonią.

Everard skinął z roz targnieniem głową. Nie widział sensu, żeby tkwić w tym miejscu i po raz setny powtarzać znane od dawna skąpe informacje. To tylko opóźniało działanie.

Sandoval odchrząknął.

— Nadal mam wątpliwości, czy obaj powinniśmy tam pojechać — oświadczył. — Czemu nie miałbyś pozostać tutaj w odwodzie na wypadek, gdyby stali się zbyt niebezpieczni?

— Kompleks bohatera, co? — odparł Manse. — Nie, lepiej zrobimy, jadąc razem. Tak czy owak, nie spodziewam się kłopotów. Jeszcze nie. Tamci chłopcy są zbyt inteligentni, żeby bez powodu szukać wrogów. Pozostają w dobrych stosunkach z Indianami, nieprawdaż? Na pewno będą się zastanawiać, ilu nas jest... Mimo to napiłbym się przed akcją.

— Tak. I po niej również!

Obaj sięgnęli do sakw przy siodłach, wyjęli dwulitrowe manierki i podnieśli je do ust. Rozgrzany szkocką whisky Everard cmoknięciem ponaglił konia i obaj agenci zjechali ze zbrocza.

Głośny gwizd przeszył powietrze. Zauważono ich. Manse nadal jechał w tym samym tempie w stronę czoła mongolskiej kolumny. Dwaj jeźdźcy z eskorty ulokowali się po bokach, nałożywszy strzały na ciężki krótkich mocnych łuków, ale nie interweniowali.

„Prawdopodobnie wyglądamy niegroźnie” — pomyślał Everard.

Podobnie jak Sandoval miał na sobie dwudziestowieczną kurtkę myśliwską i kapelusz dla osłony przed wiatrem i deszczem, ale nie wyglądał tak elegancko jak Indianin, który ubierał się u najlepszych krawców. Dla zachowania pozorów mieli przypasane sztylety, a na wszelki wypadek ukryli pod ubraniami pistolety maszynowe Mausera i paralizatory z trzydziestego stulecia.

Zdyscyplinowani członkowie ekspedycji jak jeden mąż ściągnęli wodze i zatrzymali się. Everard, zbliżając się, przyglądał się im uważnie. Na godzinę lub dwie przed wyprawą zdobył pod hipnoedukatorem dość rozległą wiedzę o języku, historii, technice i moralności Mongołów, Chińczyków, a nawet miejscowych Indian, ale nigdy nie widział z bliska żadnego przedstawiciela którejś z tych nacji.

Nie przypadli mu do gustu ci krępi krzywonodzy mężczyźni z capimi bródkami i szerokimi twarzami błyszczącymi od tłuszczu w promieniach słońca. Wszyscy byli jednak dobrze wyposażeni: nosili buty i spodnie, skórzane pancerze ozdobione ornamentami z laki i stożkowate stalowe hełmy zakończone szpicem lub piórami. Ich uzbrojenie stanowiły zakrzywione szable, noże, włócznie i łuki. W pobliżu czoła kolumny jeden z jeźdźców trzymał buńczuk z ogonów tybetańskich jaków, przeplatanych złotymi nićmi. Wąskimi oczami beznamiętnie przyglądali się nadjeżdżającym agentom Patrolu.

Everard bez trudu rozpoznał mongolskiego dowódcę. Nojon jechał na wozie i nosił postrzępiony jedwabny płaszcz. Był nieco wyższy i miał bardziej surowy wyraz twarzy niż jego podwładni. Miał też rudawą bródkę i niemal rzymski nos. Siedzący obok niego indiański przewodnik otworzył szeroko usta i skulił się w kącie, ale Toktaj ani drgnął, mierząc przybyszów spojrzeniem drapieży.

— Witajcie! — zawołał, kiedy dwaj nieznajomi znaleźli się dość blisko, by mogli go usłyszeć. — Jaki duch was sprowadza? — Mówił ze strasznym akcentem w dialekcie lutuamskim, który później miał się stać językiem klamackim.

— Witaj Toktaju, synu Batu — odparł Everard płynnie po mongolsku. — Z woli Tengriego* przybywamy w pokoju.

* Tehgri — najwyższe bóstwo mongolskie. (Przyp. tłum.)

Ta replika była zręczna. Agent zauważył, że Mongołowie dotknęli amuletów lub nakreślili w powietrzu znaki chroniące przed urokiem. Jednakże mężczyzna jadący po lewej stronie nojona szybko przyszedł do siebie.

— Ach! — powiedział. — Więc ludzie z krajów Zachodu również dotarli na tę ziemię. Nie wiedzieliśmy o tym.

Manse spojrział na niego. Był wyższy od Mongołów, miał prawie białą skórę, drobne rysy twarzy i wypielegnowane dłonie. Chociaż nosił taki sam strój jak większość jeźdźców, nie był uzbrojony. Wydawał się starszy od Toktaja, mógł mieć około pięćdziesięciu lat, Amerykanin uklonił się w siodle i przeszedł na dialekt północnych Chin.

— Czcigodny Li Tai-Tsungu, nic nie znacząca osoba bardzo żałuje, że nie może się zgodzić z twoimi słowami, ale ja i mój towarzysz przybywamy z wielkiego królestwa leżącego na południu.

— Dotarli do nas niejasne pogłoski — odpowiedział uczony, nie mogąc opanować podniecenia. — Nawet tak daleko na północy ludzie mówią o wspaniałym i bogatym kraju. Szukamy go, aby zanieść pozdrowienia waszemu chanowi od chana chanów, Kubilaja, syna Tuli, który był synem Czyngisa. Cały świat leży u stóp Kubilaja.

— Znamy sławę chana chanów — odrzekł Everard — tak jak znamy kalifa, papieża, cesarza i innych pomniejszych władców. — Musiał dobrać słowa tak, żeby nie obrazić władcy Kathaju, ale jednocześnie subtelnie wskazać jego właściwe miejsce. — Niewiele jednak o nas wiadomo, albowiem nasz pan nie interesuje się zewnętrznym światem ani też nie zachęca swoich poddanych do badania go. Pozwól, że przedstawię moją nędzną osobę. Nazywam się Everard i nie jestem, jak można by podejrzewać, ani Rosjaninem, ani mieszkańcem Zachodu. Jestem strażnikiem granicznym. Niech się sami domyśla, co to miało znaczyć.

— Nie przybyłeś z silną eskortą — powiedział sucho Toktaj.

— Nie, gdyż nie było to konieczne — odparł gładko Everard.

— I jesteś daleko od ojczyzny — wtrącił Li.

— Nie dalej niż bylibyście, czcigodni mężowie, na pograniczu Kirgizji.

Toktaj zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Spoglądał zimno i nieufnie.

— Chodźmy — powiedział. — Witajcie jako ambasadorzy. Rozbijemy obóz i wysłuchamy słów waszego króla.

3

Chylące się ku zachodowi słońce nadawało ośnieżonym szczytom barwę starego srebra. Genie w dolinie wydłużyły się, w lesie pociemniało, ale rozległa łąka wydawała się jaśniejsza niż wcześniej. W wieczornej ciszy było wyraźnie słychać wszystkie dźwięki: szum i plusk rzeki, uderzenia siekiery, stąpanie koni pasących się w wysokiej trawie. W powietrzu rozchodził się dym z ogniska.

Mongołowie byli najwyraźniej zbici z tropu zarówno z powodu nieoczekiwanego spotkania, jak i przedwczesnego postoju. Obserwowali Everarda i Sandovala z obojętymi minami, odmawiając cicho modlitwy najróżniejszych wyznań, głównie pogańskie, ale również buddyjskie, muzułmańskie i nestoriańskie. Nie przeszkadzało im to wcale w rozbijaniu obozu, rozstawianiu straży, oporządzaniu zwierząt i przygotowywaniu posiłku. Manse uznał jednak, że są bardziej milczący niż zazwyczaj. Podczas seansu pod hipnoedukatorem dowiedział się, że Mongołów uważano za ludzi rozmownych i wesołych.

Siedział po turecku w namiocie obok Sandovala, Toktaja i Li Tai-Tsunga. Dywany izolowały ich od ziemi, a na przenośnym piecyku grzał się kociołek z herbatą. Mongołowie rozbili tylko ten namiot, prawdopodobnie jedyny, jaki ze sobą zabrali. Zarezerwowali go na specjalne okazje, takie jak ta. Nojon własnoręcznie nalał Everardowi kumysu, który wypił łyk, głośno siorbiąc wedle reguł etykiety, i podał czarękę sąsiadowi. W życiu pijał już gorsze napitki niż sfermentowane kobyle mleko, ale ucieszył się, kiedy później gospodarze zwrócili się w stronę naczynia z aromatyczną herbatą.

Następnie mongolski dowódca przemówił do rzekomych posłów. Nie umiał mówić równie gładko jak jego sekretarz. Instynktownie się wzdrygał: kim są ci cudzoziemcy, którzy ośmielili się zbliżyć do wysłannika chana chanów, nie pełzając po ziemi? Mimo to powiedział dwornie:

— A teraz niechaj nasi goście powiedzą, czego pragnie ich król. Czy nie zechcieliby jednak najpierw wymienić jego imienia?

— Jego imienia nie wolno wymawiać — odparł Everard. — O jego królestwie słyszałeś tylko pogłoski. Możesz sobie wyobrazić jego potęgę, biorąc pod uwagę fakt, że wysłał tak daleko jedynie nas dwóch i że każdy z nas potrzebował tylko jednego konia.

Toktaj chrząknął i rzekł:

— Macie piękne rumaki, chociaż zastanawiam się, jak by się spisywały w stepie. Czy przebyliście długą drogę, żeby tu przybyć?

— Zajęło nam to nie więcej niż jeden dzień, nojonie. Mamy pewne środki...

Manse wyjął z kieszeni dwie niewielkie paczuski owinięte w kolorowy papier.

— Nasz pan polecił nam wręczyć ten dar przybyszom z Kathaju w dowód szacunku.

Kiedy dwaj Azjaci odwijali papier, Sandoval szepnął Everardowi do ucha:

— Przyjrzyj się ich minom, Manse. Popełniliśmy gafę.

— Jak to?

— Celofan i podarunek wywarły wrażenie na barbarzyńcy takim jak Toktaj, ale zwróć uwagę na Li. Jego cywilizacja uczyniła z kaligrafii sztukę, kiedy nasi przodkowie malowali się jeszcze na niebiesko. Właśnie wyrobił sobie fatalną opinię o naszym smaku.

Everard wzruszył nieznacznie ramionami.

— Przecież ma rację, czyż nie?

Ich rozmowa nie umknęła uwadze pozostałych. Toktaj rzucił im zimne spojrzenie, lecz skoncentrował uwagę na otrzymanej w podarunku elektrycznej latarce, której działanie trzeba mu było wytłumaczyć. Nie obyło się bez okrzyków zdumienia. Na początku Mongoł lękał się jej trochę i nawet wymamrotał jakieś zaklęcie, ale później przypomniał sobie, że Mongoł nie powinien bać się niczego oprócz pioruna. Szybko się opanował i cieszył się z prezentu jak dziecko z nowej zabawki. Najlepszym darem dla uczonego konfucjanisty, jakim był Li, wydawała się książka z serii „Rodzina ludzka”, której różnorodność i technika ilustracji mogły go zaskoczyć. Chińczyk podziękował wylewnie, lecz Manse powątpiewał, czy go to naprawdę zadziwiło. Każdy agent Patrolu prędko się uczył, że ludzi o wyrafinowanych gustach można spotkać w każdej kulturze.

Teraz im z kolei wręczono dary: piękny chiński miecz i wiązkę skór wydry morskiej z wybrzeża Pacyfiku. Dopiero po pewnym czasie wrócili w rozmowie do polityki. Wówczas Sandoval zdołał uzyskać informacje od Mongołów, zanim sam ich udzielił.

— Skoro wiecie tak dużo — zaczął Toktaj — musicie również wiedzieć, że przed kilku laty nie udała się nam inwazja na Japonię.

— Niebo miało inne plany — odparł Li ze zręcznością dworaka.

— Bzdury! — burknął Toktaj. — Miałeś na myśli ludzką głupotę. Było nas niewielu, zbyt mało wiedzieliśmy i popłynęliśmy za daleko po wzburzonym morzu. Ale co z tego? Kiedyś tam wrócimy.

Everard wiedział, że to zrobią. Pomyślał ze smutkiem, że sztorm zniszczy ich flotę i że utonie mnóstwo młodych mężczyzn. Pozwolił jednak Toktajowi mówić.

— Chan chanów zrozumiał, że powinniśmy dowiedzieć się więcej o tych wyspach. Może należało założyć bazę gdzieś na północ od Hokkaido? Poza tym od dawna słyszeliśmy opowieści o ziemiach leżących dalej na wschód. Widywali je od czasu do czasu rybacy, których wiatry zepchnęły z kursu, a kupcy syberyjscy mówili o cieśninie i o znajdującym się zadnią kraju. Chan chanów zgromadził cztery statki z chińską załogą, polecił mi zabrać stu mongolskich wojowników i odkryć tamte ziemie.

Manse skinął głową. Słowa nojona go nie zaskoczyły. Chińczycy pływali na dżonkach od setek lat, a niektóre z nich mogły zabrać nawet do tysiąca ludzi. Wprawdzie nie były jeszcze tak zdatne do żeglugi, jakie stały się później pod wpływem Portugalczyków i ich właściciele nie nęcił żaden ocean ani tym bardziej zimne północne morza, ale mimo to istnieli nieliczni chińscy żeglarze, którzy nauczyli się handlu od Koreańczyków i Tajwańczyków, jeśli nie od swoich ojców. Musieli co nieco wiedzieć o Wyspach Kurylskich.

— Popłynęliśmy wzdłuż dwóch archipelagów — ciągnął nojon. — Okazały się dość niegościnne, ale mogliśmy się zatrzymać, wypuścić konie i wypytać tubylców. Tengri wie, jak trudna może być ta druga czynność, jeśli czasami trzeba dokonywać tłumaczenia na sześć języków! W końcu przekonaliśmy się, że istnieją dwa kontynenty: Syberia i jeszcze jeden, które tak bardzo zbliżają się do siebie na północy, że można przepłynąć dzielącą je cieśninę w skórzanej łódce albo przejść zimą po lodzie. Wreszcie dotarliśmy do nowego kontynentu. To wielka, porośnięta lasami kraina obfitująca w zwierzynę łowną i foki, ale zbyt często padają tam deszcze. Nasze statki trzymały się dobrze, więc popłynęliśmy mniej więcej wzdłuż brzegu.

Everard wyobraził sobie mapę. Jeżeli popłynąć wzdłuż Kuryli, a później Aleutów, można nie oddalać się od lądu. Uniknąwszy katastrofy, płaskodenne dżonki mogły zakotwiczyć nawet przy skalistych wybrzeżach tych wysp. W dodatku niósł je prąd Kuro Siwo, tak że zakreśliły prawie koło. Toktaj odkrył Alaskę, zanim w pełni zdał sobie z tego sprawę. Ponieważ okolice stawały się coraz bardziej gościnne w miarę, jak statki płynęły na południe, minął Pudget Sound i dotarł do rzeki Czehalis. Może Indianie ostrzegli go, że położone dalej ujście Columbii jest niebezpieczne, a później pomogli mu przepłynąć na tratwach jeźdźców i konie przez nurty rzeki.

— Pod koniec roku rozbiliśmy obóz — kontynuował Toktaj. — Tutejsze plemiona są zacofane i bojaźliwe, lecz przyjazne. Tybylcy dawali nam żywność i kobiety i pomagali, kiedy o to prosiliśmy. W zamian za to nasi żeglarze nauczyli ich nowych metod połowu ryb i budowy statków. Przezimowaliśmy tam, poznaliśmy kilka języków i dokonaliśmy wypadu w głąb lądu. Wszędzie opowiadano nam o ogromnych lasach i równinach, gdzie ziemia jest czarna od stad dzikiego bydła. Zobaczyliśmy dostatecznie dużo, żeby uwierzyć w prawdziwość tych opowieści. Nigdy nie widziałem bogatszej krainy. — Jego oczy zabłyśły jak u tygrysa. — I żyje tu tak mało mieszkańców, którzy nie znają nawet żelaza!

— Nojonie! — mruknął ostrzegawczo Li, ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazując „ambasadorów”, i Toktaj zamilkł.

Wówczas Chińczyk zwrócił się do Everarda:

— Słyszeliśmy również opowieści o złotym królestwie leżącym na południu. Uznaliśmy, że naszym obowiązkiem jest to sprawdzić, badając po drodze dzielące nas od niego tereny. Nie spodziewaliśmy się, że będziemy mieli zaszczyt spotkać wasze dostojności.

— Cały zaszczyt po naszej stronie — mruknął z zadowoleniem Manse, po czym przybrał najpoważniejszą minę i oświadczył: — Władca Złotego Cesarstwa, którego imienia nie można wymawiać, wysłał nas z posłaniem przyjaźni. Byłby niepokieszony, gdyby spotkało was nieszczęście. Przybyliśmy tu, żeby was ostrzec.

— Co takiego?! — Toktaj usiadł prosto. Sięgnął muskularną ręką po miecz, którego nie miał przy sobie ze względu na etykietę. — O co tu chodzi, do diabła?!

— Właśnie o diabła, nojonie. Chociaż ta kraina wydaje ci się gościnna, w rzeczywistości spoczywa na niej klątwa. Opowiedz o tym, mój bracie.

Sandoval, który umiał mówić bardziej przekonująco, zabrał głos. Przygotował swoją bajeczkę w taki sposób, żeby wykorzystać siłę oddziaływania przesądów, których na poły cywilizowani Mongołowie jeszcze się nie wyzbyli, i zarazem nie obudzić sceptycyzmu u Chińczyka. Wyjaśnił, że w rzeczywistości istnieją dwa wielkie południowe królestwa. Ich leży bardziej na południe. Rywalizujące z nim mocarstwo znajduje się bliżej, jest nieco przesunięte na wschód i posiada twierdzę na równinie. Oba państwa rządzą potężnymi mocami, które można nazwać albo czarami, albo wyrafinowaną techniką. Położone bliżej państwo złych ludzi uważa całe to terytorium za własne i nie ścierpi obecności żadnej obcej ekspedycji. Jego zwiadowcy na pewno wkrótce odkryją Mongołów i zabiją ich za pomocą piorunów. Życzliwie nastawione królestwo dobrych ludzi nie jest w stanie ich obronić, wysłał więc posłów, żeby ostrzegli podróżników i poradzili im wrócić do ojczyzny.

— Dlaczego tubylcy nic nie mówili o tych monarchach? — zapytał chytrze Lr.

— A czy wszystkie małe plemiona w birmańskiej dżungli słyszały o chanie chanów? — odparował Sandoval.

— Jestem cudzoziemcem i ignorantem — odparł na to Chińczyk. — Wybaczcie mi, jeśli nie zrozumiałem waszych słów o broni, której nikt i nic nie może się oprzeć.

Jeśli sienie myślę, nigdy dotąd nie nazwano mnie kłamcą w tak uprzejmy sposób” — pomyślał Everard, ale nie dał nic po sobie poznać i powiedział:

— Chętnie ją wam zademonstruję, jeśli nojon ma zwierzę, które można zabić.

Toktaj zastanowił się. Jego oblicze było nieruchome, jak gdyby zostało wykute w kamieniu, ale lśniło od potu. Klasnął w ręce i wydał rozkaz strażnikowi, który stanął się na wezwanie. Później rozmowa ucichła i zapanowała złowroga cisza.

Po godzinie, która wydawała się trwać wieczność, pojawił się jeden z wojowników. Zameldował, że dwóch jeźdźców złapało daniela. Czy takie zwierzę odpowiada nojonowi? Tak. Toktaj pierwszy wyszedł z namiotu i utorował drogę przez gęsty tłum szepczących żołnierzy. Everard poszedł za nim, żałując, że musi urządzić ten pokaz. Przymocował kolbę do swojego mauzera.

— Czy chcesz to zrobić? — spytał Sandoval.

— Na Boga, nie.

Daniela, a właściwie łanię wkrótce przywiedziono do obozu. Stała nad rzeką, drząc na całym ciele; gruby sznur z końskiego włosia zaciskał się na jej szyi. Słońce muskające szczyty gór na zachodzie nadawało jej sierści brązowy kolor. Wielkie łagodne oczy zwierzęcia spoglądały z wyrzutem na Everarda. Manse dał znak żołnierzom, żeby się cofnęli, i wycelował. Łanię zabiła już pierwsza kula, ale Manse nie przestał strzelać, póki nie porozrywał jej ciała na krwawe strzępy.

Kiedy opuścił broń, odniósł wrażenie, że powietrze wokół niego zgęstniało. Spojrzał na krępych krzywonogich wojowników o płaskich stężałych twarzach, którzy ze wszystkich sił starali się zapanować nad sobą. W jego nozdrza bił charakterystyczny zapach: silna woń potu, koni i dymu. Czuł się równie niehumaniczny, jaki musiał się im wydawać.

— To jest najmniej groźna broń, której się tutaj używa — powiedział. — Dusza wyrwana w ten sposób z ciała nie znajdzie drogi do świata zmarłych.

Odwrócił się na pięcie. Sandoval poszedł za nim. Ich konie były przywiązane do palików, a ekwipunek złożony w pobliżu. Osiedłali wierzchowce w milczeniu, wskoczyli na siodła i pojechali w stronę lasu.

4

Podmuch wiatru podsycił ogień. Rozpalone umiejętną ręką prawdziwego trapera niewielkie ognisko rozproszyło na chwilę mrok, w którym byli pogrążeni dwaj mężczyźni, oświetlając ich czoła, nosy, policzki i oczy. Później przygasło; czerwono-niebieskie języczki ognia zatrzeszczały pod rozżarzonymi do białości węglami i noc ponownie pochłonęła siedzących przy ognisku ludzi.

Everardowi to nie przeszkadzało. Podniósł do ust fajkę, która przez chwilę obracał w rękę, przygryzł ustnik i zaciągnął się głęboko, lecz znalazł w tym niewielką pociechę. Kiedy przemówił, nocny wiatr szeleszczący w koronach drzew niemal zagłuszył jego głos; tego Everard również nie żałował.

Nie opodal znajdowały się ich śpiwory, konie i pojazd czasu — antygravitacyjne sanie połączone z chronocyklem — który ich tu przywiózł. Okolica była pusta; gdzieś w oddali płonęły inne rozpalone przez ludzi ogniska, równie małe i samotne jak gwiazdy we wszechświecie. Rozległo się dalekie, przeciągłe wycie wilka.

— Przypuszczam — rzekł Everard — że każdy gliniarz od czasu do czasu czuje się jak ostatni łajdak. Dotychczas byłeś tylko obserwatorem, Jack. Czasem wykonanie trudnego zadania wymaga przewyciężenia wewnętrznych oporów.

— Taak. — Sandoval był jeszcze bardziej milczący niż jego przyjaciel. Po kolacji prawie nie ruszył się z miejsca.

— A teraz to. Cokolwiek musisz zrobić, żeby usunąć interferencję temporalną, możesz przynajmniej myśleć, że kierujesz historię na pierwotne tory. — Manse zaciągnął się głęboko. — Nie przypominaj mi, że słowo „pierwotne” nic nie znaczy w tym kontekście. To słowo, które pociesza.

— Tak, oczywiście.

— Ale kiedy nasi szefowie, nasi drodzy danelliańscy nadludzie każą nam interweniować... Wiemy, że wyprawa Toktaja nigdy nie wróciła do Kathaju. Dlaczego mielibyśmy się w to mieszać? Jeżeli natknęliby się na wrogo usposobionych Indian albo na coś innego i zostali wymordowani, to wcale by mnie to nie obeszło, a w każdym razie nie więcej niż jakiegokolwiek inne wydarzenie w tej przeklętej rzeźni, którą nazywa się historią ludzkości.

— Wiesz, że nie musimy ich zabijać. Wystarczy ich zmusić do odwrotu. Możliwe, że twój popołudniowy pokaz zrobi swoje.

— Taak. Zmusić do powrotu... i co dalej? Prawdopodobnie zginą na morzu. Nie będą mieli łatwej podróży — burze, mgła, przeciwne prądy, rafy — płynąc na tych prymitywnych statkach, które miały poruszać się po rzekach. A zmusimy ich do powrotu właśnie o tej porze roku! Gdybyśmy się nie wtrącili, wyruszyliby później, warunki atmosferyczne byłyby inne... Dlaczego mielibyśmy wziąć na siebie winę?

— Mogliby nawet wrócić — mruknął Indianin.

— Co? — Everard drgnął.

— Wywnioskowałem to ze słów Toktaja. Jestem pewien, że chce wrócić konno, a nie na statkach. Tak jak przypuszcza, Cieśninę Beringa można łatwo przebyć. Aleuci czynią to stale. Obawiam się, że nie wystarczy ich po prostu oszczędzić!

— Przecież nie wrócą do Kathaju! Wiemy o tym!

— Przypuśćmy, że to im się uda. — Sandoval zaczął mówić nieco głośniej i znacznie szybciej niż zwykle. — Zastanówmy się przez chwilę. Załóżmy, że Toktaj pojedzie dalej na północny wschód. Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek mogło go zatrzymać. Jego ludzie potrafią wyżywić się tym, co znajdują po drodze, nawet na pustyni, znacznie lepiej niż Coronado* albo inny odkrywca. Nie musi wędrować bardzo daleko, żeby dotrzeć do ludów późnego neolitu, rolniczych plemion Pueblo. To ośmieli go jeszcze bardziej. Przybędzie do Meksyku przed sierpniem, a Meksyk jest teraz równie wspaniały jak był, a raczej będzie, w czasach Korteza. Wyda mu się nawet bardziej kuszący, ponieważ Aztekowie walczą z Toltekami o supremację, a pozostałe plemiona gotowe są poprzeć każdego przeciwko tamtej dwójce. Hiszpańskie działa nic w tej sytuacji nie zmieniły, a raczej nie zmieniają, jak sobie przypominasz, jeśli czytałeś Diaza*. Indywidualnie Mongołowie przewyższają Indian, tak samo jak później Hiszpanie... Nie znaczy to, że wyobrażam sobie, iż Toktaj od razu rzuciłby się do ataku. Na pewno byłby bardzo uprzejmy, spędziłby tam zimę i wypytał o wszystko. W następnym roku wyruszyłby na północ, wrócił do Kathaju i zameldował Kubilajowi, że najbogatszy, najbardziej nafaszerowany złotem kraj na świecie tylko czeka na zdobywcę.

— A inni Indianie? — zapytał Everard. — Wiem o nich bardzo mało.

— Nowe imperium Majów jest u szczytu potęgi. To będzie twardy orzech do zgryzienia, ale myślę, że wart zachodu. Przypuszczam, że jeśli Mongołowie zadomowią się w Meksyku, nic ich nie powstrzyma. W Peru kwitnie w tej chwili wyższa kultura, ale panuje gorsza organizacja niż w czasach Pizarra. A plemiona Keczua i Ajmara, zwane później Inkami, są niemal równie silne. Poza tym weź pod uwagę ziemię! Czy wyobrażasz sobie, co jedno plemię mongolskie uczyniłoby z Wielkiej Prerii?

— Nie sądzę, by wyemigrowały całe ordy — odparł Manse. W głosie Sandovala wyczuwał coś, co budziło w nim niepokój i sprzeciw. — Musieliby przebyć zbyt wielkie obszary Syberii i Alaski.

— Nie takie przeszkody pokonywano. Nie twierdzę, że od razu rozprzestrzeniliby się po całej Ameryce. Masowa migracja mogłaby trwać kilka stuleci, jak to było z Europejczykami. Potrafię sobie wyobrazić klany i plemiona osiedlające się w ciągu kilku lat na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej. Meksyk i Jukatan zostałyby zaanektowane albo, co bardziej prawdopodobne, stałyby się chanatami. Plemiona pasterskie przesuwają się na wschód w miarę wzrostu ich liczebności i napływu nowych imigrantów. Przypomnij sobie, że dynastia juańska zostanie obalona za niecałe sto lat, co będzie stanowiło dla Mongołów dodatkowy bodziec do opuszczenia Azji. Chińczycy również tu przybędą, żeby uprawiać ziemię i mieć swój udział w wydobywaniu złota.

— Pozwól sobie powiedzieć — wtrącił cicho Everard — że nigdy nie przypuszczałem, iż właśnie ty będziesz chciał przyspieszyć podbój Ameryki.

— To byłby inny podbój — odparł Sandoval. — Nie obchodzą mnie Aztecy. Jeśli lepiej ich poznasz, zgodzisz się ze mną, że Korteż wyświadczył Meksykowi przysługę. Na pewno inne, spokojniejsze plemiona znajdują się w ciężkiej sytuacji i potrwa to jakiś czas. A przecież Mongołowie, nie są takimi barbarzyńcami jak Aztecy. Co o tym sądzisz? Nasze zachodnie

* Francisco Vasquez de Coronado — konkwistator hiszpański.

* Diaz del Castillo — konkwistador hiszpański, autor „Pamiętnika żołnierza Korteza”. (Przyp. tłum.)

wykształcenie umacnia w nas uprzedzenia w stosunku do nich. Zapominamy o masakrach i innych zbrodniach, których Europejczycy dopuścili się w tej samej epoce.

— Mongołów można przyrównać do starożytnych Rzymian. Tak samo jak oni wysiedlają stawiające opór ludy, ale szanują prawa tych narodów, które się poddały. Zapewniają im taką samą zbrojną opiekę i kompetentne rządy. Mongołowie mają taki sam jak Rzymianie charakter narodowy — są przyziemni i mało nowatorscy, lecz spoglądają z niejakim lękiem i zazdrością na ludy prawdziwie cywilizowane. *Pax Mongolica* obejmuje większe obszary i skupia więcej ludów, niż kiedykolwiek wyobrażano sobie w tym nędznym rzymskim imperium. Natomiast jeśli idzie o Indian, to przypomnij sobie, że Mongołowie są pasterzami. Nie powstanie tutaj antagonizm między myśliwymi a rolnikami, który sprawił, że biali ludzie wytępiłi Indian. Poza tym Mongołom obce są przesady rasowe i po krótkiej walce Nawahowie, Czirokezi, Seminole, Algonkinowie, Czipejowie, Dakota i Siuksowie poddadzą się bez urazy i staną się ich sojusznikami. Dlaczego mieliby tego nie zrobić? Otrzymają konie, barany, bydło rogate, tkaniny i wyroby metalowe. Górując liczebnie nad najeźdźcami, będą mogli rokować z nimi niemal jak z sobie równymi, a nie jak z białymi farmerami w epoce maszyn parowych i elektryczności. Ponadto, jak już powiedziałem, przybędą tutaj Chińczycy, stając się zaczynem dla całej tej mieszanki, cywilizując i rozwijając umysły... Na Boga, Manse, kiedy przyplynie tu Krzysztof Kolumb, spotka wielkiego chana Mongołów! Sachem—chana najpotężniejszego narodu na świecie! — Sandoval urwał.

Everard wsłuchiwał się w ponure skrzypienie gałęzi na wietrze. Długo wpatrywał się w mrok, zanim powiedział:

— To możliwe. Oczywiście musielibyśmy pozostać w tej epoce dopóty, dopóki nie minąłby decydujący moment. Nasz świat przestałby istnieć. Nigdy by nie zaistniał.

— Ostatecznie nie był to taki zły świat — powiedział Sandoval jak we śnie.

— Mógłbyś pomyśleć o swoich... och... rodzicach. Oni także nigdy by nie ujrzeli światła dziennego.

— Mieszkali w nędznej chacie. Pamiętam, że raz widziałem mojego ojca płaczącego, gdyż nie mógł kupić butów na zimę. Moja matka umarła na gruźlicę.

Everard siedział nieruchomo. To Sandoval poruszył się pierwszy i zerwał na równe nogi, śmiejąc się chrapliwie.

— Co ja nagadałem! To tylko bujda, Manse. Kładźmy się. Czy . mam pierwszy pełnić wartę? Samodzielny agent zgodził się, ale długo nie mógł zasnąć.

5

Chronocykl skoczył dwa dni do przodu i poszybował wysoko na niebie, niewidoczny gołym okiem. Powietrze wokół niego było rzadkie i zimne. Everard zadrżał, nastawiając teleskop elektroniczny. Nawet przy maksymalnym powiększeniu samotna karawana wyglądała jak szereg punkcików przesuwających się po bezmiernej zielonej płaszczyźnie. Ale nikt inny na półkuli zachodniej nie mógł jechać konno.

Manse odwrócił się na siodełku do swego towarzysza.

— Co teraz zrobimy?

Szeroka twarz Indianina była nieprzenikniona.

— No, jeśli nasz pokaz nie odniósł skutku...

— Oczywiście, że odniósł! Przysięgłbym, że jadą na południe dwa razy szybciej niż poprzednio. Dlaczego?

— Musiałbym wiedzieć o nich więcej, żeby móc ci dać trafną odpowiedź, Manse. W gruncie rzeczy jednak może chodzić tylko o to, że rzuciliśmy wyzwanie ich odwadze. W ich kulturze odwaga i brawura to jedyne liczące się cnoty... nie mogli więc zrobić nic innego, jak tylko kontynuować wędrówkę. Gdyby przeleźli się zwykłej groźby, nigdy by sobie tego nie darowali.

— Przecież Mongołowie nie są idiotami! Nie dokonali wszystkich swoich podbojów dzięki brutalnej sile, ale dlatego, że lepiej niż ich przeciwnicy znali się na sztuce wojennej. Toktaj powinien był się wycofać, zameldować swojemu władcy o tym, co zobaczył, i zorganizować większą ekspedycję.

— Mogą to zrobić żołnierze, których zostawił przy statkach — przypomniał mu Sandoval. — Teraz, kiedy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, jak bardzo nie doceniliśmy Toktaja. Musiał ustalić jakiś termin, prawdopodobnie w przyszłym roku. Gdyby nie wrócił, statki mają odpłynąć do Kathaju, a jeśli znajdzie coś interesującego, na przykład nas, może wysłać Indianina z listem do bazy.

Manse skinął głową. Przyszło mu na myśl, że wciągnięto go do tej wyprawy, nie dawszy mu nawet chwili na poczynienie przygotowań. Stąd ten pożałowania godny rezultat. W jakim jednak stopniu przyczyniła się do tego podświadoma niechęć Jacka Sandovala? Po chwili milczenia powiedział:

— Mogli dostrzec w nas coś podejrzanego. Mongołowie zawsze potrafili prowadzić wojnę psychologiczną.

— Możliwe. I co teraz zrobimy?

„Runąć na nich z góry, puścić kilka serii z działka energetycznego z czterdziestego pierwszego wieku zamontowanego na naszym chronocyklu i koniec... Nie, na Boga, nigdy nie zrobię czegoś podobnego. Mogliby mnie za to posłać na planetę kamą. Istnieją granice, których nie można przekroczyć”.

— Urządzimy pokaz, który zrobi wrażenie — zaproponował Everard.

— A jeśli i to zawiedzie?

— Zamknij się! Nie kracz!

— Właśnie się zastanawiałem. — Wiatr porywał słowa Sandovala. — A może w ogóle nie dopuścić do tej wyprawy? Cofnąć się w czasie o kilka lat i przekonać chana Kubilaja, że nie warto wysyłać ludzi na wschód? Wtedy to wszystko nigdy by się nie wydarzyło.

— Dobrze wiesz, że przepisy zabraniają nam wprowadzania zmian do historii.

— W takim razie co tutaj robimy?

— Wykonujemy specjalny rozkaz centrali. Możliwe, że ma to na celu skorygowanie jakiejś innej interferencji. Skąd mam to wiedzieć? Jestem tylko szczeblem w drabinie ewolucji. Ludzie żyjący milion lat po mnie posiadają zdolności, o jakich mi się nawet nie śniło.

— Ani mnie — mruknął Indianin. Everard zacisnął usta i po chwili rzekł:

— Obaj wiemy, że dwór Kubilaja, najpotężniejszego człowieka na świecie, ma decydujące znaczenie i jest ważniejszy niż wszystko tutaj w Ameryce. Skoro już wciągnąłeś mnie do tej cholernej roboty, pokażę ci teraz, że w razie potrzeby ja tutaj dowodzę. Kazano nam zniechęcić tych ludzi do dalszej eksploracji. Nie obchodzi nas, co się później z nimi stanie. Przypuśćmy, że nigdy nie wrócą do swojego kraju. Nie przyczynimy się do tego bezpośrednio, tak jak nie można stać się mordercą, jeśli zaprosi się jakiegoś człowieka na obiad, a on zginie po drodze w wypadku.

— Przestali marudzić i bierzmy się do roboty. — uciął Sandoval. Manse skierował chronocykl naprzód.

— Czy widzisz to wzgórze? — zapytał po chwili. — To miejsce Jeży na szlaku Toktaja, ale sądzę, że dzisiaj wieczorem rozbije on obóz kilka kilometrów przed nim, na tej łączce nad rzeką. Stamtąd będzie mógł je zobaczyć. Zainstalujemy się tam.

— I wystrzelimy sztuczne ognie? Będą musiały bardzo się różnić od zwykłych fajerwerków. Ci Kathajanie świetnie się znają na prochu strzelniczym. Używają nawet małych rakiet do celów wojskowych.

— Wiem o małych rakietach, ale kiedy gromadziłem sprzęt na tę wyprawę, zabrałem rozmaite aparaty na wypadek, gdyby pierwsza próba okazała się nieudana.

Na szczycie wzgórza rósł rzadki sosnowy zagajnik. Everard posadził chronocykl między drzewami i zaczął wyładowywać skrzynie z obszernych pojemników. Sandoval pomagał mu bez słowa.

Wytresowane przez ludzi z Patrolu konie spokojnie wyszły z przegród, w których podróżowały, i zaczęły się paść na zboczu. Po pewnym czasie Indianin przerwał milczenie.

— Nie mam o tym zielonego pojęcia. Co szykujesz?

Manse poklepał niewielki aparat, który już do połowy zmontował, i rzekł:

— To element systemu kontroli pogody działającego w mroźnych wiekach w odległej przyszłości, tak zwany dystrybutor potencjałów. Może wytwarzać najstraszniejsze błyskawice i odpowiednio głośne grzmoty.

— Aha!... słaby punkt Mongołów. — Nagle Sandoval uśmiechnął się szeroko. — Na pewno zwyciężysz. Możemy odpocząć i nacieszyć się tym widowiskiem.

— Przygotuj dla nas kolację, dobrze? Ja tymczasem skończę montować te rzeczy. Oczywiście bez ognia. Nie chcemy żadnego dymu, który można normalnie wytłumaczyć... Ach, tak! Mam również projektor miraży. Gdybyś zechciał się przebrać i naciągnąć kaptur lub coś innego w odpowiedniej chwili, tak żeby nie można było cię rozpoznać, wyświetliłbym twoją podobiznę wielką na prawie półtora kilometra i prawie równie brzydką jak w rzeczywistości.

— Co byś powiedział na nagłośnienie? Pieśni Nawahów mogą napędzić niezłego stracha, kiedy nie wiadomo, czy wyrażają triumf czy przerażenie.

— Otóż i oni!

Dzień przygasał. Pod sosnami pociemniało; powietrze było zimne i przesycone ostrą wonią. Pożerając kanapkę, Everard przyglądał się przez lornetkę mongolskiej straży przedniej, która zgodnie z jego przypuszczeniami wybrała na miejsce postoju łączkę nad rzeką. Potem nadjechali inni Mongołowie, przywożąc upolowaną po drodze zwierzynę i zabrali się za przygotowywanie posiłku. Reszta oddziału pokazała się o zachodzie słońca. Żołnierze zsiadli z koni, zajęli miejsca zgodnie z ustalonym wcześniej porządkiem i zaczęli jeść. Toktaj jechał forsownie, nie tracąc ani minuty dnia. O zmroku Manse obserwował wysunięte posterunki konnych wartowników uzbrojonych w łuki. Tracił ducha, chociaż starał się do tego nie dopuścić. Bądź co bądź przeciwstawiał się ludziom, którzy wstrząsnęli światem.

Pierwsze gwiazdy zabłyśły nad ośnieżonymi szczytami. Trzeba było zacząć.

— Czy uwiązałeś nasze konie, Jack? Mogą wpaść w panikę. Jestem prawie pewny, że tak się stanie z mongolskimi kucami! Świetnie, zaczynajmy.'

Najpierw między niebem a ziemią błysnęło niebieskie światełko. Później pojawiły się błyskawice, następujące po sobie bez przerwy ogniste, rozszczepione języki, powalając drzewa jednym uderzeniem, aż zbocza wzgórza zdrząły od grzmotów. Następnie Everard wypuścił ogniste kule, płomienne sfery, które wirowały i podskakiwały w powietrzu, ciągnąc za sobą ogony z iskier. Przecinały powietrze jak meteory, wybuchały nad obozem i wkrótce niebo zaczęło sprawiać wrażenie rozgrzanego do białości.

Ogłuszony i na poły oślepiiony Everard zdołał stworzyć ekran z fluorescencyjnej jonizacji. Wielkie wstęgi falowały niczym zorza polarna, czerwone jak krew i białe niczym kość, sycząc pod wpływem powtarzających się uderzeń piorunów. Sandoval postąpił kilka kroków da przodu. Miał na sobie tylko spodnie i za pomocą gliny pokrył ciało rytualnymi wzorami. Nie włożył maski, lecz

umazał twarz ziemią i wykrzywił ją w dzikim grymasie, tak że jego towarzysz z trudem go rozpoznał. Maszyna zanalizowała jego postać i zmieniła szczegóły. Trójwymiarowy obraz na ekranie z zorzy polarnej był wyższy niż wzgórze. Poruszał się jak gdyby w groteskowym tańcu, przemieszczając się z jednego krańca widnokregu do drugiego, a później wznosił się wyżej, czemu towarzyszyły dźwięki głośniejsze od grzmotów.

Manse skulił się skapany w trupioblady światło, zacisnąwszy palce na tablicy rozdzielczej. Ogarnął go paniczny prymitywny strach; taniec na niebie obudził w nim dawno zapomniane uczucia.

„Boże! Jeśli to nie zmusi ich do odwrotu...”

Oprzytomniał i spojrzał na zegarek. Pół godziny... Trzeba dać im jeszcze kwadrans, stopniowo zmniejszając liczbę efektów... Na pewno zostaną w obozie do świtu i nie będą błąkać się w mroku; są dostatecznie zdyscyplinowani. Trzeba przycichnąć na kilka godzin, a później ostatecznie ich przerazić wytwarzając piorun, który roztrzaska drzewo tuż koło nich... Everard dał znak Sandovalowi, żeby się wycofał. Indianin usiadł, dysząc tak głośno, jak gdyby włożył w swoje popisy dużo więcej wysiłku niż mogło się zdawać.

Kiedy hałas ucichł, Manse powiedział:

— Wspaniałe przedstawienie, Jack. — Jego głos brzmiał w uszach Sandovala nieco metalicznie i obco.

— Nie robiłem czegoś takiego od lat — mruknął Sandoval. Zapalił zapałkę, której trzask zmaścił głęboką ciszę. Mały płomyk oświetlił zaciśnięte usta. Później Indianin zgasił ją i tylko koniec jego papierosa żarzył się w mroku.

— Nikt ze znajomych w rezerwacie nie brał poważnie tych tańców — podjął po chwili. — Kilku starców uważało, że my, młodzi, powinniśmy się ich nauczyć. Pragnęli zachować dawne obyczaje i przypomnieć nam, że nadal jesteśmy jednym ludem. My jednak chcieliśmy zarobić trochę, tańcząc dla turystów.

Zapadło długie milczenie. Everard wyłączył projektor i w gęstym mroku papieros Sandovala przygaszał i rozżarzał się jak małeńka czerwona gwiazda Algol.

— Dla turystów! — powtórzył w końcu Indianin. Po kilku minutach dodał: — Dziś wieczorem mój taniec miał pewien cel i coś oznaczał. Nigdy nie czułem się tak jak wtedy.

Everard nie odpowiedział.

Milczał dopóty, dopóki nie usłyszał głośniego rżenia konia, który szarpał się na uwięzi podczas „występu” Sandovala i wciąż był niespokojny.

Manse podniósł głowę, lecz daremnie wpatrywał się w mrok.

— Czy coś słyszałeś, Jack?

Nagle padła na niego smuga światła z elektrycznej latarki. Oślepiony wpatrywał się w nią przez sekundę, a później zerwał się na równe nogi. Zaklął, sięgając po paralizator. Jakiś cień wybiegł zza drzew i uderzył go w zebra. Cofnął się chwiejnie i, nie celując, strzelił.

Latarka jeszcze raz zakreśliła łuk. Everard dostrzegł przelotnie Sandovala. Indianin nie miał przy sobie broni. Uchylił się przed ciosem mongolskiego miecza. Wtedy napastnik rzucił się na niego i Sandoval mógł wykorzystać w praktyce znajomość dzudo, które poznał w Akademii Patrolu. Przyklęknął na jedno kolano. Mongoł ponownie zamachnął się mieczem, chybił i straciwszy równowagę, uderzył brzuchem w muskularne ramię agenta, który wstał po ciosie. Wyrznął przeciwnika pięścią w podbródek. Głowa w hełmie odskoczyła, a wówczas Sandoval kantem dłoni uderzył Mongoła w grdykę, wyrwał mu miecz z ręki i odwrócił się w samą porę, by odparować cios z tyłu.

Czyjś głos wzbił się ponad wrzawę. Ktoś wydawał rozkazy szczekliwym głosem. Everard się cofnął. Powalił jednego napastnika serią z paralizatora, ale inni odgradzili go od chronocykla.

Odwrócił się by stawić im czoło. Rzucone zręczną ręką lasso zacisnęło się wokół jego ramion. Zwalilo się na niego czterech mężczyzn. Kątem oka spostrzegł, że pół tuzina włócznie uderzyło tępymi końcami w głowę Sandovala. Później już tylko starał się uwolnić. Dwukrotnie udało mu się wstać, lecz zgubił w walce pistolet, a jakiś Mongoł wyrwał muzera z olstra — ci mali Azjaci byli mistrzami walki w stylu *yawara*. Rzucili go na ziemię i bili pięściami, kopali i uderzali rękoczynami sztyletów. Nie stracił zupełnie przytomności, ale w końcu przestał się przejmować swoim losem.

6

Toktaj zwinął obóz przed świtem i o wschodzie słońca jego oddział jechał już między zagajnikami rosnącymi na dnie dużej doliny. Teren stawał się płaski i suchy; po prawej stronie góry coraz bardziej się oddalały, a kilka jeszcze widocznych ośnieżonych szczytów majaczyło na tle bladego nieba.

Wytrzymałe azjatyckie koniki kłusowały raźnie — w głębokiej ciszy słychać było tylko przytłumiony tętent kopyt, skrzypienie i brzęk uprzęży. Patrząc za siebie, Everard postrzegał mongolską kolumnę jako zwartą masę; włócznie unosiły się i opadały, proporceżyki, pióropusze i płaszcze powiewały na wietrze, a niżej błyszczwały w słońcu hełmy. Tu i tam widać było brunatne twarze o skośnych oczach oraz groteskowo pomalowane zbroje. Wszyscy milczeli i Manse nie mógł nic wyczytać z kamiennych twarzy wojowników.

Miał wrażenie, że jego mózg zasypały lotne piaski. Mongołowie nie skrepowali Amerykaninowi rąk, ale przywiązali jego stopy do strzemion i sznury ocierały mu ciało. W dodatku rozebrali go do naga — co było niezbędnym środkiem ostrożności, gdyż nie mogli wiedzieć, jakie rzeczy ma zaszyte w ubraniu — a mongolski strój, który dali mu w zamian, okazał się tak ciasny, że musieli rozciąć szwy tuniki, nim zdołał ją włożyć.

Projektor i chronocykl pozostały na wzgórzu. Toktaj nie chciał ryzykować, zabierając te niebezpieczne urządzenia. Musiał krzykiem i groźbami nakłaniać swoich wojowników, żeby zabrali obce konie z siodłami i derkami, ale bez jeźdźców.

Rozległ się szybszy tętent. Jeden z łuczników pilnujących Everarda mruknął i odjechał nieco na bok. Li Tai-Tsung zbliżył się do Amerykanina.

— No więc? — zapytał Manse, patrząc ponuro na Chińczyka.

— Obawiam się, że twój przyjaciel już się nie obudzi — odparł uczony. — Ułożyłem go wygodniej.

„Ale leży nieprzytomny na prowizorycznych noszach między dwoma kucami... Tak, to wstrząs mózgu po pobiciu. W szpitalu Patrolu prędko by go postawili na nogi, ale najbliższe biuro jest w Pekinie i trudno sobie wyobrazić, że Toktaj pozwoli mi wrócić do chronocykla i użyć radionadajnika. Jack Sandoval umrze tutaj sześćset pięćdziesiąt lat przed swoimi narodzinami”.

Everard spojrział w ciemne i zimne oczy; wyrażały zaciekawienie i nie było w nich widać wrogości, ale wydawały mu się obce. Wiedział, że jego wysiłki na nic by się nie zdały. Argumenty logiczne w jego cywilizacji nie miały mocy przekonywania w tej epoce, ale musiał przynajmniej spróbować

— Czy mógłbyś dać Toktajowi do zrozumienia, jakie nieszczęścia ściągnie na siebie i swój lud, trwając w uporze?

Li pogładził rozdwojoną bródkę.

— Zdaję sobie sprawę, czcigodny cudzoziemcze, że twój lud opanował nie znane u nas sztuki — powiedział. — Ale co z tego? Barbarzyńcy... — urwał i zerknął na mongolskich strażników, ale ci najwyraźniej nie rozumieli dialektu sung, którym się posługiwał, więc mówił dalej: — ...podbili wiele krajów zamieszkałych przez ludy przewyższające ich pod każdym względem z wyjątkiem sztuki wojennej. Teraz już wiesz, że, ach, zniekształciłeś prawdę, mówiąc o wrogim imperium leżącym w pobliżu tych ziem. Dlaczego twój władca starałby się nas zmusić do ucieczki za pomocą gróźb, gdyby się nas nie obawiał?

Everard odpowiedział bardzo ostrożnie:

— Nasz wielki cesarz nie lubi przelewu krwi. Jeśli go jednak do tego zmusicie...

— Proszę. — Li wyglądał na zasmuconego. Machnął szczupłą ręką tak, jak gdyby odpędzał owada. — Mów, co chcesz Toktajowi, a ja nie będę się wtrącał. Nie zasmuci mnie powrót do domu, gdyż przybyłem tu tylko z rozkazu cesarza. Gdy jednak rozmawiamy w cztery oczy, nie udawajmy mniej inteligentnych, niż jesteśmy naprawdę. Czy nie widzisz, szlachetny panie, że niczym nie możesz zagrozić tym ludziom? Gardzą śmiercią. Nawet najbardziej wymyślne tortury zakończą się tylko ich śmiercią, a najstraszliwsze okaleczenie ciała nie złamie człowieka, który jest gotów przegryźć swój język i umrzeć. Toktaj oczyma duszy widzi wieczną hańbę, którą się okryje, jeśli zawróci po tak długiej podróży, i wielką szansę zdobycia wiecznej chwały i bogactw, jeśli pojedzie dalej.

Manse westchnął. Poniżające pojmanie go rzeczywiście stało się punktem zwrotnym. Niewiele brakowało, a Mongołowie umknęliby przed błyskawicami i grzmotami. Wielu z nich, jęcząc, padło na ziemię (teraz będą szczególnie agresywni, żeby zatrzeć w pamięci wspomnienie o tym). Toktaj zaatakował źródło niebiańskiego ognia, kierując się w równym stopniu przerażeniem jak brawurą; kilku wojowników pokonało strach, uspokoiło konie i ruszyło za nim. Li ponosił za to częściową odpowiedzialność: jako erudyta i sceptyk znający różne magiczne sztuczki i pirotechniczne widowiska poradził Toktajowi, by zaatakował, zanim jakiś piorun porazi jego żołnierzy.

„Prawda jest taka, że nie doceniliśmy tych ludzi. Powinniśmy byli wziąć ze sobą specjalistę, który orientowałby się w niuansach ich kultury. Zamiast tego uznaliśmy, że wystarczy nabić sobie głowę faktami. I co teraz? Może w końcu przybędzie wysłana przez Patrol ekspedycja ratunkowa, ale Jack umrze za dzień lub dwa...” — Everard spojrzał na kamienną twarz wojownika jadącego po lewej stronie. — „Ja zapewne także; oni nadal mają rozstrojone nerwy. Mogę spodziewać się po nich tylko tego, że skręcą mi kark”.

A gdyby nawet (co było wielce wątpliwe) przeżył i inna jednostka Patrolu wybawiła go z tego kłopotliwego położenia, byłoby mu trudno spojrzeć kolegom w oczy. Uważano bowiem, że cieszący się specjalnymi przywilejami samodzielny agent powinien dać sobie radę w każdej sytuacji bez pomocy. Nie powinien narażać życia innych, równie jak on cennych pracowników policji temporalnej.

— Dlatego szczerze ci radzę, żebyś nie próbował innych podstępów.

— Co takiego?! — zawołał Manse, zwracając się znów do Li.

— Czy rozumiesz, że nasi tubylczy przewodnicy uciekli? — wyjaśnił Chińczyk — i że ich zastępujesz? Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy inne plemiona i nawiążemy z nimi kontakt...

Everard skinął głową. Czuł pulsujący ból w skroniach, a ostre stolicce raziło go w oczy. Nie dziwiła go szybka podróż Mongołów przez regiony, gdzie żyły dziesiątki plemion posługujących się różnymi dialektami. Wystarczy kilka godzin, żeby od biedy opanować trochę podstawowych słów i gestów, a później można całymi dniami i tygodniami uczyć się języka od wynajętych ludzi.

— ...i zwerbujemy przewodników na poszczególne etapy, tak jak dotąd postępowaliśmy — ciągnął Li. — Jeśli będziesz nam udzielał fałszywych wskazówek, wkrótce wyjdzie to na jaw. Toktaj ukarze cię za to w bardzo niecywilizowany sposób. Wiedz jednak, że zostaniesz hojnie

wynagrodzony za wierną służbę. Możesz nawet mieć nadzieję, że w jakiś czas po podboju otrzymasz wysokie stanowisko w zarządzie prowincji.

Everard siedział nieruchomo w siodle. Ta rzucona mimochodem przechwątka wstrząsnęła nim.

Liczył na to, że Patrol przyśle inną jednostkę. Oczywiście coś uniemożliwi Toktajowi powrót do Kathaju. Czy jednak na pewno? Dlaczego w ogóle kazano im interweniować, skoro nie występowała — w paradoksalny sposób, którego nie potrafił pojąć za pomocą dwudziestowiecznej logiki — żadna niestabilność, słabość kontinuum właśnie w tym miejscu?

Do wszystkich diabłów! Może ta mongolska ekspedycja się powiedzie! Może ten przyszły chanat amerykański, o którym nie śmiał marzyć Sandoval... naprawdę powstanie?

W czasoprzestrzeni istnieją pętle i nieciągłości. Linie wszechświata mogą się uginać i dzielić, tak że pewne rzeczy i wydarzenia pojawiają się bez przyczyny. Są to nieznaczne odchylenia, szybko ustępujące i prędko zapominane. Właśnie w taki sposób Manse Everard, uwięziony w przeszłości z martwym Jackiem Sandoval, przybył z nie istniejącej przyszłości jako agent Patrolu Czasu, który nigdy nie powstał.

7

O zachodzie słońca mongolska ekspedycja, posuwająca się naprzód z zawrotną szybkością, znalazła się na terenach porośniętych bylicą i kaktusami. Strome wzgórza były brunatne; drobny pył unosił się spod końskich kopyt jak dym. Coraz rzadziej rosnące srebrzystozielone krzewy napelniały powietrze słodką wonią.

Everard pomógł położyć Sandovala na ziemi. Indianin miał zamknięte oczy, zapadnięte i rozpalone policzki. Od czasu do czasu rzucał się w gorączce i mruczał coś bez związku. Manse wycisnął wodę ze zmoczonej chusteczki na spieczone wargi przyjaciela, ale nic więcej nie mógł dla niego uczynić.

Mongołowie rozbili obóz w lepszym nastroju niż ostatnim razem. Pokonali dwóch wielkich czarowników, nie naraziwszy się na inne ataki, i zaczęli sobie uświadamiać rozmiary swojego zwycięstwa. Wykonywali swoje prace żywo rozprawiając, a po skromnym posiłku wyciągnęli skórzane bukłaki z kumysem.

Manse pozostał z Sandovalem w pobliżu centrum obozu. Pilnowali ich dwaj strażnicy, którzy siedzieli kilka metrów od nich z napiętymi łukami, lecz nic nie mówili. Czasem jeden z nich wstawał i dorzucał dREW do niewielkiego ogniska. Niebawem ich towarzysze również zamilkli. Zmęczenie dawało się we znaki nawet tak wytrzymałym wojownikom jak oni, zawinęli się więc w koce i zasnęli, a gwiazdy coraz bardziej rozpały się na nieboskłonie. Jakiś kojot zaszczekał kilka kilometrów od obozowiska. Everard przykrył Sandovala, by go ochronić przed chłodem; w płomieniach niewielkiego ogniska widać było szron osadzony na liściach bylicy. Sam owinał się otrzymanym od Mongołów płaszczem i pomyślał, że mogli przynajmniej oddać mu fajkę.

Usłyszał kroki na twardej ziemi. Strażnicy szybko nałożyli strzały na cięciwy. Toktaj wszedł w krąg światła rzucanego przez ognisko; ubrany był w płaszcz, ale miał odkrytą głowę. Żołnierze skłonili się nisko i wycofali w mrok.

Toktaj przystanął. Everard podniósł na niego oczy, a później je opuścił. Nojon długo wpatrywał się w Sandovala. Wreszcie powiedział niemal łagodnie:

— Nie przypuszczam, by twój przyjaciel dożył do następnego zachodu słońca.

Manse mruknął coś w odpowiedzi.

— Czy masz jakieś lekarstwa, które mogłyby mu pomóc? — zapytał Mongoł. — W twoich sakwach jest trochę dziwnych rzeczy.

— Mam lekarstwo przeciwko zakażeniu i inne przeciw bólowi — odparł machinalnie Amerykanin. — Ale człowiek z pękniętą czaszką musi zostać zabrany do dobrego lekarza.

Toktaj usiadł i wyciągnął ręce w stronę ognia.

— Żałuję, że nie mamy ze sobą chirurga.

— Mógłbyś pozwolić nam odejść — powiedział Manse bez krzty nadziei. — Mój wóz, który pozostał w miejscu ostatniego obozowiska, zawiózłby go na czas tam, gdzie otrzymałby pomoc.

— Wiesz, że nie mogę tego zrobić! — parsknął śmiechem nojon. Przestał się litować nad umierającym. — Przecież to ty, Eburardzie, jesteś sprawcą tego wszystkiego.

Ponieważ była to prawda, agent Patrołu nie odpowiedział.

— Nie żywię do ciebie urazy — ciągnął Toktaj — a nawet chciałbym zostać twoim przyjacielem. Gdyby tak nie było, zatrzymałbym się na kilka dni i wycisnął z ciebie wszystko, co wiesz.

Everard wybuchnął:

— Spróbuj!

— Sądzę, że udałoby mi się to z człowiekiem, który musi zabierać ze sobą leki przeciwko bólowi — odparł Mongoł z okrutnym uśmiechem. — Ale możesz mi się przydać jako zakładnik. Poza tym cenię twoją odwagę. Powiem ci nawet, co o tym wszystkim myślę. Przypuszczam, że wcale nie pochodzisz z tego bogatego południowego kraju. Wydaje mi się, że jesteś awanturnikiem i należysz do niewielkiej grupy szamanów. Macie władzę nad królem tej krainy albo zamierzacie ją zdobyć i dlatego nie chcecie, by wtrącali się obcy. — Splunął w płomienie i dodał: — Stare opowieści mówią o takich przypadkach i zawsze jakiś bohater zwycięża w nich czarownika. Dlaczego nie ja? Everard westchnął i rzekł:

— Dowiesz się, dlaczego nie, nojonie. — Zastanowił się, czy jest szansa, by ta zapowiedź się sprawdziła.

— A czy teraz nie mógłbyś choć trochę uchylić rąbka tajemnicy? — Toktaj klepnął go po plecach. — Nie ma między nami krwi. Bądźmy przyjaciółmi.

Everard wskazał kciukiem na Sandovala.

— Och, to wielka szkoda, lecz on uparcie stawiał opór oficerowi chana chanów — powiedział nojon. — No, napijmy się, Eburardzie. Poślę człowieka po bukłak.

Samodzielny agent skrzywił się.

— Nie sądzę, że zdołasz mnie w ten sposób ułagodzić!

— Och, więc twój lud nie lubi kumysu? Przykro mi, ale nie mamy nic innego. Już dawno wypiliśmy nasze wino.

— Mógłbyś mi zwrócić moją whisky! — Everard ponownie spojrzał na Sandovala, a później zapatrzył się w mrok i poczuł, że zimno przenika go do szpiku kości.

— He?

— To napój z naszego kraju. Mieliśmy go trochę w sakwach.

— No cóż... — Toktaj zawahał się. — Dobrze, chodźmy, poszukajmy go.

Strażnicy poszli za swoim dowódcą i jego więźniem do stosu bagaży, którego pilnowali ich towarzysze broni. Jeden z wartowników zapalił pochodnię, żeby Everard mógł lepiej widzieć. Amerykanin poczuł, że sztywnieją mu mięśnie pleców, gdyż właśnie w jego plecy Mongołowie wycelowali strzały. Ciężkiy ich łuków były tak mocno napięte, że w każdej chwili mogły pęknąć. Everard przykucnął jednak i zaczął przeszukiwać sakwy, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Kiedy znalazł zapas szkockiej whisky, wrócił na swoje miejsce.

Toktaj usiadł naprzeciwko niego, po drugiej stronie ogniska.

Patrzył, jak Amerykanin nalewa sobie porcję napoju do zakrętki i wypija ją jednym haustem.

— Dziwnie pachnie — zauważył.

— Spróbuj — powiedział Manse, podając mu manierkę.

Kierował się impulsem; była to zwyczajna reakcja na osamotnienie. Toktaj nie był z gruntu zły. W każdym razie na pewno nie wedle uznawanych przez niego kryteriów moralności. Siedząc obok umierającego kolegi, można mieć ochotę wypić z samym diabłem, żeby tylko zapomnieć o rzeczywistości. Mongoł z powątpiewaniem powąchał trunek, spojrzał na Everarda, zawahał się, po czym odważnie przycisnął naczynie do ust.

— Uuuch!

Amerykanin zerwał się, żeby chwycić manierkę, zanim wyleje się z niej więcej płynu. Toktaj odkaszlnął i splunął. Jeden ze strażników nałożył strzałę na cięciwę, a drugi przyskoczył do Everarda i chwycił go za ramię, wyciągając miecz.

— To nie trucizna! — zawołał agent. — To jest tylko za mocne dla niego! Spójrzcie, wypiję jeszcze trochę!

Nojon uspokoił gestem strażników i spiorunował wzrokiem jeńca. Oczy mu łzawiły.

— Z czego to robicie? — wykrztusił. — Ze smoczej krwi?

— Z jęczmienia — odparł krótko Manse. Nie miał ochoty wyjaśniać procesu destylacji. Nalał sobie jeszcze jedną porcję: — Idź i napij się swego kobyłego mleka.

Toktaj mlasnął.

— To rozgrzewa, prawda? Jak pieprz. — Wyciągnął brudną rękę. — Daj mi jeszcze trochę.

Everard siedział nieruchomo przez kilka sekund.

— No więc? — warknął nojon.

Agent pokręcił głową i rzekł:

— Powiedziałem ci, że to za mocne dla Mongołów.

— Co takiego?! Ty wymoczkwaty turecki synu...

— Sam tego chciałeś. Ostrzegam cię życzliwie i biorę twoich ludzi na świadków, że jutro będziesz bardzo chory.

Toktaj łyknął porządnie, beknął i oddał manierkę.

— Bzdura! Po prostu za pierwszym razem nie byłem na to przygotowany. Pij.

Everard pił powoli. Nojon zaczął się niecierpliwić.

— Pospiesz się! Nie, daj mi drugą manierkę.

— Dobrze, ty tu wydajesz rozkazy. Uprzedzam cię lojalnie: nie próbuj dotrzymywać mi kroku. To ci się nie uda.

— Co chcesz przez to powiedzieć?! Podczas jednej pijatyki w Karakorum pokonałem dwudziestu kompanów, którzy upili się do nieprzytomności. I nie byli to żadni zbabiali Chińczycy, lecz sami Mongołowie. — Toktaj dolał sobie dobre pół decylitra alkoholu.

Manse sączył whisky. Czuł tylko palenie w gardle, gdyż był zbyt spięty, by poddać się działaniu trunku. Nagle dostrzegł wyjście z tej na pozór beznadziejnej sytuacji.

— Noc jest diabelnie zimna — powiedział, podając manierkę najbliższemu strażnikowi. — Wypijcie trochę, chłopcy, na rozgrzewkę.

Toktaj podniósł głowę i powiódł dookoła ogłupiałym wzrokiem. — To dobry trunek — zaprotestował. — Za dobry dla... — Pomyślał i nie dokończył zdania. Chociaż w imperium mongolskim okrucieństwo było na porządku dziennym, to jednak oficerowie dzielili się wszystkim z najniższymi stopniem żołnierzami.

Wojownik spojrzał z wyrzutem na swojego zwierzchnika, złapał manierkę i ją przechylił.

— Uważaj, pij powoli — ostrzegł go Amerykanin. — Uderza do głowy.

— Nic mi nie uderza do głowy. — Nojon nalał sobie jeszcze jedną porcję trunku. — Jestem trzeźwy jak bonza*. — Pomachał palcem. — Oto co znaczy być Mongołem. Jestem za twardy, żeby się upić.

— Przechwalasz się czy skarżysz? — zapytał Manse. Pierwszy wojownik cmoknął, przyjął czujną postawę i podał naczynie swemu koledze. Toktaj ponownie podniósł do ust drugą manierkę.

— Aaach! — Wytrzeszczył oczy. — To było wspaniałe, ale teraz lepiej chodźmy spać. — Zwrócił się do żołnierzy: — Oddajcie mu jego trunek.

Everard poczuł ucisk w gardle, lecz zdołał się złośliwie uśmiechnąć.

— Tak, dziękuję, przyda mi się jeszcze trochę — powiedział. — Cieszy mnie, że zdajesz sobie sprawę, iż więcej nie zniesiesz.

— Co masz na myśli?! — Toktaj spiorunował go wzrokiem. — Mongoł nigdy nie ma dosyć. — Pociągnął jeszcze jeden łyk. Pierwszy strażnik wziął drugą manierkę i łyknął z niej pospiesznie.

Samodzielny agent wstrzymał oddech. Jego plan miał szanse powodzenia.

Toktaj był przyzwyczajony do pijatyk. Zarówno on sam, jak i jego ludzie mogli pić bez obawy kumys, wino, miód pitny, kwas czyli cienkie piwo zwane błędnie winem ryżowym — każdy trunek znany w tej epoce. Kiedy mieli dosyć, przerywali picie, życzyli sobie nawzajem dobrej nocy i nie chwiejąc się szli spać. Sęk w tym, że w wyniku fermentacji nie można uzyskać napoju o zawartości alkoholu większej niż 24% ze względu na zanieczyszczenia. Dlatego większość trunków wytwarzanych w trzynastym wieku nie zawierała nawet 5% alkoholu i w dodatku były one dość gęste.

Zupełnie inaczej ma się rzecz ze szkocką whisky. Każdy, kto spróbuje ją pić jak piwo lub wino, znajdzie się w tarapatkach. Rozsądek wyparuje zeń w oka mgnieniu, a on sam szybko straci przytomność.

Manse wyciągnął rękę, by odebrać naczynie jednemu ze strażników.

— Daj mi to — powiedział. — Inaczej sam wszystko wypijesz!

Wojownik roześmiał się szyderczo i pociągnął spory łyk, po czym podał manierkę koledze. Everard wstał i niezdarnie próbował ją odebrać. Któryś z żołnierzy odepchnął go, wymierzając mu cios w żołądek. Więzień upadł na plecy, a Mongołowie wybuchnęli śmiechem, podtrzymując się nawzajem. Tak dobry żart trzeba było opić.

Tylko Manse zauważył, że Toktaj osunął się na ziemię. Nojon, który siedział dotąd po turecku, przewrócił się na bok. Ognisko dawało dostatecznie dużo światła, żeby Everard mógł zobaczyć głupawy uśmiech na jego twarzy. Samodzielny agent przykucnął, czekając w napięciu na dalszy rozwój wypadków.

Po kilku minutach przyszła kolej na jednego ze strażników. Żołnierz zachwiał się, ukłęknął, podparł się rękami i zwymiotował kolację. Drugi odwrócił się, mrugając w oszołomieniu oczami i niezdarnie szukając miecza.

— O co eh... odzi? — wybełkotał. — Coś ty zro... bił? Tru... cizna?

Everard wstał.

Przeskoczył przez ognisko i rzucił się na Toktaja, zanim zauważył to drugi żołnierz. Mongoł, krzycząc i potykając się, postąpił kilka kroków do przodu. Manse znalazł miecz nojona, wyciągnął go z pochwy i odskoczył. Pijany wojownik uniósł miecz. Everard nie chciał zabijać człowieka, który był prawie bezbronny. Podszedł więc do niego, uderzeniem miecza odsunął jego brzeszczot i uderzył go pięścią. Mongoł osunął się na kolana, zwymiotował i zasnął pijany jak bela.

Samodzielny agent rzucił się do ucieczki.

* Bonza — buddyjski duchowny w Chinach i Japonii.

Żołnierze biegali w ciemnościach nawołując się. Manse usłyszał tętent kopyt; nadjeżdżał jeden z wartowników, by sprawdzić, co się dzieje. Ktoś wyjął głównię z dogasającego ogniska i zaczął nią wymachiwać, aż zapłonęła jaśniej. Everard padł plackiem na ziemię.

Minął go jakiś wojownik biegnący na oślep przez zarośla. Usłyszał za sobą głośny wrzask i stek przekleństw, co świadczyło o tym, że ktoś znalazł pijanego nojona.

Manse ponownie się podniósł i zaczął biec.

Mongołowie jak zwykle spętali konie i zostawili je pod strażą. Wyglądały jak wielka czarna plama na tle szarobiałej równiny rozciągającej się pod rozgwieżdżonym niebem. Everard zobaczył, że jeden z wartowników ruszył galopem w jego stronę — Dał się słyszeć szczekliwy głos:

— Co się dzieje?

— Atak na obóz! — wrzasnął jak mógł najgłośniejsz Everard.

Starał się tylko zyskać na czasie w obawie, że wojownik go rozpozna i przeszyje strzałą. Przykucnął. W oczach żołnierzy był skuloną, owiniętą płaszczem postacią. Mongoł zatrzymał konia, podnosząc obłok kurzu. Samodzielny agent skoczył do przodu.

Chwycił konia za wodze, zanim został rozpoznany. Wartownik wrzasnął, wyciągnął miecz i z całej siły nim uderzył. Everard znajdował się jednak po jego lewej stronie. Bez trudu odparował niezręczny cios i poczuł, jak ostrze jego miecza zagłębia się w ciele. Przerażony koń stanął dęba. Jeździec spadł z siodła, poturlał się po ziemi i poderwał z rykiem. Manse już włożył stopę w szerokie strzemię. Żołnierz, kulejąc, zrobił krok w jego stronę; w mroku krew płynąca z rany na nodze wydawała się czarna. Everard wsiadł na konia i uderzył go płazem miecza po zadzie.

Skierował się ku końskiemu stadu. Nadjechał inny wartownik, żeby zagrozić mu drogę. Amerykanin pochylił się nisko w siodle. Nad jego głową świsnęła strzała. Ukradziony kucyk pochylił łeb i zgiął przednie nogi, by pozbyć się brzemienia, do którego nie był przyzwyczajony. Everard potrzebował minuty, by odzyskać nad nim kontrolę. W tym czasie łucznik mógłby go bez trudu pojmać, gdyby podszedł i ściągnął go z konia. Mongoł jednak z przyzwyczajenia minął go galopem i wypuścił następną strzałę. Chybił w ciemności. Zanim zdołał zawrócić, Manse przepadł w nocnym mroku.

Agent rozwinął lasso przytroczone do siodła i wjechał między płochliwe koniki. Schwycił najbliższego wierzchowca, który na szczęście poddał się bez oporu. Później Everard nachylił się, przeciął mieczem końskie pęta i odjechał, prowadząc luzaka. Wynurzył się po drugiej stronie stada i skierował na północ.

„Będą mnie ścigać długo i zawzięcie — pomyślał. — Koniecznie muszę zatrzeć ślady, gdyż inaczej znów mnie złapią. Jeśli dobrze pamiętam mapę tych okolic, to pola lawy znajdują się na północnym wschodzie.”

Obejrzał się za siebie. Nikt go jeszcze nie ścigał. Będą potrzebowali trochę czasu, żeby się pozbierać. A jednak...

Za jego plecami zajaśniały cienkie błyskawice. Rozległ się grzmot. Samodzielnego agenta przeszył dreszcz, którego nie wywołał nocny chłód. Ściągnął wodze. Już nie musiał się spieszyć. To na pewno Manse Everard...

...który wrócił do chronocykla, pojechał nim na południe i cofnął się w czasie do tej właśnie chwili.

„Upiekło mi się” — pomyślał Manse. Przepisy Patrolu Czasu zabraniały uciekania się do takich wybiegów. Było to bardzo niebezpieczne, gdyż groziło zamknięciem pętli kauzalnej albo pomieszaniem przeszłości i przyszłości.

„Ale tym razem nikt nie weźmie mi tego za złe. Nie spotka mnie nawet reprimenda, ponieważ zrobiłem to, by ocalić Jacka Sandovala, a nie siebie. Ja już się uwolniłem. Mógłbym zgubić Mongołów w górach, które znam, w przeciwieństwie do nich. Skok w czasie miał na celu

wyłącznie uratowanie mojego przyjaciela. A poza tym (dodał w przypiływie goryczy) czymże była nasza misja, jeśli nie interwencją przyszłości pragnącej zbudować swoją przeszłość? Bez naszego przeciwdziałania Mongołowie mogliby podbić Amerykę, a wtedy nikt z nas by nie istniał”.

Ogromny czarny nieboskłon rzadko kiedy bywał równie rozgwieżdżony. Wielka Niedźwiedzica świeciła nad oszronioną ziemią; głęboką ciszę mącił tylko tętent końskich kopyt Everard nigdy nie czuł się taki samotny.

— Co ja robię w tak zamierzchłej przeszłości? — zapytał siebie na głos.

Odpowiedział sobie w myśli, a później z lżejszym sercem poddał się rytmowi kroków konia i mknął przez noc, nie licząc kilometrów. Chciał z tym skończyć, ale czekające go zadanie okazało się nie tak trudne, jak się obawiał.

Toktaj i Li Tai-Tsung nigdy nie wrócili do Kathaju. Nie zginęli na morzu, gdyż pewien czarownik zstąpił z nieba i miotając pioruny, zabił ich konie, a także roztrzaskał i spalił ich statki zakotwiczone u ujścia rzeki. Żaden chiński żeglarz nie zdecyduje się wypłynąć na te niebezpieczne wody w niezgrabnych, mało zwrotnych łodziach, które dałoby się tutaj zbudować; żaden Mongoł nie uwierzy, by dało się dotrzeć do ojczyzny pieszo. Ekspedycja pozostanie na odkrytym przez nią kontynencie, Mongołowie ożenią się z Indiankami i spędzą resztę życia wśród Indian. Chinookowie, Tlintigowie i Nutkowie — plemiona z północno-zachodnich wybrzeży Ameryki z ich wielkimi, mogącymi pływać po morzu łodziami, z namiotami, wyrobami z miedzi, futrami i tkaninami... No cóż, mongolski nojon, a nawet konfucjański uczonec mogli spędzić resztę życia mniej szczęśliwie i pożytecznie, aniżeli dając początek nowej rasie.

Everard przyznał sobie rację. Tyle o tamtej sprawie. Znacznie trudniej niż powściągnąć krwiożercze ambicje Toktaja przyszło mu pogodzić się z prawdą o Patrolu Czasu, który zastępował mu naród, rodzinę i stanowił rację jego istnienia. Dalecy danelliańscy nadludzie wcale nie byli jakimiś szczególnymi idealistami. Nie chronili bezinteresownie kierowanej być może przez boską rękę historii, która do nich prowadziła. Interweniowali to tu, to tam, żeby stworzyć swoją przeszłość... Nie pytaj, czy kiedykolwiek istniał „pierwotny” plan stworzenia. Nie pozwalaj swojemu umysłowi na intelektualne igraszki. Spójrz na pełną kolein drogę, którą ludzkość musiała przebyć, i powiedz sobie, że w pewnych miejscach droga ta mogła być lepsza, lecz w innych znacznie gorsza.

— Możliwe, że w tej grze gra się podrabianymi kośćmi — rzekł Everard — ale nie ma innej.

Masny głos wydał mu się tak donośny i nie na miejscu w tej ogromnej, pokrytej szronem krainie, że nic więcej nie powiedział. Ponaglił konia cmoknięciem i pojechał trochę szybciej na północ.

INNY ŚWIAT

1

W Europie sprzed dwudziestu tysięcy lat można doskonale polować, a warunki do uprawiania sportów zimowych są tam lepsze niż w jakiegokolwiek innej epoce. Dlatego właśnie Patrol Czasu, zawsze dbający o swój wysoko kwalifikowany personel, utrzymuje dom wypoczynkowy w plejstocenijskich Pirenejach.

Manse Everard stał na oszklonej werandzie i spoglądał na północne stoki gór, gdzie zaczynały się lasy, bagna i tundra. Miał na sobie luźne zielone spodnie i tunikę z popularnego w XXIII wieku insulsyntu oraz buty wykonane ręcznie przez dziewiętnastowiecznego Francuza z Kanady; palił starą, niewiadomego pochodzenia fajkę z różanego drewna. Dręczył go niejasny niepokój, więc nie zwracał uwagi na hałasy dobiegające z wnętrza domu, gdzie pół tuzina innych agentów piło, rozmawiało i grało na fortepianie.

Kromanioński przewodnik przemierzył zaśnieżony dziedziniec; był to dryblas z pomalowaną twarzą, ubrany jak Eskimos (dlaczego autorzy powieści historycznych zawsze uważali swoich dalekich przodków za osobników niezbyt inteligentnych i nie sądzili, by w epoce lodowcowej wymyślili kaftany, spodnie i buty dla ochrony przed zimnem?). Za pasem nosił nóż, który stanowił zapłatę za jego usługi. W tak odległej przeszłości Patrol miał wolną rękę, gdyż nie trzeba było obawiać się zmian w historii: metal szybko zardzewieje, a po kilku wiekach tubylcy zapomną o pobycie obcych. Najgorsze było to, że agentki z libertyjskich epok zawsze miały romanse z miejscowymi myśliwymi.

Piet van Sarawak (holendersko-indonezyjski Wfenusjanin z początku XXIV wieku), smukły, ciemnoskóry młody mężczyzna o sympatycznej twarzy, na tyle przebiegły, że z powodzeniem konkurował z kromaniońskimi przewodnikami, podszedł do Everarda. Stali tak chwilę milcząc. Piet również był samodzielnym agentem, gotowym działać w każdym środowisku i już kiedyś współpracował z Amerykaninem.

Odezwał się pierwszy w języku temporalnym:

— Słyszałem, że zauważono kilka mamutów w pobliżu Tuluzy. (Miasto to miało powstać po wielu tysiącleciach, ale przyzwyczajenie jest przecież drugą naturą człowieka).

— Jednego już ustrzeliłem — odparł ze zniecierpliwieniem Everard. — Jeździłem też na nartach, uprawiałem wspinaczkę i przyglądałem się tubylczym tańcom.

Van Sarawak skinął głową i zapalił papierosa. Jego policzki zapadły się, gdy zaciągnął się dymem.

— Tak, to przyjemna przerwa w pracy — zgodził się ze swoim rozmówcą — lecz po pewnym czasie życie na świeżym powietrzu traci swój urok.

Pozostały im jeszcze dwa tygodnie urlopu. Teoretycznie każdy agent Patrolu mógł sobie zapewnić nieskończenie długie wakacje, ponieważ potrafił wrócić do chwili wyjazdu na urlop, ale w praktyce musiał poświęcić na pracę pewną część życia. (Nigdy nie mówiono pracownikom, kiedy umrą, a ci mieli dość rozsądku, żeby o to nie pytać. Zresztą i tak nie uzyskaliby absolutnie pewnej informacji z powodu zmienności czasu. Jedną z korzyści płynących z pracy w Patrolu była danelliańska kuracja odmładzająca).

— Chciałbym zobaczyć kolorowe światła, posłuchać muzyki — podjął van Sarawak — i spotkać się z dziewczętami, które nigdy nie słyszały o podróżach w czasie...

— Czemu nie? — odparł Everard.

— Rzym w czasach Augusta? — zapytał żywo drugi agent — Nigdy tam nie byłem. Mógłbym nauczyć się języka i poznać obyczaje pod hipnoedukatorem.

Manse pokręcił głową i rzekł:

— To przereklamowane. Chyba że chcesz się udać w bardzo odległą przyszłość. Największa dekadencja panuje jednak w moim środowisku w Nowym Jorku. Można się w niej pławić... pod warunkiem, że zna się właściwe numery telefonów, a ja je znam.

Van Sarawak wybuchnął śmiechem.

— Ja również znam kilka miejsc w moim sektorze — odparł — ale ogólnie rzecz biorąc, społeczność pionierów nie potrzebuje wyrafinowanych rozrywek. Dobrze, jedźmy do Nowego Jorku w... kiedy?

— W roku 1960. Byłem tam po raz ostatni w moim publicznym wcieleniu, zanim tutaj przybyłem.

Uśmiechnęli się do siebie i poszli się spakować. Na szczęście Everard zabrał ze sobą kilka ubrań z połowy dwudziestego wieku, które mogły pasować na przyjaciela.

Wrzucając ubrania i brzytwę do małej walizki, Amerykanin zastanowił się, czy będzie umiał dostosować się do Wenusjanina. Nigdy nie żył na szerokiej stopie i nie potrafił zdobyć się na fanfaronadę. Dobra książka, spotkanie z kolegami, skrzynka piwa — takie mniej więcej były granice jego możliwości. Ale nawet najtrzeźwiejszy na świecie człowiek musi od czasu do czasu się upić.

Zwłaszcza jeśli jest samodzielnym agentem Patrołu Czasu, jeśli jego praca w Engineennng Studies Co. jest tylko fikcją maskującą jego wędrówki i zmagania na przestrzeni całej historii ludzkości, jeśli widział, jak tę historię pisano na nowo i że wcale nie robił tego Bóg — co Manse mógłby łatwiej znieść — tylko śmiertelni i omylni ludzie, gdyż nawet Danellianie nie byli tak potężni jak Stwórca. Everarda nieustannie prześladował lęk przed większą zmianą w historii, zmianą tak poważną, że nigdy nie zaistniałby ani on sam, ani jego świat... Zmęczona, pospolita twarz Manse'a wykrzywiła się w grymasie. Rozczesał palcami sztywne kasztanowate włosy, jak gdyby chciał się uspokoić. Rozmyślania na nic się nie zdadzą. Mowa i logika stają się bezsilne w obliczu paradoksu. W takich chwilach lepiej odprężyć się i odegnąć złe myśli.

Podniósł walizkę i podszedł do Pieta van Sarawaka.

Ich mały antygravitacyjny chronocykl czekał na pochylni w garażu. Patrząc na niego, trudno było uwierzyć, że wystarczy odpowiednio ustawić regulatory, by znaleźć się w dowolnym miejscu na Ziemi i w dowolnej epoce. Samolot jest jednak równie wspaniały, podobnie jak statek czy ogień.

„Aupres de ma blonde,
Qu'il fait bon, fait bon,
Aupres de ma blonde,
Qu'il fait bon dormir”.

Van Sarawak śpiewał głośno, a jego oddech zamieniał się w mroźnym powietrzu w parę. Wskoczył na tylne siodełko pojazdu. Nauczył się tej piosenki, towarzysząc armii Ludwika XIV. Everard powiedział ze śmiechem:

— W drogę, chłopcze!

— Och tak, szybko, zaraz — zaśpiewał młodszy mężczyzna. — To jest piękne kontinuum, wesoły i wspaniały kosmos. Ruszajmy!

Manse wcale nie był tego taki pewny; widział wystarczająco dużo ludzkich nieszczęść we wszystkich epokach. Po pewnym czasie twardnieje ci serce, ale nadal czujesz ból, kiedy wieśniak

patrzy na ciebie oczami zbitego psa, gdy krzyczy z bólu przebity włócznią żołnierz albo gdy miasto znika w radioaktywnych płomieniach. Rozumiał fanatyków, którzy próbowali zmienić bieg historii. Tylko że ich działania miały nikłe szanse zmiany czegokolwiek na lepsze.

Ustawił chronoregulatory, tak by znaleźć się w magazynie Engineering Studies Co. To było dobre miejsce na przyjazd z innej epoki. Później pojedą do jego mieszkania i zabawa zacznie się na dobre.

— Mam nadzieję, że pożegnałeś się ze wszystkimi tutejszymi przyjaciółczkami — powiedział Amerykanin.

— Och, zapewniam cię, że najwytworniej w świecie. Pospiesz się. Jesteś powolny jak melasa na powierzchni Plutona. Pamiętaj: ten pojazd nie jest napędzany wioślami.

Everard wzruszył ramionami i nacisnął główny guzik.

Garaż zniknął.

Nie znaleźli się jednak w magazynie.

2

Przez chwilę siedzieli osłupiali. Widzieli tylko fragmenty otoczenia. Zmaterializowali się jakieś dziesięć centymetrów nad ziemią — chronocykl został tak skonstruowany, by nie mógł materializować się w ciałach stałych — a ponieważ tego się nie spodziewali, uderzyli o bruk tak mocno, że zadzwoniły im zęby. Znajdowali się na czymś, co przypominało skwer. Niedaleko tryskała fontanna; jej kamienne ocembrowanie pokrywały rzeźbione pędy winorośli. Od placu rozchodziły się ulice poprowadzone między liczącymi od sześciu do dziesięciu pięter budowlami z cegiel bądź betonu, dziwacznie pomalowanymi i ozdobionymi. Były tam też samochody nieznannej marki, ogromne i niezgrabne, oraz mnóstwo ludzi.

— Cholera jasna! — zaklął Everard i spojrzął na wskaźniki: wedle nich chronocykl wylądował na dolnym Manhattanie 23 października 1960 roku o godzinie 11.30 zgodnie z koordynatami magazynu firmy. Ale silny wiatr ciskał mu w twarz kurzem i sadzą, przynosząc także zapach dymu i...

Van Sarawak wyjął paralizator. Tłum cofnął się w nieładzie, krzycząc w niezrozumiałym żargonie. Byli tam ludzie różnych ras: wysocy okrągłogłowi blondyni, z których wielu miało rudawe włosy, Indianie i Metysi. Mężczyźni mieli na sobie luźne kolorowe bluzy, kilty, czyli krótkie spódniczki w szkocką kratę, oraz sięgające do kolan pończochy. Nosili włosy do ramion i długie wąsy. Kobiety ubrane były w spódnice do kostek i ukrywały kędziory pod kapturami obszernych opończy. Ludzie ci najwyraźniej lubili biżuterię — nosili masywne bransolety i naszyjniki.

— Co się stało? — szepnął Wenusjanin. — Gdzie jesteśmy?

Everard siedział nieruchomo. Jego umysł pracował gorączkowo. Przypominał sobie wszystkie epoki, które odwiedził, i książki, które przeczytał. Cywilizacja przemysłowa... samochody wyglądały na napędzane parą (ale czemu miały ostre dzioby i galeony?) — spalały węgiel... Czyżby była to era odbudowy po wojnie atomowej? Nie, wtedy nie noszono kiltów i nie mówiono po angielsku...

To się nie zgadzało. Nigdy nie zarejestrowano takiego środowiska.

— Wiejmy stąd! — syknął Manse.

Trzymał już ręce na desce rozdzielczej, gdy rzucił się na niego wysoki mężczyzna. Upadli na bruk. Van Sarawak wystrzelił i wysłał do krainy snów kolejnego napastnika, a później ktoś chwycił go od tyłu. Tłum rzucił się na nich i powstało zamieszanie.

Everard dostrzegł kątem oka mężczyzn w miedzianych hełmach i zbrojach, którzy uderzeniami pałek torowali sobie drogę przez rozwrzeszczaną ciżbę. Ktoś go wyciągnął półprzytomnego i podtrzymał, kiedy ktoś inny zatrząskiwał kajdanki na jego przegubach. Następnie obu agentów zrewidowano i zaprowadzono do wielkiego samochodu. Policyjne budy są takie same we wszystkich epokach.

Manse odzyskał przytomność dopiero wtedy, gdy znaleźli się w wilgotnej zimnej celi z drzwiami z żelaznych sztab.

* * *

— Cholera jasna!

Wenusjanin osunął się na drewnianą pryczę i złapał się za głowę.

Everard stanął przy drzwiach, wyglądając przez kraty. Widział tylko część wysokiego korytarza o ścianach z betonu i znajdującą się naprzeciwko celę. Przez kraty przeciwnych drzwi widać było mapę Irlandii, której obecność tam była dla Everarda zupełnie niepojęta.

— Co się stało? — zapytał van Sarawak, drżąc na całym ciele.

— Nie wiem — odrzekł powoli Manse. — Po prostu nie wiem.

Tamta maszyna miała być nieomylna, ale może jesteśmy większymi durniami niż dopuszcza norma.

— Takie miejsce nie istnieje — powiedział z rozpaczą Wenusjanin. — Czy to sen? — Uszczypnął się i zdołał uśmiechnąć się blado. Miał rozciętą, puchnącą szybko wargę i podbite oko. — Logicznie rzecz biorąc, przyjacielu, uszczypnięcie nie jest żadnym sprawdzianem rzeczywistości, ale w jakiś sposób dodaje otuchy.

— Wolałbym, żeby było inaczej! — odparł Everard.

Chwycił kraty tak mocno, że aż zadrgały. — A może zepsuły się regulatory? Czy kiedykolwiek istniało na Ziemi miasto — bo jestem pewny przynajmniej tego, że to Ziemia — jakieś mało znane miasto, które było podobne do tego?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

Amerikanin odwołał się do zdrowego rozsądku i wszechstronnego wykształcenia, które zapewnił mu Patrol. Zaczął odtwarzać w pamięci całą historię ludzkości, łącznie z epokami, których nigdy nie widział.

— Nie — oświadczył w końcu. — Noszący kilty okrągłogłowi biali przemieszani z Indianami, używający samochodów parowych — czegoś takiego nigdy nie było.

— Koordynator Stantel V — podpowiedział słabym głosem van Sarawak. — Trzydziesty ósmy wiek. Wielki Eksperyment — kolonie odtwarzające społeczeństwa minionych stuleci...

— Ale żadne z nich nie przypominało tego — uciał Manse. Domyślał się prawdy i chętnie zaprzedałby duszę, żeby było inaczej, niż podejrzewał. Całą siłą woli powstrzymywał się, by nie zacząć wyć i walić głową w ściany celi.

— Przekonamy się — powiedział matowym głosem.

Jakiś policjant (Everard sądził, że znajdują się w rękach stróżów prawa) przyniósł im posiłek i próbował się z nimi porozumieć. Van Sarawak powiedział, że ten język przypomina dialekty celtyckie, ale zrozumiał tylko kilka słów. Posiłek nie był zły.

Wieczorem zaprowadzono ich do łazienki, gdzie mogli się umyć pod strażą. Manse przyjrzał się uzbrojeniu policjantów: mieli ośmiostrzałowe rewolwery i strzelby z długimi lufami. Łazienka

była oświetlona lampami gazowymi, na których powtarzał się motyw wijących się pędów winorośli i węży. Na podstawie obserwacji instalacji sanitarnych i broni można było wysnuć wniosek, że miejscowa technika osiągnęła poziom odpowiadający temu z pierwszej połowy XIX wieku.

W drodze powrotnej zauważyli na ścianach kilka wywieszek. Pismo wyglądało na semickie, ale chociaż van Sarawak znał trochę hebrajski dzięki kontaktom z izraelskimi koloniami na Wenus, nie zdołał jednak zrozumieć, co na nich napisano.

Kiedy ponownie zamknięto ich w celi, zobaczyli przez kraty innych więźniów prowadzonych do łazienki; był to zaskakująco wesoły tłumek włóczęgów, chuliganów i pijaków.

— Można powiedzieć, że obchodzą się z nami w rękawiczkach — zauważył Wenusjanin.

— Nic dziwnego — odparł Everard. — Co byś zrobił z zupełnie obcymi ludźmi, którzy pojawili się znikąd i użyli nieznannej broni?

Van Sarawak zwrócił ku niemu zaszepioną twarz.

— Czy myślisz o tym samym co ja? — zapytał.

— Prawdopodobnie.

Wenusjanin skrzywił usta, a w jego głosie zabrzmiał ton przerażenia.

— Inna linia czasu. Komuś udało się zmienić historię. Amerykanin skinął głową.

Spędzili złą noc. Sen na pewno dobrze by im zrobił, ale inni więźniowie za bardzo hałasowali. Widocznie nie przestrzegano tutaj zbyt dyscypliny. Na dodatek były tu pluskwy.

Po śniadaniu, które zjedli w wesołym nastroju, pozwolono Everardowi i van Sarawakowi ponownie się umyć i ogolić maszynkami do golenia podobnymi do tych, których używali „u siebie”. Później dziesięciu policjantów zaprowadziło ich do jakiegoś gabinetu, gdzie stróże prawa zajęli miejsca pod ścianami.

Agenci Patrolu usiedli przy stole i czekali. Umeblowanie pomieszczenia było niepokojąco znajome i zarazem obce, jak wszystko w tym świecie. Upłynęło trochę czasu, zanim pojawiły się ważne osobistości. Było ich dwóch: siwowłosa mężczyzna o rumianej twarzy — przypuszczalnie szef policji — w pancerzu i zielonej bluzie oraz chudy metys o surowym obliczu, siwych włosach i czarnych wąsach ubrany w niebieską tunikę i берет. Na lewej piersi miał dystynkcje: połączoną głowę byka. Może miałby w sobie coś z dostojnością drapieżnego ptaka, gdyby nie wystające spod kraciastej spódniczki chude i owłosione nogi. Za nim weszli dwaj młodszy, uzbrojeni i umundurowani mężczyźni, którzy stanęli za jego krzesłem, kiedy usiadł.

Everard lekko się pochylił i szepnął:

— Założę się, że to dowódca wojskowi. Zdaje się, że ich zainteresowaliśmy.

Van Sarawak skinął głową. Wyglądał na nieszczęśliwego.

Szef policji chrząknął z ważną miną i powiedział kilka słów do... generała? Ten ostatni odparł coś ze zniecierpliwieniem i zwrócił się do więźniów. Wymawiał słowa szczeqliwie, choć bardzo wyraźnie, tak że Manse wychwytywał głoski, lecz nie miał pewności, czy robi to poprawnie.

Musieli się z nimi jakoś porozumieć. Everard pokazał na siebie i rzekł:

— Manse Everard. — Van Sarawak poszedł za jego przykładem i również się przedstawił.

Generał drgnął i przez chwilę naradzał się z szefem policji. Później odwrócił się i warknął:

— Yrn Cimperland?

— Gothland? Svea? Niaroin Teutonach?

— Te nazwy, jeśli to są nazwy, brzmią trochę z germańska, nieprawdaz? — mruknął Wenusjanin.

— Nasze nazwiska również — odparł Manse pełnym napięcia głosem. — Może uważają nas za Germanów? — Zwrócił się do generała: — Sprechen Sie Deutsch? — Nie otrzymał odpowiedzi.

— Talerni svensk? Nederlands? Dansk tunga? Parlez-vous francais? A niech to szlag. Habla usted espanol?

Szef policji znów chrząknął i wskazał na siebie, mówiąc:

— Cadwallader Mac Barca.

Generał nazywał się. Cynyth ap Ceorn. Tak przynajmniej zrozumiał Everard.

— To celtycki, tak jak przypuszczałeś — powiedział. Był spocony pod pachami. — Ale żeby się upewnić... — Z pytającą miną wskazał na kilku innych mężczyzn i usłyszał takie imiona i nazwiska jak: Hamilcar ap Angus, Asshur yr Cathlan i Finn O'Carthia. — Nie... tutaj jest też wyraźny element semicki. To pasuje do ich alfabetu.

Van Sarawak oblizwał wyschnięte wargi.

— Spróbuj języków klasycznych — ponaglił Everarda chrapliwym głosem. — Może dowiemy się, kiedy ta historia oszalała.

— Loquerisne latine? — Brak odpowiedzi. — Helleni dzeis? Generał ap Ceorn drgnął, sapnął i zmrużył oczy.

— Hellenach? Yrb Parthia? — szczeknął. Everard pokręcił przecząco głową.

— W każdym razie wie o istnieniu greki — powiedział powoli. Na próbę wypowiedział jeszcze kilka słów, lecz nikt z obecnych nie znał tego języka.

Ap Ceorn warknął coś do jednego ze swoich podwładnych, który uklonił się i wyszedł. Zapadło długie milczenie.

Manse zauważył, że przestał się lękać. Tak, znalazł się w trudnej sytuacji i może nie pożyje długo, ale wszystko, co mu się przytrafiło, było niczym w porównaniu z losem, jaki spotkał cały jego świat.

Boże Wszechmogący! Cały świat!

Nie mógł tego zrozumieć. W jego pamięci ożyły widoki wielkich równin, wysokich gór i dumnych miast kraju, który tak dobrze znał. Widział swojego ojca i wspominał czasy dzieciństwa, kiedy ojciec, śmiejąc się, unosił go ku niebu. Widział także matkę... życie tych dwojga było przyjemne i szczęśliwe.

Przypomniał sobie dziewczynę, którą kochał na uniwersytecie, najśliczniejszą kobietę, z jaką mężczyzna miał kiedykolwiek zaszczyt spacerować w deszczowy dzień. Przypomniał też sobie Bernie'ego Aaronsona i długie noce spędzone na picciu piwa, paleniu papierosów i rozmowach, Phila Brackneya, który we Francji wyciągnął go z błota pod ogniem karabinów maszynowych, Charlie'ego i Mary Whitcombów, i herbatę przy kominku w wiktoriańskiej Anglii, Keitha i Cynthię Denisonów w ich podniebnym nowojorskim gniazdku pokrytym stalą chromową, Jacka Sandovala wśród brązowych skał Arizony, psa, którego kiedyś miał, surowe pieśni Dantego i pioruny Szekspira, wspaniałości York Minsteru i Golden Gate Bridge... Boże, całe ludzkie życie, życie nie wiadomo ilu miliardów istot ludzkich, pracujących, cierpiących, śmiejących się i rozpadających w proch, by ich synowie mogli żyć... Tego nigdy nie było!

Potrząsnął głową, otępiały z rozpacz, i siedział, nadal nic nie rozumiejąc.

Żołnierz wrócił z mapą, którą rozłożył na stole. Ap Ceorn niecierpliwym gestem poprosił więźniów o podejście i Everard oraz van Sarawak pochylili się nad mapą.

Tak... to była Ziemia w odwzorowaniu Merkatora, chociaż mapę wykonano dość prymitywnie. Kontynenty i wyspy wyglądały tak samo, ale zupełnie inaczej rzecz się miała z narodami!

— Czy możesz odczytać te nazwy, Piet?

— Mogę spróbować, korzystając z alfabetu hebrajskiego — odparł Wenusjanin. Zaczął czytać słowa. Ap Ceorn chrząknął i zaczął go poprawiać.

Ameryka Północna mniej więcej do granic Kolumbii nazywała się Ynys Yr Afallon. Był to najwyraźniej jeden kraj podzielony na stany. Ameryka Południowa składała się z jednego

wielkiego państwa Huy Braseal i kilku mniejszych o indiańskich nazwach. Australazja, Indonezja, Borneo, Birma, wschodnie Indie i spora część Pacyfiku należały do Hinduraju. Afganistan i reszta Półwyspu In: dyjskiego tworzyły Pundżab. Państwo Han obejmowało Chiny” Koreę, Japonię i wschodnią Syberię. Do Littomu należała reszta Rosji i duża część Europy. Wyspy Brytyjskie nazywały się Brittys, Francja i kraje Beneluksu — Gallis, a Półwysep Iberyjski — Celtan. W Europie Środkowej i na Bałkanach skupiło się wiele małych narodów, a nazwy wielu z nich wyglądały na huńskie. Szwajcaria i Austria tworzyły Helweti, Włochy — Cimperland, a Półwysep Skandynawski podzielony był w środku na dwie części: Sweę na północy i Gothland na południu. Północna Afryka wyglądała na konfederację państw o nazwie Carthagalann, rozpościerającą się od Senegalu po Suez i dochodzącą prawie do równika. Południowa część tego kontynentu była rozparcelowana na mniejsze państewka, z których większość nosiła czysto afrykańskie nazwy. Na Bliskim Wschodzie znajdowały się Partia i Arabia.

Van Sarawak podniósł wzrok. Łzy napłynęły mu do oczu.

Ap Ceorn szcześliwie o coś zapytał i pokiwał palcem. Chciał wiedzieć, skąd pochodzą.

Everard wzruszył ramionami i wskazał na niebo. Nie mogli wyjawić prawdy, postanowili więc podawać się za przybyszy z innej planety, ponieważ w tym świecie najprawdopodobniej nie znano lotów kosmicznych.

Ap Ceorn zwrócił się do szefa policji, który skinął głową i coś odpowiedział. Więźniów odprowadzono do celi.

3

— I co teraz?

Van Sarawak osunął się na prycę i utkwiał wzrok w podłodze.

— Gramy w tę grę — odparł ponuro Manse. — Zrobimy wszystko, co możliwe, żeby odzyskać chronocykl i uciec. Kiedy będziemy wolni, zastanowimy się, co dalej robić.

— Ale co się stało?

— Mówiłem ci, że nie wiem! Na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jak gdyby coś wysadziło z siodła Greków i Rzymian i rządy objęli Celtowie, ale nie umiem powiedzieć, co się stało.

Everard zaczął chodzić po celi. Czuł coraz większą determinację.

— Przypomnijmy sobie podstawy teorii czasu — powiedział. — Nie ma jednej przyczyny zdarzeń. Są one rezultatem całego ich splotu. Dlatego tak trudno jest zmienić historię. Gdybym się cofnął, powiedzmy, do średniowiecza i zabił jednego z holenderskich przodków Franklina Delano Roosevelta, to i tak Roosevelt urodziłby się pod koniec dziewiętnastego wieku, ponieważ jego geny pochodziły od wszystkich jego przodków i zaszło zjawisko kompensacji. Ale od czasu do czasu pojawia się wydarzenie przełomowe. Łączy ono tak wiele linii świata, że wywiera wpływ na przyszłość całego kontinuum. Z jakiegoś powodu ktoś zmienił jedno z takich wydarzeń.

— Nie ma już Hesperus City — wymamrotał van Sarawak. — Nie ma spacerów nad kanałami o zmierzchu. Nie ma win Afrodyty, nie ma... czy wiesz, że miałem na Wenus siostrę?

— Zamknij się! — niemal wrzasnął Manse. — Wiem. Do diabła z tym. Liczy się tylko to, co zrobimy. Posłuchaj „Patrol Czasu i Danellianie nie istnieją. Nie pytaj mnie, dlaczego kiedyś istnieli i dlaczego po raz pierwszy po podróży w odległą przeszłość zastaliśmy zmienioną przyszłość. Nie rozumiem paradoksów czasu. Po prostu tak się stało i to wszystko. Ale biura Patrolu i stacje wypoczynkowe, istniejące przed zmianą, nie zostały unicestwione. Musi tam być kilkuset agentów, których możemy zebrać.

- Jeśli zdołamy do nich dotrzeć.
- Musimy znaleźć to przełomowe wydarzenie i usunąć interferencję. Musimy to zrobić!
- To dobry pomysł, ale...

Usłyszawszy kroki i zgrzyt klucza w zamku, więźniowie cofnęli się. Zaraz potem uśmiechnięty van Sarawak skłonił się z galanterią. Nawet Everardowi zapało dech w piersiach.

W asyście trzech żołnierzy do celi weszła piękna jak bogini dziewczyna. Miała wielkie, zielone i lśniące oczy, a jej twarz stanowiła ucieleśnienie irlandzkiego ideału kobiecej urody. Długa biała suknia okrywała smukłą sylwetkę, która powinna się znaleźć na murach Troi. Manse zauważył, że kobiety żyjące w tej epoce używały kosmetyków, chociaż nowo przybyła ich nie potrzebowała. Nie zwrócił uwagi ani na jej biżuterię ze złota i bursztynu, ani na lufy rewolwerów.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało i zapytała:

- Czy mnie rozumiecie? Podobno znacie język grecki...

Posługiwała się raczej klasyczną niż współczesną greką. Everard, który przez jakiś czas pracował w epoce Aleksandra Wielkiego, wsłuchawszy się w słowa nieznanym, był w stanie je zrozumieć mimo dziwnego akcentu.

- Tak, rozumiem — odparł, jękając się nieco, gdyż chciał z nią jak najszybciej pomówić.

- Po jakimu bełkoczesz? — spytał van Sarawak.

- W klasycznej grece — wyjaśnił Manse.

— Ale mam szczęście! — jęknął Wenusjanin. Zapomniał o rozpaczy i nie odrywał oczu od rudowłosej piękności.

Everard przedstawił siebie i swojego towarzysza. Dziewczyna powiedziała, że nazywa się Deirdre Mac Morn.

— Och, nie! — zawołał van Sarawak. — Tego już za wiele! Manse, naucz mnie greki. I to szybko.

- Zamknij się! — syknął Amerykanin. — To poważna sprawa.

- Zgoda, ale dlaczego tylko ciebie ma spotkać ta przyjemność?

Everard przestał zwracać na niego uwagę i poprosił dziewczynę, żeby usiadła. Sam ulokował się obok niej na pryczy; jego zasejpony kolega trzymał się w pobliżu. Policjanci wciąż mierzyli do nich z rewolwerów.

- Czy grecki jest nadal żywym językiem?

— Tylko w Partii, a i tam jest bardzo zniekształcony — . powiedziała Deirdre. — Między innymi ukończyłam filologię klasyczną. Saorann ap Ceorn jest moim wujem, więc poprosił mnie, żebym spróbowała się z wami porozumieć. Niewielu mieszkańców Afallonu zna język grecki.

— No cóż — Everard zdołał powstrzymać się od głupawego uśmiechu — jestem za to bardzo wdzięczny twojemu wujowi.

Deirdre spojrzała na niego z powagą.

- Skąd jesteście? Jak to możliwe, że ze wszystkich języków znacie tylko grecki?

- Znam również łacinę.

— Łacinę? — Dziewczyna zmarszczyła czoło. — Ach tak, to był język Rzymian, prawda? Obawiam się, że nie znajdziecie nikogo, kto by go znał.

- Wystarczy greka — powiedział stanowczo Manse.

- Nadal mi jednak nie powiedzieliście, skąd pochodzicie.

Everard wrzucił ramionami.

- Nie traktowano nas zbyt uprzejmie — napomknął.

— Przykro mi. — Zdawała się mówić szczerze. — Nasi ludzie są tacy drażliwi. — Zwłaszcza teraz, w obecnej sytuacji międzynarodowej. A kiedy wy dwaj przybyliście znikąd...

Manse pokiwał głową. Sytuacja międzynarodowa. Miało to znajome nieprzyjemne znaczenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał.

— Na pewno wiecie. Huy Braseal i Hinduraj są o krok od wojny i wszyscy się zastanawiamy, co się stanie... Słabym krajem nie jest lekko.

— Słabym? Przecież widziałem mapę i Afallon wydał mi się dość duży.

— Wyczerpaliśmy siły przed dwustu laty w wielkiej wojnie z Littornem. Teraz nasze stany nigdy nie mogą dojść do porozumienia w sprawie wspólnej polityki. — Deirdre spojrzała mu prosto w oczy i zapytała: — Jak to możliwe, że nic nie wiecie?

Everard przełknął ślinę i oświadczył:

— Przybyliśmy z innego świata.

— Co takiego?

— Tak. Z planety... (Nie, to znaczy wędrowiec.) Z ciała niebieskiego krążącego wokół Syriusza. Tak nazywamy jedną z gwiazd.

— Ależ... o czym mówisz?! Planeta towarzysząca jakiejś gwiazdzie? Nie rozumiem cię.

— Nie wiesz? Gwiazda jest słońcem jak...

Deirdre wzdrygnęła się i nakreśliła palcem jakiś znak w powietrzu.

— Niechaj Baal* ma mnie w opiece — szepnęła. — Albo jesteś szalony, albo... Przecież gwiazdy spoczywają w kryształowej sferze.

„Och, nie!”

— A co z wędrownymi gwiazdami, które widzicie na niebie? — zapytał powoli Manse. — Marsem, Wenus i...

— Nie znam tych nazw. Jeśli masz na myśli Molocha, Astarte i całą resztę, to oczywiście są one takimi samymi światami jak nasz i tak samo towarzyszą słońcu. Na jednym mieszkają dusze zmarłych, drugi jest ojczyzną czarowników, a trzeci...

„Taka ignorancja w epoce maszyn parowych!” Everard zdobył się na słaby uśmiech.

— Jeśli mi nie wierzysz, to za kogo nas uważasz? Dziewczyna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Sądzę, że jesteście czarownikami — oświadczyła.

Na to nie można już było odpowiedzieć. Manse zadał dziewczynie jeszcze kilka pytań, ale dowiedział się niewiele więcej ponad to, że miasto, w którym się znaleźli, nazywa się Catuvellaunan i jest ośrodkiem przemysłu oraz handlu. Zdaniem Deirdre, Catuvellaunan było zamieszkane przez około dwa miliony ludzi, a pięćdziesiąt milionów zamieszkiwało cały Afallon. Nie była jednak tego pewna, gdyż nie przeprowadzano spisów ludności.

Przyszłość agentów Patrołu była równie niejasna jak przedtem. Armia skonfiskowała ich chronocykl i inne rzeczy, lecz nikt nie miał odwagi z nich skorzystać i toczyły się burzliwe dyskusje nad tym, jak należy potraktować dziwnych cudzoziemców. Everard odniósł wrażenie, że władze Afallonu, łącznie z dowództwem armii, działają chaotycznie z powodu personalnych rozgrywek. Państwo to było najluźniejszą z możliwych konfederacją utworzoną przez samodzielne niegdyś narody — brytyjskich kolonistów i zeuropeizowanych Indian. Wszyscy zazdrośnie strzegli swoich praw. W dawnym imperium Majów, pokonanym w wojnie z Teksasem (Tehannah), a później anektowanym, kultywowano stare tradycje i stamtąd pochodzili najbardziej kłótlivi delegaci w Radzie Suffetów.

Majowie chcieli zawrzeć przymierze z Huy Braseal, na pewno z powodu sympatii do innych Indian. Stany Zachodniego Wybrzeża, które obawiały się Hinduraju, stały się jego poplecznikami. Środkowy Zachód (nie dziwnego) prowadził politykę izolacjonizmu. Jeśli zaś idzie o stany Wschodniego Wybrzeża, zamierzały popierać politykę Brittysu, choć były ze sobą skłócone.

* Baal — semicki bóg przyrody, płodności i rolnictwa.

Kiedy Manse dowiedział się, że w Afallonie istnieje niewolnictwo, chociaż nie związane z przynależnością rasową, przysłała mu do głowy dziwaczna myśl, że osobnikami, którzy zmienili historię, mogli być Konfederaci.

Dość tego. Musi myśleć o ratowaniu skóry swojej i van Sarawaka.

— Pochodzimy z Syriusza — powiedział wyniośle. — Twoje wiadomości na temat gwiazd są błędne. Przybyliśmy tutaj jako pokojowo nastawieni badacze, jeśli jednak zostaniemy źle potraktowani, możecie spodziewać się zemsty naszych pobratymców.

Deirdre miała tak nieszczęśliwą minę, że Manse poczuł wyrzuty sumienia.

— Czy oszczędzą dzieci? — zapytała błagalnym tonem. — Dzieci nie miały z tym nic wspólnego.

Everard bez trudu wyobraził sobie przerażające sceny, o których myślała: zrozpaczeni, zapłakani mali jeńcy prowadzeni w kajdanach na rynki niewolników w świecie czarowników.

— Nie będzie żadnych kłopotów, jeśli nas uwolnicie i zwrócicie nam naszą własność — oświadczył.

— Porozmawiam z wujem — obiecała — ale nawet jeśli go przekonam, niewiele wskóra, bo jest tylko jednym z Rady Suffetów. Rada oszalała na myśl o potędze, jaką zapewniłaby nam wasza broń, gdybyśmy nauczyli się ją wytwarzać.

Wstała. Everard ujął jej ręce — ciepłe i miękkie spoczęły w jego dłoniach — i uśmiechnął się do niej kwaśno.

— Głowa do góry, dzieciaku — powiedział po angielsku.

Deirdre zadrżała i znów nakreśliła w powietrzu chroniący przed czarami znak.

— No dobrze. Czego się dowiedziałeś? — zapytał van Sarawak, gdy zostali sami.

Kiedy Manse wyjaśnił, Wenusjanin pogładził podbródek i mruknął:

— To był piękny mały zbiór sinusoid. Na pewno istnieją światy gorsze od tego.

— Albo lepsze — odparł szorstko Manse. — Wprawdzie nie mają bomby atomowej, ale nie wynaleźli też penicyliny. Nie wolno nam zastępować Boga.

— Nie. Przypuszczam, że nie — westchnął van Sarawak.

4

Spędzili niespokojny dzień. Była już noc, gdy w korytarzu zamigotały światła latarek i strażnik otworzył drzwi celi. Wyprowadzono więźniów tylnym wyjściem, przed którym czekały dwa samochody. Umieszczono ich w jednym z nich i cały oddział odjechał w ciszy.

W Catuvellaunan nie było lamp ulicznych i w nocy ulice świeciły pustkami. Dlatego właśnie to wielkie miasto wydawało się nierealne. Everard zainteresował się konstrukcją samochodu, którym jechał. Tak jak przypuszczał, był napędzany parą i spalał miał węglowy. Miał gumowe opony i gładką, ostro zakończoną maskę ozdobioną galeonem w postaci węża. Całość była prosta w obsłudze i solidnie zmontowana, choć nie najlepiej zaprojektowana. Doszedł do wniosku, że ta cywilizacja metodą prób i błędów rozwinęła stopniowo mechanikę, lecz nie stworzyła prawdziwej nauki.

Przez niezgrabny żelazny most wjechali na Long Island, która także w tym świecie była dzielnicą willową przeznaczoną dla bogatych. Mimo słabego światła lamp naftowych jechali szybko i dwukrotnie w ostatniej chwili uniknęli wypadku: nie było żadnej sygnalizacji i kierowcy najwidoczniej gardzili ostrożną jazdą.

Rząd i ruch uliczny... hmm. Wszystko to jakimś cudem sprawiało wrażenie francuskiego porządku, wyjąwszy te rzadkie okresy w historii, kiedy Francją rządził jakiś Henryk z Nawarry albo generał de Gaulle. Przecież nawet w dwudziestym wieku Francja w przeważającej mierze była celtycka. Everard nie wierzył w głośne teorie, głoszące istnienie stałych cech narodowych, ale uważał, że można mówić o zwyczajach mocno zakorzenionych w narodowej psychice i bezrefleksyjnie akceptowanych. Rządzony przez Celtów świat Zachodu, w którym ludy germańskie nie odgrywają żadnej roli... Tak, jeśli wziąć pod uwagę dwudziestowieczną Irlandię albo przypomnieć sobie, jak plemienne rozgrywki i przeciwstawne ambicje polityczne przyczyniły się do upadku powstania Wercyngetoryksa*... Tylko jak wytłumaczyć istnienie Littomu?... Chwileczkę! W jego świecie Litwa była niegdyś potężnym państwem, które bardzo długo opierało się Niemcom, Polakom i Rosjanom i przyjęła chrześcijaństwo dopiero w XV wieku. Bez niemieckiej konkurencji Litwa mogła przesunąć się daleko na wschód...

Mimo charakterystycznej dla Celtów politycznej niestabilności w tym świecie istniały ogromne państwa, lecz żyło mniej narodów niż w świecie Everarda. Cywilizacja zachodnia powstała na gruzach imperium rzymskiego około roku 600 n.e. Celtowie musieli znacznie wcześniej zdominować ten świat.

Zaczął się domyślać, co się stało z Rzymem, ale wyciągnięcie wniosków odłożył na później.

Samochody zatrzymały się przed zdobioną bramą w długim kamiennym murze. Kierowcy zamienili kilka słów z dwoma uzbrojonymi wartownikami noszącymi liberie i cienkie stalowe obręcze charakterystyczne dla niewolników. Otwarto bramę i pojazdy wjechały na długą, wysypaną żwirem aleję, wzdłuż której rosły drzewa i ciągnęły się trawniki. Na jej przeciwległym końcu, prawie na plaży, majaczył w mroku jakiś budynek. Żołnierze gestami kazali więźniom wsiąść i poprowadzili ich w jego stronę.

Była to duża drewniana rezydencja. W świetle palących się na ganku lamp gazowych Everard spostrzegł, że dom jest pomalowany w jaskrawe pasy, a jego szczyty i końce belek są zakończone smoczymi łbami. W pobliżu szumiało morze, a księżyc świecił tak jasno, że było widać sylwetkę stojącego na kotwicy statku, prawdopodobnie frachtowca, z wysokim kominem i galeoną na dziobie.

W oknach paliło się żółte światło. Niewolnik pełniący obowiązki lokaja otworzył drzwi. Ściany we wnętrzu domu były wyłożone ciemną boazerią, również fantazyjnie rzeźbioną, podłogę zaś pokrywały puszyste dywany. W końcu korytarza znajdował się przeladowany meblami salon z kilkoma obrazami w konwencjonalnym stylu; w ogromnym kamiennym kominku wesoło buzował ogień.

Saorann ap Ceorn siedział w jednym fotelu, a Deirdre w drugim. Na widok agentów dziewczyna odłożyła książkę i wstała uśmiechając się. Generał o surowej twarzy zaciągnął się cygarem i spiorunował więźniów wzrokiem. Powiedział coś krótko i strażnicy zniknęli. Lokaj przyniósł wino na tacy, dziewczyna zaś poprosiła agentów Patrolu, by usiedli.

Everard spróbował wina — był to wyśmienity burgund — i zapytał bez ogródek:

— Dlaczego tu jesteśmy?

— Na pewno bardziej ci się tu spodoba niż w więzieniu — powiedziała Deirdre z promiennym uśmiechem.

— Oczywiście. W każdym razie jest tu więcej ozdóbek. Czy odzyskamy wolność?

— Jesteście... — chciała udzielić dyplomatycznej odpowiedzi, ale była zbyt szczerą, więc dokończyła: — ...jesteście tu mile widziani, lecz nie wolno wam opuścić tej posiadłości. Mamy nadzieję, że zgodzicie się nam pomóc. Zostalibyście sowicie wynagrodzeni.

* Wercyngetoryks — przywódca zbrojnej rebelii przeciwko Rzymianom w 52 r. p.n.e. (Przyp. tłum.)

— Pomóc wam? Jak?

— Ucząc naszych rzemieślników i druidów czarów potrzebnych do produkcji broni i pojazdów takich jak wasze.

Manse westchnął. Wyjaśnienia na nic się nie zdadzą. Afallończycy nie mieli nawet narzędzi do wyprodukowania innych narzędzi, którymi mogliby się posłużyć, by skonstruować to, czego pragnęli. Jak jednak wytłumaczyć to ludziom wierzącym w czary?

— Czy to dom twojego wuja? — zapytał.

— Nie, mój — odparła Deirdre. — Jestem jedynym dzieckiem moich rodziców, którzy należeli do bogatej arystokracji. Umarli w zeszłym roku.

Ap Ceorn powiedział coś szcześliwie i dziewczyna przełożyła jego słowa z zafrasowaną miną:

— Do tej pory opowieść o waszym niezwykłym przybyciu rozeszła się po całym Catuvellaunan, dotarła więc też do zagranicznych szpiegów. Mamy nadzieję, że będziecie tu dobrze ukryci przed nimi.

Everard zadrżał, przypomniawszy sobie gierki, do których uciekały się tak państwa Osi, jak alianci w małych neutralnych państwach, na przykład w Portugalii. Ludzie zagrożeni wojną nie będą równie kurtuazyjni jak Afallończycy.

— O co chodzi w tym konflikcie? — zapytał.

— Oczywiście o kontrolę nad Oceanem Iceńskim, a w szczególności o pewne bogate wyspy, które nazywamy Ynys Yr Lyonnach. — Deirdre podniosła się i pokazała na globusie Hawaje. — Jak już wam mówiłam, Littorn i sojusz zachodni — łącznie z nami — wyczerpały się w długiej wojnie. Teraz wielkimi mocarstwami są takie ekspansywne młode państwa jak Huy Braseal i Hinduraj, które rywalizują między sobą o wpływy. Do zatargu między nimi wciągane są mniejsze narody, gdyż chodzi w nim nie tylko o konflikt ambicji, lecz również konflikt systemów: monarchia Hinduraju przeciwko teokracji czcicieli słońca w Huy Braseal.

— Czy mogę zapytać, jaką wyznajesz religię?

Dziewczyna zamrugała oczami. Pytanie to wydało się jej pozbawione sensu.

— Ludzie wykształceni sądzą, że istnieje Baal, który stworzył pomniejszych bogów — powiedziała powoli. — Oczywiście nadal zachowujemy dawne kultury i oddajemy cześć potężnym obcym bogom, takim jak Perkunas i Czernebog z Littornu, Wotan Ammon z Cimperlandu, Brahma... Lepiej nie narażać się na ich gniew.

— Rozumiem.

Ap Ceorn zaproponował im cygara. Van Sarawak zaciągnął się dymem i powiedział zaczepnym tonem:

— Do diabła, ale mam szczęście! Że też musi to być świat, gdzie nie mówi się żadnym znanym mi językiem. — Ożywił się. — Nauczę się nawet bez hipnozy. Poproszę Deirdre, żeby została moją nauczycielką

— Naszą — dodał szybko Everard. — Posłuchaj, Piet...

Zrelacjonował mu wszystko, czego się dowiedział.

— Hmm. — Młodszy mężczyzna potarł podbródek. — To niezbyt zachęcające, prawda? Oczywiście, gdyby tylko pozwolili nam się zbliżyć do chronocykla, zaraz byśmy uciekli. Dlaczego nie udać, że się zgadzamy?

— Nie są tacy głupi. Może wierzą w czary, lecz nie w czysty altruizm.

— To dziwne, że są tak intelektualnie zapóźnieni. Przecież mają maszyny parowe.

— Nie, to całkiem zrozumiałe. Dlatego zapytałem ich o religię. Zawsze byli poganami. Wydaje się, że tutaj zupełnie zaniknął judaizm, a buddyzm nigdy nie miał wielkich wpływów. Jak to wykazał Whitehead, średniowieczna idea jednego, wszechmocnego Boga przyczyniła się do rozwoju nauki, ponieważ zakładała istnienie porządku w naturze. A Lewis Mumford dodał, że

zegar mechaniczny — niezwykle ważny wynalazek — skonstruowano prawdopodobnie w jednym z pierwszych klasztorów, ponieważ mnisi musieli odmawiać modlitwy o stałych porach. Wydaje mi się, że w tym świecie zegary pojawiły się znacznie później. — Everard uśmiechnął się, żeby ukryć smutek. — Dziwnie się czuję. Przecież Whitehead i Mumford nigdy nie istnieli.

— Mimo to...

— Chwileczkę. — Manse zwrócił się do Deirdre: — Kiedy został odkryty Afallon?

— Przez białych ludzi? W roku 4827.

— A... odkąd liczycie czas?

Młoda Afallonka była już przyzwyczajona do zaskakujących pytań.

— Od stworzenia świata — powiedziała — albo raczej od daty ustalonej przez filozofów — a został on stworzony 5964 lata temu.

Odpowiadało to słynnemu ustaleniu biskupa Usshera — 4004 r. p.n.e., choć może była to przypadkowa zbieżność. W tej kulturze wyraźnie zaznaczał się pierwiastek semicki. Historia o stworzeniu świata zawarta w Biblii również wywodziła się z Babilonu.

— A kiedy zaczęto używać pary (pneuma) do napędzania maszyn?

— Około tysiąca lat temu. Wielki druid Boroihme O’Fiona...

— Nieważne. — Everard palił cygaro i rozmyślał jakiś czas w milczeniu. Później zwrócił się do van Sarawaka:

— Zaczynam rozwiązywać tę łamigłówkę — powiedział. — Gallowie wcale nie byli barbarzyńcami, za jakich się ich uważa. Wręcz przeciwnie, odznaczali się energią i przedsiębiorczością. Dlatego wiele się nauczyli od fenickich kupców i greckich kolonistów, podobnie jak od Etrusków z Galii Przedalpejskiej. Tymczasem Rzymianie byli ludźmi przyziemnymi, bez szczególnych zainteresowań intelektualnych. Właściwie nie można mówić o postępie technicznym w naszym świecie przed rozpadem ich imperium i początkami średniowiecza.

— Ale w tej historii Rzymianie wcześniej zniknęli ze sceny dziejów, podobnie jak, jestem tego pewny, Żydzi. Przypuszczam, że gdyby nie było równowagi sił między Rzymem a państwem Seleucydów, ci ostatni pokonaliby Machabeuszy. Przecież niemal to im się udało. W każdym razie po wyeliminowaniu Rzymu Gallowie zdobyli przewagę w basenie Morza Śródziemnego. Zaczęli organizować wyprawy, budowali coraz lepsze statki i w IX wieku naszej ery odkryli Amerykę. Nie górowali jednak nad Indianami tak bardzo, żeby ci nie mogli im dorównać... stworzyli nawet własne imperia, takie jak Huy Braseal. W XI wieku Celtowie zbudowali maszyny parowe. Zdaje się, że przejęli też proch strzelniczy od Chińczyków i sami wynaleźli kilka rzeczy, lecz dokonali tego metodą prób i błędów, bez prawdziwie naukowych podstaw.

Van Sarawak skinął głową i rzekł:

— Przypuszczam, że masz rację. Ale co się stało z Rzymem?

Everard ponownie zwrócił się do Deirdre:

— Może cię to zaskoczy — powiedział gładko — ale nasi ludzie odwiedzili wasz świat dwa i pół tysiąca lat temu. Dlatego właśnie znam grecki, lecz nie wiem, co się później wydarzyło. Chciałbym, żebyś mi o tym opowiedziała... jeśli dobrze rozumiem, jesteś prawdziwą erudytką.

Młoda Afallonka zaczerwieniła się i opuściła powieki ozdobione długimi ciemnymi rzęsami, jakimi mogłoby się poszczycić niewiele rudowłosych dziewcząt.

— Z radością pomogę wam w miarę swoich możliwości — oświadczyła i dodała błagalnie: — Ale czy i wy nam pomożecie?

— Nie wiem — odparł z troską w głosie Manse. — Chciałbym, lecz nie wiem, czy będziemy mogli.

„Ponieważ moim prawdziwym celem jest unicestwienie ciebie i twojego świata”.

Kiedy Manse znalazł się w swoim pokoju, przekonał się, że Afallończycy serdecznie podejmują gości. Był jednak zbyt zmęczony i przygnębiony, by skorzystać z ich gościnności... Na chwilę przed zaśnięciem pomyślał, że przynajmniej piękna niewolnica ofiarowana van Sarawakowi na pewno się na nim nie zawiedzie.

Mieszkańcy tego świata wstawali wcześniej. Z okna swego pokoju na piętrze Everard zobaczył wartowników przechadzających się po plaży, ale ten widok nie zepsuł mu humoru. Zszedł razem z Wenusjaninem na śniadanie. Odniósł wrażenie, że szynka, jaja, tosty i kawa należą jeszcze do snu. Deirdre powiedziała im, że ap Ceorn pojechał do miasta na posiedzenie Rady Suffetów. Zapomniawszy na chwilę o zmartwieniach, rozmawiała wesoło o banalnych sprawach. Manse dowiedział się, że należy do amatorskiego zespołu, który od czasu do czasu wystawia klasyczne greckie sztuki w języku oryginałów — stąd tak dobrze znała grekę. Lubiła jeździć konno, pływać.

— Czy pójdziemy? — zapytała.

— Po co?

— Oczywiście popływać! — Zerwała się z fotela stojącego na trawniku pod drzewami i całkiem niewinnie rozebrała się do naga.

Van Sarawakowi opadła szczęka.

— Chodźcie! — zawołała, śmiejąc się, dziewczyna. — Ostatni będzie Sassenachem.

Już pluskała się w zimnych szarych falach, kiedy zmarznięci agenci Patrolu weszli na plażę. Wenusjanin jęknął:

— Pochodzę z cieplej planety. Moi przodkowie byli Indonezyjczykami... tropikalnymi ptakami.

— Ale znalazło się wśród nich również kilku Holendrów, czyż nie? — zapytał ze śmiechem Manse.

— Mieli dość rozsądku, by osiedlić się w Indonezji! — odparował jego towarzysz.

— W porządku, zostań na brzegu.

— Do diabła! Jeśli ona może, to i ja potrafię!

Wenusjanin dotknął wody końcem stopy i znów jęknął. Everard zmobilizował się i wbiegł do morza. Deirdre ochlapała go lodowatą wodą. Zanurkował, chwycił ją za nogę i wciągnął pod wielką falę. Dokazywali tak przez kilka minut, zanim pobiegli z powrotem do domu pod gorący prysznic. Van Sarawak powlókł się za nimi.

— I co tu mówić o mękach Tantala — wymamrotał ponuro. — Jestem gościem najpiękniejszej dziewczyny w całym kontinuum i nie tylko nie mogę nic do niej powiedzieć, ale ona w dodatku zachowuje się tak, jak gdyby jednym z jej rodziców był niedźwiedź polarny.

Kiedy niewolnicy wytarli Everarda i Deirdre do sucha i ubrali w miejscowe stroje, samodzielny agent znowu stanął przed kominkiem w salonie.

— Co to za deseń? — zapytał, wskazując kratkę na swojej spódniczce.

Deirdre podniosła głowę.

— To barwy mojego klanu — odparła. — Na czas pobytu gość staje się honorowym członkiem klanu gospodarza, nawet wtedy, gdy są zwaśnieni. — Uśmiechnęła się nieśmiało. — A między nami nie ma krwi, Manslachu.

Everard sposepniał, gdyż przypomniał sobie, co musi zrobić.

— Chciałbym zapytać cię o dzieje twojego świata — powiedział. — Bardzo mnie to interesuje.

Dziewczyna skinęła głową, poprawiła złotą siateczkę okrywającą jej włosy i wyjęła jakąś książkę z zapelnionej po brzegi etażerki.

— Sądzę, że to najlepsza historia świata. Mogę znaleźć w niej wszystkie szczegóły, które pragniesz poznać.

„I powiedzcie mi, co mam zrobić, żeby cię zniszczyć”.

Everard usiadł przy niej na kanapie. Wszedł lokaj, pchając wózek z obiadem. Manse jadł w ponurym nastroju, nie zwracając uwagi na smak potraw.

Później zadał pytanie zgodne z tokiem jego rozumowania:

— Czy Rzym i Kartagina kiedykolwiek prowadziły ze sobą wojnę?

— Tak. Dwukrotnie. Na początku sprzymierzyły się przeciwko Epirowi, ale później się pokłóciły. Rzym wygrał pierwszą wojnę i starał się ograniczyć kartagińską ekspansję. — Manse widział ją pochyloną nad książką na podobieństwo pilnej uczennicy. — Druga wojna wybuchła dwadzieścia trzy lata później i trwała... hm... wszyscy są zgodni, że jedenaście lat, chociaż przez trzy ostatnie lata jedynie oczyszczano teren po tym, jak Hannibal zdobył i spalił Rzym.

Everard wcale nie był zadowolony z sukcesu Hannibala.

Druga wojna punicka (tutaj nazywano ją wojną rzymską), za sprawą jakiegoś wydarzenia, które podczas niej nastąpiło, stanowiła punkt zwrotny. Mimo to — po części z ciekawości, po części zaś dlatego, że nie chciał się zdradzić — Manse nie zapytał od razu o szczegóły. Najpierw chciał się dowiedzieć, co się wydarzyło później. (Nie... raczej nie wydarzyło. Był duchem w realnym świecie).

— Co się potem stało? — spytał obojętnie.

— W skład imperium kartagińskiego weszły: Hiszpania, południowa Galia i „stopa” Półwyspu Apenińskiego — powiedziała Afallonka. — W pozostałej części terytorium Italii po upadku republiki rzymskiej zapanowały chaos i anarchia. Rządy kartagińskie były jednak zbyt skorumpowane, by mogły przetrwać. Hannibala zamordowali ludzie, którym jego uczciwość przeszkadzała w realizacji planów. W tym samym czasie Syria i Partia walczyły o panowanie nad wschodnią częścią basenu Morza Śródziemnego. Partia zwyciężyła i w ten sposób znalazła się pod jeszcze silniejszym wpływem kultury greckiej. Jakies sto lat po wojnach rzymskich kilka plemion germańskich podbiło Italię. (Musieli to być Cymbrowie z sojusznikami — Teutonami i Ambronami, których w świecie Everarda powstrzymał Mariusz). Ich niszczycielski przemarsz przez Galię wywołał ruchy ludów celtyckich, które stopniowo przenikały do Hiszpanii i Afryki Północnej, w miarę jak Kartagina chyliła się ku upadkowi. Gallowie wiele nauczyli się od Kartagiriczyków. Później rozgorzały długie wojny, w których wyniku Partia została osłabiona i powstały państwa celtyckie. Huno — wie pokonali Germanów w Europie Środkowej, ale ich z kolei rozbili Partowie. Gallowie zajęli również te ziemie i jedynymi krajami germańskimi pozostały Italia oraz Hiperborea (to musiał być Półwysep Skandynawski). Wraz z ulepszeniem konstrukcji statków rozwinął się handel z Dalekim Wschodem, tak poprzez Arabię, jak i wokół Afryki. (W świecie Everarda Jubusz Cezar zdumiał się, że Weneci budują lepsze okręty niż jakkolwiek inny lud znad Morza Śródziemnego.) Celtowie odkryli południowy Afallon, który początkowo wzięli za wyspę — stąd nazwa „Ynis” — lecz zostali wyparci przez Majów. Jednakże brytyjskie kolonie leżące dalej na północ przetrwały i z czasem uzyskały niepodległość. Przez ten czas trwała ekspansja Littornu. Wchłonął on większą część Europy. Zachodnia część tego kontynentu odzyskała wolność w rezultacie traktatu pokojowego po wojnie stuletniej, o której już ci wspomniałam. Narody azjatyckie zrzuciły jarzmo europejskich metropolii i zmodernizowały się. Z kolei kraje Europy Zachodniej zaczęły chylić się ku upadkowi. — Deirdre uniosła głowę znad książki, którą wertowała podczas rozmowy. — Ale to tylko bardzo ogólny zarys, Manslach. Czy mam mówić dalej?

Everard pokręcił głową i rzekł:

— Nie, dziękuję. — Po chwili dodał: — Bardzo rzetelnie przedstawiłaś sytuację swojego kraju.

Dziewczyna odpowiedziała szorstko:

— Wielu z nas nie chce tego przyznać, ale ja uważam, że zawsze należy patrzeć prawdzie w oczy. Czy teraz opowiesz mi o swoim świecie? — zapytała podekscytowana. — To niewiarygodne i cudowne.

Manse westchnął, poskromił sumienie i zaczął kłamać jak z nut.

Napadnięto na nich tego samego dnia po południu.

Van Sarawak odzyskał równowagę psychiczną i pilnie uczył się afallońskiego od Deirdre. Chodzili po ogrodzie, zatrzymując się, żeby nazywać przedmioty i odmieniać czasowniki. Everard szedł za nimi, od czasu do czasu zastanawiając się, czy nie gra roli piątego koła u wozu, po czym znów łamał sobie głowę nad tym, jak się dostać do chronocykla.

Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Szkarłatny klon strzelał w górę, a zeschnięte liście tworzyły kobierzec na pożółkłej trawie. Stary niewolnik niespiesznie grabił dziedziniec, młody indiański strażnik siedział w niedbalej pozycji z karabinem przewieszonym przez ramię, a para wilczurów drzemała pod żywopłotem. Był to idylliczny obrazek; trudno uwierzyć, że kryli się za tymi murami ludzie planujący morderstwo.

Człowiek pozostaje jednak człowiekiem niezależnie od historycznych uwarunkowań. Tej kulturze obca była brutalność i wyrafinowane okrucieństwo cywilizacji zachodniej; pod pewnymi względami sprawiała wrażenie dziwnie pacyfistycznej. Nie znaczyło to jednak, że nie odwoływano się tutaj do przemocy. Everardowi wydawało się, że w tym świecie być może nigdy nie powstanie prawdziwa nauka i ludzie bez końca będą obracać się w błędnym kole wojen. W jego przyszłości rodzaj ludzki w końcu się z tego wyzwolił.

Ale po co? Nie mógł oświadczyć z ręką na sercu, że to kontinuum jest lepsze lub gorsze od tego, które znał. Po prostu było inne. Czy ci ludzie nie mieli prawa do istnienia tak jak jego ziomkowie, którzy zostaną skazani na wieczny niebyt, jeśli jemu się nie uda?

Zacisnął pięści. To go przerastało. Żaden człowiek nie powinien decydować o tak ważnej sprawie.

Wiedział jednak, że w końcu skłoni go do działania nie abstrakcyjne poczucie obowiązku, lecz pamięć o zwykłych ludziach i drobnych wydarzeniach.

Okrążyli dom i Deirdre wskazała na morze.

— Awarlann — powiedziała. Jej rozpuszczone włosy płonęły na wietrze.

— Czy to znaczy „morze”, „Atlantyk”, a morze tylko „woda”? — roześmiał się van Sarawak. — Zobaczmy. — Pociągnął ją w stronę plaży.

Everard poszedł za nimi. Długi i szybki statek podobny do kutra parowego mknął po falach kilometr od brzegu. Leciały za nim krzyżące przenikliwie mewy, tworząc śnieżnobiałą chmurę. Manse pomyślał, że gdyby on za wszystko odpowiadał, to postawiłby tam okręt wojenny.

Czy musi podjąć decyzję sam? Przecież w czasach przedrzymskich są inni agenci Patrolu, którzy wrócą do swoich epok i...

Zesztywniał i zadrżał na całym ciele.

Wróć, zorientują się, co się stało, i będą próbowali skorygować bieg wydarzeń. Jeśli choć jednemu z nich to się uda, wówczas ten świat zniknie z czasoprzestrzeni, a on razem z nim.

Deirdre przystanąła. Złany potem Everard nie zauważył, czemu się przypatrywała, dopóki nie krzyknęła głośno i nie wyciągnęła ręki, wskazując na coś. Wtedy podszedł do niej i spojrzął na morze.

* * *

Kuter zbliżał się do brzegu, a jego wysoki komin wypluwał kłęby dymu i snopy iskier; złoty wąż na dziobie błyszczał w słońcu. Manse widział sylwetki ludzi na pokładzie i coś białego ze skrzydłami... Obiekt wzniósł się w powietrze z rufy i zaczął nabierać wysokości, ciągnięty przez linę. Szybowiec! Celtyccy aeronauci osiągnęli przynajmniej ten etap...

— To ładne — powiedział van Sarawak. — Przypuszczam, że mają też balony.

— Szybowiec odrzucił linę holowniczą i skierował się ku plaży. Jeden ze strażników na brzegu głośno krzyknął. Pozostali wybiegli z za węgła domu. Lufy ich karabinów błyszczały w słońcu. Kuter pomknął w stronę brzegu, szybowiec zaś wylądował, wrywszy bruzdę w piasku.

Afalloński oficer wrzasnął, ruchem ręki nakazując agentom oddalić się. Manse dostrzegł przelotnie bladą i przerażoną twarz Deirdre. Później wieżyczka strzelnicza na szybowcu obróciła się — Everard domyślił się, że jest poruszana ręcznie — i odezwało się lekkie działo.

Amerikanin rzucił się na ziemię. Wenusjanin zrobił to samo, pociągając za sobą dziewczynę. Kartacze przeredziły szeregi afallońskich żołnierzy.

Doszło do zacieklej wymiany ognia z broni ręcznej. Z szybowca wyskoczyli ciemnoskórzy mężczyźni w turbanach i sarongach. „Hinduraj” — pomyślał Everard. Odpowiedzieli na strzały ocalałych strażników, którzy skupili się wokół swojego dowódcy.

Oficer ryknął i poprowadził ich do ataku. Manse podniósł głowę i zobaczył, że Afallończycy już niemal dotarli do załogi szybowca. Van Sarawak zerwał się na nogi. Everard przekreślił się i złapał go za kostkę, zanim tamten zdążył włączyć się do walki.

— Puść mnie! — Wenusjanin szamotał się, niemal płacząc. Martwi i ranni żołnierze leżeli nieruchomo na plaży, barwiąc krwią piasek. Bitewny zgiełk zdawał się sięgać nieba.

— Nie, przeklęty głupcze! Im chodzi o nas, a ten cholerny kapitan zrobił najgorszą rzecz z możliwych... — Nowa seria wystrzałów zaabsorbowała uwagę Amerykanina.

Napędzany śrubą płaskodenny kuter wpłynął na płyciznę i zaczął wypluwać ze swego wnętrza uzbrojonych mężczyzn. Afallończycy zbyt późno zorientowali się, że wystrzelali wszystkie naboje i znaleźli się w pułapce.

— Chodźcie! — Manse jednym szarpnięciem postawił na nogi Deirdre i van Sarawaka. — Musimy się stąd wydostać... Pójdziemy do sąsiadów...

Jakiś oddział desantowy zauważył ich i zawrócił. Kula z głuchym plaśnięciem uderzyła w piasek. Niewolnicy krzyczeli histerycznie wewnątrz domu. Dwa wilczury zaatakowały napastników i zostały zastrzelone.

Skulić się, pobiec zygzakiem i przedostać się przez mur na drogę — to był sposób, żeby uciec. Może by im to się udało, ale Deirdre potknęła się i upadła. Van Sarawak zatrzymał się, żeby jej strzec.

Manse również przystanął i było już za późno. Otoczyli ich obcy żołnierze, mierząc do nich z karabinów.

Dowódca napastników szepnął coś do dziewczyny. Deirdre usiadła i odpowiedziała wyzywająco. Tamtem roześmiał się krótko i wskazał kciukiem kuter.

— Czego oni chcą? — zapytał Everard po grecku.

— Was. — Spojrzała na niego z przerażeniem. — Was obu... — Oficer znów coś powiedział — ...i mnie jako tłumaczkę... Nie!

Wykręciła tułów, zdołała się częściowo uwolnić od uchwytu zaciśniętych na jej ramionach dłoni i podrapała twarz najbliższego mężczyzny. Pięść Everarda zakreśliła w powietrzu krótki łuk i rozkwasiała czyjś nos. Nie trwało to jednak długo. Everard został uderzony kolbą karabinu w głowę i półprzytomny poczuł, że czterech żołnierzy niesie go na kuter.

Załoga kutra porzuciła szybowiec, zepchnęła swój lekki statek na głębszą wodę i odpłynęła z maksymalną prędkością. Pozostawiła na plaży zabitych i rannych Afallończyków, ale zabrała ciała wszystkich towarzyszy.

Everard siedział na ławce na pokładzie kutra i przyglądał się, jak brzeg ginie w oddali. Stopniowo odzyskiwał jasność myśli. Deirdre wypłakiwała się w ramię van Sarawaka, który starał się ją pocieszyć. Zimny wiatr ciskał im w twarz wodny pył.

Kiedy dwaj biali mężczyźni wyszli z kabiny, umysł Manse'a znów zaczął pracować. To nie byli Azjaci, ale Europejczycy! A teraz, gdy uważnie przyjrzał się reszcie załogi, zauważył, że wszyscy mają europejskie rysy twarzy. Ciemna cera była wynikiem makijażu.

Wstał i spojrział na swoich nowych panów. Jeden z nich był tegim mężczyzną przeciętnego wzrostu, w średnim wieku, ubranym w czerwoną jedwabną bluzę, szerokie białe spodnie i karakułowy kapelusik; nie miał zarostu, a jego ciemne włosy były splecione w warkocz. Drugi był nieco młodszym, rozczochranym, jasnowłosym olbrzymem. Miał na sobie tunikę z miedzianymi haczykami, obcisłe spodnie z getrami, skórzany płaszcz i ozdobny hełm z rogami. Obaj nosili u pasa rewolwery i załoga kutra traktowała ich z szacunkiem.

— Co, do diabła? — Everard jeszcze raz rozejrzał się wokoło. Już przestali być widoczni z lądu i płynęli na północ. Pracujący na najwyższych obrotach silnik wprawiał cały statek w wibrację. Spieniona woda pryskała na wszystkie strony, kiedy dziób kutra ciał fale.

Starszy mężczyzna zwrócił się do więźniów po afallońsku. Everard wzruszył ramionami. Wtedy brodaty Nordyk najpierw odezwał się w niezrozumiałym dialekcie, po czym zapytał:

— Taelan thu Cimbric?

Manse, który znał kilka języków germańskich, wykorzystał szansę, a van Sarawak nastawił uszu. Deirdre skuliła się i przyglądała się tej scenie szeroko otwartymi oczyma, zbyt oszołomiona, żeby się poruszyć.

— Ja — odparł Everard. — Ein Wenig. — Kiedy blondyn spojrział niepewnie, poprawił się: — A little*.

— Ah, aen litt. Gode! — olbrzym zatarł dłonie. — Ik hait Boierik Wulfilasson ok main gefreond herr erran Bolesław Arkoriski*.

Everard nigdy nie słyszał takiego języka — po tylu wiekach nie mógł to być pierwotny dialekt cymbryjski... ale rozumiał go dość dobrze. Gorzej było z wymową; nie wiedział, jaką przeszła ewolucję.

— What the heli erran thu machining, anyway? — wypalił. — Ik bin aen man auf Syrius — the stern Syrius, mit planeten ok all. Set uns gëbach or willen be der Teufel to pay!*

Boierik Wulfilasson zrobił smutną minę i zasugerował, żeby kontynuować rozmowę z pomocą młodej damy jako tłumaczki.

Zaprowadził ich do kabiny, która okazała się małym, lecz komfortowo urządzonej salonem. Drzwi pozostały otwarte; pilnował ich uzbrojony wartownik, inni zaś czekali w pobliżu.

* Tak... trochę

* Ach, trochę. To dobrze. Nazywam się Boierik Wulfilasson, a to mój przyjaciel Bolesław Arkoński. (Przyp. tłum.)

* Co wy tam knujecie, do diabła? Jestem z Syriusza, z gwiazdy Syriusz i jej planet. Wypuście nas, bo inaczej drogo zapłacicie. (Przyp. tłum.)

Arkoński powiedział coś do Deirdre po afallońsku. Skinęła głową i grubas podał jej kieliszek wina. Wydawało się, że to ją pokrzepiło, ale odezwała się do Everarda matowym głosem:

— Zostaliśmy pojmani, Manslach. Ich szpiedzy dowiedzieli się, gdzie przebywaliście. Inna grupa miała ukraść wasz pojazd — znają miejsce, gdzie został ukryty.

— Tak przypuszczałem — odparł Manse. — Ale kim oni są, na Baala?

Usłyszawszy to pytanie, Boierik wybuchnął śmiechem, po czym długo rozwódził się nad swoją przebiegłością. Chcieli, żeby suffeci Afallonu uznali, że to Hinduraj jest odpowiedzialny za porwanie. W rzeczywistości Littom i Cimberland, związane tajnym przymierzem, stworzyły bardzo efektywną siatkę szpiegowską. Powiedział, że płyną do letniej rezydencji ambasadora Littornu na Ynis Llangollen (Nantucket), gdzie zmuszą czarowników do wyjawienia sekretów ich magii i w ten sposób sprawią przykrą niespodziankę wielkim mocarstwom.

— A jeśli tego nie zrobimy?

Deirdre przetłumaczyła słowo w słowo odpowiedź Arkońskiego.

— Będzie mi przykro z powodu konsekwencji, jakie poniesiecie. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi i zapłacimy wam hojnie złotem i zaszczytami za współpracę. Jeśli jednak będzie trzeba, zmusimy was do niej. Tutaj w grę wchodzi byt naszych krajów.

Everard przyjrzał się im uważniej. Boierik wydawał się zakłopotany i nieszczęśliwy; jego radość życia gdzieś się ulotniła. Arkoński zacisnął usta i bębnił palcami po stole, ale w oczach miał coś na podobieństwo prośby. Zdawał się myśleć: „Nie zmuszajcie nas do tego. Przecież musimy liczyć się z konsekwencjami naszych postępów”.

Na pewno byli mężami i ojcami, lubili napić się piwa i pograć w kości tak jak inni ludzie. Może Boierik hodował konie w Italii, a Arkoński był nadbałtyckim miłośnikiem róż. To jednak nie miało znaczenia, skoro Naród znalazł się w konflikcie z sąsiadami.

Manse przez jakiś czas podziwiał ich misterny plan, po czym zastanowił się, co on i van Sarawak powinni zrobić. Kuter był szybki, lecz mimo to potrzebował około dwudziestu godzin, żeby dotrzeć do Nantucket. Mieli więc tyle czasu do namysłu.

— Jesteśmy znużeni — powiedział po angielsku. — Czy moglibyśmy trochę odpocząć?

— Ja, deedy — odparł Boierik z nieco sztuczną życzliwością. — Ok wir skallen gode gefreonds bin, ni?*

* * *

Zachodzące słońce jarzyło się na horyzoncie. Deirdre i van Sarawak stali przy relingu, wpatrując się w szary bezmiar wód. Trzech marynarzy, już bez charakterystyki i azjatyckich ubrań, stało w pogotowiu na rufie, inny zaś sterował, kierując się wskazaniem kompasu. Boierik i Everard przechadzali się po nadbudówce. Wszyscy nosili grube płaszcze dla ochrony przed silnym wiatrem.

Everard zaczął orientować się w cymbryjskim. Wprawdzie nadal robił błędy, ale można go było zrozumieć. Mimo to pozwalał Boierikowi kierować rozmową.

— Więc przybyliście z gwiazd? Nie znam się na takich rzeczach. Jestem prostym człowiekiem. Gdyby to ode mnie zależało, zarządzałbym spokojnie majątkiem w Cimberlandzie, a cały świat mógłby szaleć do woli. Ale my, mężowie z ludu Cymbrów, mamy obowiązki.

Wyglądało na to, że Teutoni całkowicie zajęli miejsce Latynów w Italii, podobnie jak Anglosasi wyparli Brytów w świecie Everarda.

* Tak, oczywiście... Będziemy dobrymi przyjaciółmi, co?(Przyp. tłum.)

— Wiem, co czujesz — odparł agent Patrolu. — Dziwne, że tak wielu walczy, gdy jednocześnie tak niewielu tego pragnie.

— Och, ale to konieczne — niemal zaskomlał Boierik. — Carthagalann zagarnął Egipt, który prawnie do nas należy.

— Italia irredenta* — mruknął Manse.

— Co?

— Nieważne. Więc wy, Cymbrowie, sprzymierzyliście się z Lit — tomem i macie nadzieję zagarnąć Europę i Afrykę, podczas gdy wielkie mocarstwa będą walczyć na Wschodzie?

— Wcale nie! — zaprzeczył z oburzeniem Boierik. — Po prostu domagamy się uznania naszych słusznych i historycznie uzasadnionych pretensji terytorialnych. Sam król powiedział...

Everard zebrał siły, by nie poddać się kołysaniu statku.

— Wydaje mi się, że niezbyt dobrze nas, czarowników, traktujecie — zauważył. — Uważajcie, żebyśmy się naprawdę na was nie rozgniewali.

— Jesteśmy chronieni przed klątwami i urokami.

— W takim razie...

— Chciałbym, abyście pomogli nam dobrowolnie. Z radością udowodnię ci, że racja jest po naszej stronie, jeśli zechcesz mi poświęcić kilka godzin.

Manse pokręcił przecząco głową i zatrzymał się przy Deirdre. W półmroku nie widział twarzy dziewczyny, ale słyszał smutek i wściekłość w jej głosie:

— Mam nadzieję, że mu powiedziałeś, co może zrobić ze swoimi planami, Manslach.

— Nie — odparł obojętnie. — Pomożemy im.

Stała jak sparaliżowana.

— Co powiedziałeś, Manse? — zapytał van Sarawak.

Everard powtórzył swoje słowa.

— Nie! — zaprotestował gorąco Wenusjanin.

— Tak! — oświadczył z mocą starszy agent.

— Na Boga, nie! Ja...

Everard złapał go za ramię i powiedział zimno:

— Uspokój się. Wiem, co robię. W tym świecie nie możemy stanąć po niczyjej stronie, gdyż jesteśmy przeciwko wszystkim. Możemy jedynie prowadzić przez jakiś czas podwójną grę. I nie mów tego Deirdre.

Van Sarawak pochylił głowę i zastanawiał się przez chwilę.

— W porządku — odparł bez entuzjazmu.

7

Littorneńska rezydencja znajdowała się na południowym brzegu Nantucket w pobliżu wioski rybackiej, ale była ogrodzona wysokim murem. Ambasada zbudowała tę letnią siedzibę w stylu obowiązującym w Littornie: długie drewniane domy pokryte dachami wygiętymi jak koci grzbiet. Rezydencja i jej przyległości stały wokół brukowanego dziedzińca. Po przebudzeniu Manse zjadł śniadanie w ponurym nastroju. Deirdre patrzyła na niego z wyrzutem i jedzenie nie mogło mu przejść przez gardło. Kiedy przybili do prywatnej przystani, stał tam już inny, większy kuter i

* Italia irredenta (łac.) — Italia utracona. (Przyp. tłum.)

okolica roiała się od mężczyzn o twardych spojrzeniach. Oczy Arkońskiego zabłyśły. Powiedział po afallońsku:

— Widzę, że przywieziono czarodziejską maszynę. Bierzmy się do roboty.

Gdy Boierik przetłumaczył jego słowa, Everard poczuł chłód w okolicy serca.

Zaprowadzono gości, jak uparcie nazywał ich jasnowłosy olbrzym, do dużej sali, gdzie Arkoński ukląkł przed posążkiem bożka o czterech twarzach, Swantewita, którego Duńczycy porąbali i spalili w innej historii*. Na kominku płonął duży ogień, a pod ścianami stali uzbrojeni strażnicy.

— Słyszałem, że w Catuvellaunan stoczono ciężki bój, aby zdobyć tę rzecz — powiedział Boierik. — Wielu poległo, lecz nasi zdołali wycofać się w porę, tak że nie było pościgu. — Dotknął ostrożnie kierownicy i zapytał: — Czy ten wóz naprawdę może dotrzeć wszędzie, dokąd zechce się udać jego kierowca, i przybyć po prostu znikąd?

— Tak — odparł Manse.

Deirdre obrzuciła go tak pogardliwym spojrzeniem, jakiego wcześniej nie widział. Wyniośle odsunęła się od niego i van Sarawaka.

Arkoński przemówił do niej; najwyraźniej chciał, żeby to przetłumaczyła, ale Afallonka plunęła mu pod nogi. Boierik westchnął i powtórzył Everardowi słowa Littorneńczyka:

— Chcemy, żebyś zademonstrował nam działanie tej maszyny. Ty i ja udamy się na przejażdżkę. Uprzedzam cię, że wyceluję rewolwer w twoje plecy. Powiesz mi wcześniej o wszystkim, co zrobisz. Jeśli stanie się coś dziwnego, strzelę. Jestem jednak pewien, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

Agent skinął głową. Czuł napięcie w całym ciele; dłonie miał zimne i wilgotne od potu.

Rzucił okiem na chronocykl. Od razu odczytał koordynaty przestrzenne na wskaźnikach pozycyjnych i czas na zegarze pojazdu. Później omiół wzrokiem pomieszczenie i zobaczył, że van Sarawak siedzi na ławce pod lufą pistoletu Arkońskiego i lufami karabinów littomeńskich strażników. Deirdre również siedziała, wyprostowana, jak najdalej od Wenusjanina. Określił w przybliżeniu pozycję ławki w odniesieniu do chronocykla, podniósł ręce do góry i zaśpiewał w temporalnym:

— Van, spróbuję cię stąd wyciągnąć. Zostań w tym samym miejscu, gdzie teraz jesteś, powtarzam, dokładnie w tym samym miejscu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, stanie się to po upływie minuty od mojego zniknięcia razem z naszym włochatym kolegą.

Van Sarawak nie dał nic po sobie poznać i dalej siedział z kamienną twarzą, ale na jego czole pojawił się perlisty pot.

— Bardzo dobrze — powiedział Everard łamanym cymbryjskim. — Usiądź na tylnym siodełku, Boieriku. Puścimy w ruch tego magicznego konia.

Jasnowłosy mężczyzna skinął głową i posłuchał. Kiedy Manse zajął miejsce przed deską rozdzielczą, poczuł na piecach dotyk zimnej lufy rewolweru trzymanego w drżącej ręce.

— Powiedz Arkońskiemu, że wrócimy tu za pół godziny — dodał.

W tym świecie stosowano mniej więcej ten sam system mierzenia czasu co w świecie Everarda; oba wywodziły się z Babilonu. Gdy Nordyk wydał polecenie, Manse rzekł:

— Najpierw znajdziemy się w powietrzu nad oceanem i będziemy szybować.

— D... d... dobrze — wyjąkał niepewnie Boierik.

Agent Patrolu ustawił regulatory przestrzeni na piętnaście kilometrów w poziomie i trzysta w pionie, po czym nacisnął odpowiedni guzik.

* Swantewit (Światowid) — prawdopodobnie najważniejszy bóg Słowian. Jego posąg stał w świątyni w Arkonie na Rugii, głównym ośrodku kultu nadbałtyckich Słowian; zniszczony w roku 1168 przez Duńczyków. (Przyp. tłum.)

Siedzieli jak czarownice na miotle, spoglądając w dół na szarzielony bezmiar wód i widoczną w oddali niewyraźną smugę łądu. Szarpnął nimi porywisty wiatr i Everard mocniej przycisnął kolana do boków pojazdu. Uśmiechnął się zimno, usłyszawszy przekleństwo rzucone przez Boierika.

— Czy ci się to podoba? — zapytał.

— To jest... to jest cudowne. — W miarę osvajania się z nową sytuacją Boierik przejawiał coraz większy entuzjazm. — Balony są niczym w porównaniu z tym. Mając takie maszyny, będziemy mogli polecieć nad nieprzyjacielskie miasta i spalić je!

Te słowa w jakiś sposób pomogły Everardowi zrobić to, co było konieczne.

— Teraz polecimy do przodu — oznajmił i ruszyli. Boierik wydał okrzyk radości. — A potem w jednej chwili przeskoczmy do twojej ojczyzny — dodał.

Przesunął dźwignię manewrową. Chronocykl zakreślił pętlę i zanurkował z przyspieszeniem 3g.

Chociaż Manse był przygotowany na to, co się stało, z trudem i utrzymał się na siodełku. Nigdy się nie dowiedział, czy Boierik i runął w dół podczas kreślenia pętli, czy też w czasie nurkowania. Dostrzegł tylko kątem oka spadającą do morza postać, choć wołałby tego nie widzieć.

Później przez krótką chwilę wisiał nad falami. Najpierw zadrzał: a gdyby olbrzym zdążył wystrzelić? Potem poczuł wyrzuty sumienia. W końcu przestał o tym myśleć i zaczął zastanawiać się nad sposobem uratowania kolegi.

Ustawił regulatory przestrzeni na odległość 30 centymetrów od ławki z więźniami. Prawą rękę trzymał w pobliżu tablicy kontrolnej — będzie musiał działać bardzo szybko — a lewą zostawił wolną.

Pojazd czasu zmaterializował się błyskawicznie tuż przed Wenusjaninem. Everard złapał go za tunikę i wciągnął w obszar pola czasoprzestrzennego. Jednocześnie drugą ręką cofnął wskazówkę na tarczy zegara i nacisnął główny guzik.

Od metalu odbiła się kula. Manse zauważył krzyczącego Arkońskiego. A później wszystko zniknęło: cofnęli się w czasie o dwa tysiące lat i znaleźli na trawiastym wzgórzu opadającym ku plaży.

Everard, drżąc na całym ciele, oparł się o kierownicę chronocykla.

Ocknął się, słysząc głośny krzyk. Odwrócił się, żeby spojrzeć na leżącego na zboczu van Sarawaka i zobaczył, że Wenusjanin wciąż obejmuje ramieniem Deirdre.

* * *

Wiatr ucichł, morze z szumem zalewało szeroką białą plażę, a chmury płynęły wysoko po niebie.

— Nie mogę ci robić wyrzutów, Piet — powiedział Everard, krążąc wokół pojazdu czasu, i opuścił wzrok. — Ale to wszystko skomplikuje.

— A co miałem zrobić?! — zapytał ostrym tonem drugi mężczyzna. — Zostawić ją, żeby tamci dranie ją zabili albo żeby zniknęła razem z całym swoim światem?

— Przypomnij sobie, że wyrobiono w nas odruch warunkowy, żebyśmy nigdy nie zdradzili istnienia Patrołu osobom niepowołanym. Nie moglibyśmy powiedzieć jej prawdy, nawet gdybyśmy chcieli. A jeśli idzie o mnie, to nie mam na to ochoty.

Everard spojrział na dziewczynę. Stała, dysząc ciężko, lecz miała błysk zrozumienia w oczach. Wiatr rozwiewał jej włosy i unosił skraj długiej cienkiej sukni.

Potrząsnęła głową, jak gdyby chciała wyrwać się z koszmarne go snu, podbiegła do nich i wzięła ich za ręce.

— Wybacz mi, Manslach — szepnęła. — Powinna była wiedzieć, że nas nie zdradzisz.

Pocałowała ich obu. Van Sarawak z entuzjazmem oddał jej pocałunek, ale Everard nie mógł się do tego zmusić. Przypomnił sobie Judasza.

— Gdzie jesteśmy? — podjęła Deirdre. — Tutaj jest prawie tak samo jak w Llangollen, tyle że nie ma mieszkańców. Czy zabrałeś nas na Wyspy Szczęśliwe? — Odwróciła się na pięcie i zaczęła tańczyć wśród kwiatów. — Czy możemy tutaj odpocząć przed powrotem do domu?

Everard wciągnął głęboko powietrze i rzekł:

— Mam dla ciebie złe nowiny, Deirdre.

Zamilkła. Zauważyła, że zbiera siły.

— Nie możemy wrócić.

Czekała w milczeniu.

— Czary... czary, których musiałem użyć, żeby nas uratować, uniemożliwiają nam powrót do twojego kraju.

— Czy nie ma nadziei? — Ledwo ją usłyszał.

— Nie — odparł, czując pieczenie pod powiekami.

Dziewczyna odwróciła się i odeszła. Van Sarawak chciał za nią pójść, ale po namyśle zrezygnował i usiadł obok Everarda.

— Co jej powiedziałaś? — zapytał. Manse powtórzył mu swoje słowa.

— To chyba najlepsze wyjście — dodał na zakończenie. — Przecież nie mogę wysłać jej z powrotem, by podzieliła los jej świata.

— Nie. — Van Sarawak siedział jakiś czas spokojnie, wpatrując się w morze, a potem podjął: — Który to rok? Mniej więcej w epoce Chrystusa? Wobec tego nadal jesteśmy powyżej punktu zwrotnego.

— Tak. I musimy go odnaleźć.

— Wróćmy do biura Patrolu w jednej z wcześniejszych epok. Na pewno znajdziemy tam pomocników.

— Być może. — Everard położył się na trawie i spojrzał w niebo. Poczł przemożne zmęczenie. — Sądzę, że zdołam zlokalizować to przełomowe wydarzenie właśnie tutaj, przy pomocy Deirdre. Obudź mnie, kiedy wróci.

* * *

Wróciła z suchymi oczami, chociaż każdy by poznał, że płakała. Gdy Manse zapytał ją, czy pomoże mu w jego misji, skinęła głową i rzekła:

— Oczywiście. Moje życie należy do ciebie, ponieważ mnie uratowałeś.

„Po tym, jak cię wplątałem w tę awanturę”. Manse powiedział ostrożnie;

— Chcę tylko, żebyś udzieliła mi pewnych informacji. Czy słyszałaś o... o takim sposobie usypiania ludzi, że we śnie uwierzą we wszystko, co się im powie?

Skinęła głową i odparła z wahaniem:

— Widziałam, jak to robili druidzi-lekarze.

— Nic złego ci się nie stanie. Pragnę cię uspić, żebyś przypomniała sobie wszystko, co wiesz, rzeczy, o których dawno zapomniałaś. Nie potrwa to długo.

Z trudem znosił ufność, jaką mu okazywała. Posługując się technikami Patrolu, spenetrował jej pamięć absolutną i wyciągnął z niej wszystko, co kiedykolwiek przeczytała i usłyszała o drugiej wojnie punickiej. To mu wystarczyło.

Interwencja Rzymu na zajętych przez Kartaginę ziemiach leżących na południe od rzeki Ebro, dokonana z pogwałceniem międzypaństwowych traktatów, była kroplą, która przelała czarę. W

roku 219 p.n.e. Hannibal Barkas, gubernator kartagińskiej Hiszpanii, obległ sprzymierzone z Rzymem miasto Sagunto. Zdobył je po ośmiu miesiącach i w ten sposób sprowokował dawno zaplanowaną wojnę z republiką rzymską. Na początku maja 218 roku p.n.e. przekroczył Pireneje z armią Uczącą dziewięćdziesiąt tysięcy piechoty, dwanaście tysięcy jazdy i trzydzieści siedem słoń. Przemaszerował przez Galię i przedarł się przez Alpy. W drodze poniósł ogromne straty: pod koniec tego roku do Italii wkroczyło tylko dwadzieścia tysięcy piechoty i sześć tysięcy jazdy. Mimo to nad rzeką Ticinus rozbił w puch znacznie liczniejsze siły rzymskie. W następnym roku stoczył kilka zwycięskich, lecz krwawych bitew i dotarł aż do Apulii i Kampanii.

Apulianie, Lukanowie, Brucjowie i Samnici przeszli na jego stronę. Dyktator rzymski Fabiusz Maksimus prowadził okrutną wojnę partyzancką, która spustoszyła Italię, ale o niczym nie przesądziła. Tymczasem młodszy brat Hannibala, Hazdrubal Barkas, zmobilizował w Hiszpanii drugą armię i w roku 211 p.n.e. przybył z posiłkami. W następnym roku Hannibal zdobył i spalił Rzym, a po trzech latach skapitulowały przed nim ostatnie miasta republiki rzymskiej.

— To jest to — powiedział Everard. Poglaskał po głowie leżącą obok niego dziewczynę. — Teraz zaśnij. Śpij dobrze i obudź się z lekkim sercem.

— Co ci powiedziała? — zapytał van Sarawak.

— Masę szczegółów — odparł Manse. (Cała opowieść trwała ponad godzinę). — Najważniejsze jest to, że chociaż dobrze zna historię tamtych czasów, nie wspomniała o Scypionach.

— O kim?

— Publiusz Korneliusz Scypion dowodził armią rzymską w bitwie nad rzeką Ticinus. W naszym świecie został pokonany, podobnie jak tutaj, ale później miał dość rozumu, by uderzyć w kierunku zachodnim i zniszczyć kartagińskie bazy w Hiszpanii. W końcu Rzymianie całkowicie odcięli Hannibala w Italii i zniszczyli wysłane mu na pomoc nieliczne oddziały iberyjskie. Syn Scypiona, noszący takie samo imię jak ojciec, również dowodził armią i to właśnie on ostatecznie rozbił Hannibala pod Zamą. Mam na myśli Scypiona Arykańskiego Starszego. Obaj Scypionowie, ojciec i syn, byli najlepszymi dowódcami, jakich miał w tamtej epoce Rzym. Ale Deirdre nigdy o nich nie słyszała.

— Ach tak... — Van Sarawak spojrział na wschód, gdzie po drugiej stronie oceanu Gallowie, Cymbrowie i Partowie szaleli wśród ruin antycznego świata. — Więc co się z nimi stało w tej linii czasu?

— Moja pamięć absolutna podpowiada mi, że obaj Scypionowie byli nad rzeką Ticinus, gdzie omal nie zginęli. Syn uratował ojcu życie podczas odwrotu, który, moim zdaniem, przerodził się w paniczną ucieczkę. Postawię dziesięć do jednego, że właśnie wtedy obaj Scypionowie zginęli w tamtej historii.

— Ktoś musiał ich zamordować — powiedział Wenusjanin i dodał ostrzejszym tonem: — Jakiś podróznik w czasie. Nie ma innego wyjaśnienia.

— Bardzo możliwe. Zobaczymy. — Everard oderwał wzrok od buzi śpiącej dziewczyny i powtórzył: — Zobaczymy.

4

W plejstocieńskim domku myśliwskim Everard i van Sarawak (pół godziny po wyruszeniu w podróż do Nowego Jorku) oddali Deirdre pod opiekę życzliwej matrony, która знаła grecki, i zwołali swoich kolegów. Wkrótce potem przez czasoprzestrzeń zaczęły mknąć pojazdy czasu.

Wszystkie biura działające przed rokiem 218 p.n.e — najbliższe znajdowało się w Aleksandrii w okresie od 250 do 230 roku p.n.e. — „nadal” były na swoich miejscach; ich personel liczył około dwustu osób. Pisemny kontakt z przyszłością okazał się niemożliwy, a kilka krótkich wypadów do niej potwierdziło przypuszczenia agentów. Zaniepokojeni pracownicy Patrolu zwołali konferencję w oligoceńskiej Akademii. Samodzielni agenci byli wyżsi stopniem od kolegów odkomenderowanych do poszczególnych epok i zarazem sobie równi. Ponieważ Everard osobiście poznał fenomen zmiany dziejów ludzkości, wybrano go przewodniczącym komitetu wyższych oficerów.

Spotkał go zawód. Ci mężczyźni i kobiety swobodnie podróżowali w czasie i władali bronią bogów, lecz pozostali ludźmi, zachowując wszystkie wady charakterystyczne dla rodzaju ludzkiego.

Wszyscy zgadzali się, że szkodę trzeba naprawić. Obawiali się o kolegów i koleżanki, którzy wyruszyli do różnych epok i nie zostali ostrzeżeni. Jeżeli nie wrócą do chwili, kiedy historia wróci na dawny tor, nikt ich nigdy więcej nie zobaczy. Wprawdzie Everard wysłał ratowników, ale wątpił w powodzenie ich wysiłków. Przestrzegł też ich surowo, żeby wrócili w ciągu jednego dnia według czasu lokalnego, gdyż inaczej poniosą konsekwencje swojej opieszałości.

Jakiś mężczyzna z epoki renesansu naukowego zwrócił uwagę na inny aspekt zaistniałej sytuacji. Oczywiście ocalali agenci mają obowiązek odtworzyć „pierwotny” bieg wydarzeń, ale powinni pamiętać o swoich zobowiązaniach wobec nauki. Pojawiła się przecież niezwykle szansa zbadania całkiem nowej fazy dziejów ludzkości. Należy przez kilka lat prowadzić badania antropologiczne, zanim... Manse z trudem zmusił go do milczenia. Nie pozostało wystarczająco wielu agentów, żeby można było podjąć takie ryzyko.

Grupa badawcza miała określić dokładny czas i okoliczności zmiany. Dyskusje o metodach działania trwały bez końca. Everard spoglądał w prehistoryczną noc za oknem i zastanawiał się, czy tygrysy szablozębe nie spisują się lepiej niż ich pochodzący od małp następcy.

Kiedy w końcu wyprowadził swoich wysłanników, otworzył butelkę i upił się w towarzystwie van Sarawaka.

Komitet koordynacyjny zebrał się ponownie następnego dnia i wysłuchał meldunków wysłanników, którzy przemierzali imponującą liczbę lat w przyszłości. Uratowali tuzin agentów Patrolu z mniej lub bardziej kłopotliwych sytuacji; około dwudziestu zniknęło i trzeba było spisać ich na straty.

Raport grupy szpiegowskiej okazał się bardzo interesujący. Agenci odkryli, że dwóch helweckich najemników przyłączyło się do armii Hannibala podczas przeprawy przez Alpy i zdobyło jego zaufanie. Po wojnie piastowali wysokie urzędy w Kartaginie. Przybrawszy imiona Frontes i Himilkon, praktycznie przejęli ster rządów, zorganizowali zabójstwo Hannibala i żyli w niebywałym luksusie. Jeden z agentów widział domy, „Helwetów” oraz ich samych.

— Dużo udogodnień, o których nie słyszano w antycznym świecie. Ta dwójka wyglądała na Neldorian z dwieście pięćdziesiąt lat.

Manse skinął głową. Była to epoka bandytów, którzy wiele razy przysparzali Patrolowi mnóstwo pracy.

— Sądzę, że sprawa jest jasna — powiedział. — Nieważne, czy dołączyli do Hannibala przed bitwą nad Ticinusem, czy też nie. Byłoby diabelnie trudno aresztować ich w Alpach tak ostrożnie, by mimo woli nie zmienić historii. Najważniejsze jest to, że to chyba oni usunęli Scypionów i właśnie tam trzeba interweniować.

Jakiś dziewiętnastowieczny Anglik, kompetentny, ale bardzo przypominający typowego pułkownika armii indyjskiej, rozwinął mapę i wygłosił wykład na temat przeprowadzonego przez

niego z powietrza rozpoznania pola bitwy. Użył teleskopu na podczerwień, by przyjrzeć się działaniom wojennym poprzez warstwę chmur.

— A tutaj stali ci Rzymianie...

— Wiem — odparł Manse. — Cienka czerwona linia. Chwila, w której rzucają się do ucieczki, jest krytyczna, lecz całe to zamieszanie daje nam szansę działania. Zgoda, okrążymy dyskretnie pole bitwy, nie wydaje mi się jednak, żebyśmy mogli wysłać do akcji więcej niż dwóch agentów. Aleksandryjskie biuro dostarczy strojów van Sarawakowi i mnie.

— Myślałem, że to mnie przypadnie w udziale ten zaszczyt! — powiedział Anglik.

— Nie. Przykro mi. — Manse uśmiechnął się lekko. — To nie żaden zaszczyt. Po prostu zaryzykujemy życiem, żeby unicestwić świat pełen ludzi takich samych jak my.

— Ale, do diabła... Everard wstał.

— Muszę się tam udać — stwierdził stanowczo. — Nie wiem dlaczego, ale muszę to zrobić.

Van Sarawak skinął głową.

Zostawili chronocykl w kępie drzew i poszli przez pola.

Nad horyzontem i wysoko na niebie unosiła się setka uzbrojonych agentów Patrolu, ale była to mała pociecha w obliczu włócznie i strzał. Niskie chmury uciekały przed zimnym wyjąłym wiatrem i padał deszcz, gdyż w słonecznej Italii kończyła się jesień.

Zbroja ciążyła na ramionach Everarda biegnącego po śliskim błocie. Włożył hełm i nagolennice, na lewym ramieniu zawiesił rzymską tarczę, a u pasa miecz, lecz w prawej dłoni trzymał paralizator. Tak samo wyekwipowany van Sarawak podążał za nim skokami, czujnie spoglądając spod powiewającego na wietrze oficerskiego pióropusza.

Ryczały trąby i dudniły bębny, ale dźwięki te niemal zupełnie zagłuszał bitewny zgiełk: wrzaski i tupot ludzi, rzenie koni bez jeźdźców i świst strzał. Tylko kilku dowódców i zwiadowców siedziało jeszcze na koniach: jak się często działo przed wynalezieniem strzemion, jazda, która rozpoczęła bitwę, kończyła ją pieszo, gdyż żołnierze pospadali z wierzchowców. Kartagińczycy parli do przodu, uderzając mieczami w łamiące się rzymskie szeregi. Tu i tam walczyły już tylko grupki żołnierzy, którzy klęli i zadawali ciosy obcym.

Walka przeniosła się w inne miejsce. Wokół Everarda leżały trupy. Manse pospieszył za siłami rzymskimi ku błyszczącym w oddali orłom legionów. Ponad hełmami i trupami dostrzegł purpurowy, powiewający triumfalnie sztandar. Tam właśnie zobaczył szarzę słoń: wielkie zwierzęta zamajaczyły na tle szarego nieba, podniosły trąby i potężnie zatrąbiły.

Wojna zawsze jest taka sama, nie zgrabne linie na mapie ani rycerskość, tylko stękający, spoceni, krwawiący w oszołomieniu ludzie.

Szczupły młodzik o ciemnym obliczu zwijał się z bólu w pobliżu, daremnie usiłując wyciągnąć z rany włócznie, która wbiła się w jego brzuch. Był kartagińskim procarzem, ale siedzący tuż obok niego i z niedowierzaniem wpatrujący się w kikut swojej ręki krzepki italski wieśniak nie zwracał na niego uwagi.

W górze krążyło stado wron, czekając na swoją kolej.

— Tędy! — mruknął Everard. — Pospiesz się, na Boga! Ten szereg może w każdej chwili pęknąć.

Powietrze drapało go w gardle, gdy uparcie biegł w stronę rzymskich sztandarów. Nagle przypomniał sobie, że zawsze pragnął zwycięstwa Hannibala. Było coś odpychającego w zimnej, przyziemnej chciwości Rzymu. A teraz starał się ocalić Wieczne Miasto! Tak, dziwne są koleje losu.

Pocieszał się myślą, że Scypion Afrykański był jednym z nielicznych uczciwych ludzi, którzy przeżyli tę wojnę.

Wrzaski i szcęk broni nasiliły się i Rzymianie się cofnęli. Manse zobaczył coś, co przypominało falę rozbijającą się o skałę. Ale ta skała parła do przodu. Tworzący ją żołnierze krzyczeli i cięli mieczami.

Zaczął biec. Minał go jakiś legionista, wrzeszcząc z przerażenia. Siwowłosy rzymski weteran splunął na ziemię, zapał się nogami i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie został zasieczony. Słonie Hannibala zaryczały i zniżyły kły. Zwarte kartagińskie szyki nieubłaganie napierały na wroga przy akompaniamencie warkotu bębnow.

Teraz, do przodu! Manse zobaczył grupę jeźdźców, rzymskich oficerów. Trzymali wysoko orły i krzyczeli, ale nikt ich nie słyszał w bitewnym zgiełku.

Niewielka grupa legionistów minęła agentów Patrolu i zatrzymała się. Ich dowódca zawołał:

— Chodźcie tutaj! Pokażemy im, jak się walczy, na brzuch Wenus!

Manse pokręcił przecząco głową, nie przestając biec. Rzymianin rzucił się na niego, wołając:

— Chodź tu, ty tchórzu!

Wiązka promieni z paralizatora odjęła mu mowę i legionista runął w błoto. Jego ludzie zadrżeli; któryś z nich krzyknął, po czym wszyscy uciekli.

Kartaginczycy byli już bardzo blisko, idąc w zwartym szyku z czerwonymi od krwi mieczami w rękach. Everard dostrzegł siną bliznę na policzku jakiegoś żołnierza i wielki haczykowaty nos innego. Włócznia odbiła się od jego hełmu. Pochylił głowę i znów zaczął biec.

Zobaczył przed sobą grupkę walczących. Chciał ją wyminąć i potknął się o posiekanego trupa. Z kolei jakiś Rzymianin wpadł na niego. Van Sarawak zaklął i odciągnął go na bok. Czyjś miecz drasnął Wenusjanina w ramię.

Nieco dalej otoczeni przez wrogów ludzie Scypiona walczyli bez nadziei na ocalenie. Manse zatrzymał się, wciągnął powietrze do płuc, które paliły go ogniem, i wbił wzrok w cienką zasłonę deszczu. Zabłyły za nią mokre zbroje, gdy galopem nadjechał oddział rzymskiej jazdy. Konie były ochlapane błotem aż po nozdrza. To musiał być syn konsula, przysły Scypion Afrykański, który przybywał ojcu na ratunek. Tętent końskich kopyt przypominał odgłos gromu.

— Tam!

Van Sarawak podniósł rękę. Everard przykucnął. Woda spływała mu z hełmu na twarz. Z przeciwnej strony pędził kartagiński oddział, kierując się w stronę miejsca, gdzie walczone. Na czele jechało dwóch mężczyzn o charakterystycznej postawie i nieregularnych rysach Neldonan. Nosili przepisowe stroje, ale każdy z nich był uzbrojony w pistolet o wąskiej lufie.

— Tędy! — Manse odwrócił się na pięcie i rzucił się w ich stronę. Skórzane wiązania jego zbroi skrzypiały podczas biegu.

Obaj agenci znaleźli się blisko Kartagińczyków, zanim tamci ich zauważyli. Któryś z jeźdźców krzyknął ostrzegawczo. Dwóch zwariowanych Rzymian! Manse dostrzegł, że ów żołnierz uśmiechnął się szeroko. Jeden z Neldonan uniósł miotacz.

Everard padł na ziemię. Niebiesko-biały płomień przeciął powietrze tam, gdzie przed chwilą stał agent. Teraz on wystrzelił z paralizatora; trafiony koń runął w błoto ze szcękami metalu. Van Sarawak pozostał na miejscu i spokojnie zaczął strzelać. Dwa razy, trzy, cztery — i jeden Neldorianin spadł na ziemię.

Wokół obu Scypionów toczył się zacięty bój. Eskorta Neldonan zawyła z przerażenia. Kartaginczycy z pewnością znali działanie miotaczy, ale te niewidoczne ciosy były dla nich czymś zupełnie nowym. Uciekli. Drugi bandyta uspokoił konia i chciał zrobić to samo.

— Zajmij się tym, którego postrzeliłeś, Piet — stęknął Manse. — Odciągnij go na bok... przesłuchamy go...

Podniósł się z trudem i skierował w stronę bezpańskiego wierzchowca. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co robi, znalazł się na koniu i zaczął ścigać Neldorianina.

Za jego plecami Publiusz Korneliusz Scypion i jego syn przebili się i dołączyli do wycofującej się armii rzymskiej.

Uciekinier i ścigający mknęli przez bitewny chaos. Everard ponagłał swojego rumaka, ale nie starał się zbliżyć do Neldorianina. Kiedy tylko znikną walczącym z oczu, jeden z chronocykli będzie mógł się zniżyć i śledzący wszystko bacznie agent bez trudu schwyta bandytę.

Taka sama myśl musiała przyjść do głowy temporalnemu włóczędze, gdyż zatrzymał konia i wycelował miotacz. Manse zobaczył oślepiający błysk i poczuł mrowienie w policzku: omal nie został trafiony. Nastawił swój pistolet na szeroką wiązkę i jechał, nieustannie strzelając.

Następna płomienista kula ugodziła jego konia prosto w pierś. Zwierzę runęło na ziemię i Everard wypadł z siodła. Dzięki wyćwiczonym odruchom zamortyzował upadek. Zerwał się na równe nogi i chwiejnym krokiem ruszył w stronę wroga. Zgubił paralizator, który leżał gdzieś w błocie, i nie miał czasu go szukać. To nieważne, znajdzie go, jeśli przeżyje. Szeroka wiązka promieni spełniła zadanie: wprawdzie nie była dostatecznie silna, by powalić człowieka, ale Neldorianin wypuścił miotacz z ręki, a jego koń ślaniał się na nogach z zamkniętymi oczami.

Deszcz smagał twarz Everarda. Agent dojrzał do konia bandyty. Neldorianin zeskoczył na ziemię i wyciągnął miecz. Brzeszczot miecza Amerykanina również zabłysnął w szarym świetle dnia.

— Jak chcesz — powiedział agent po łacinie. — Jeden z nas nie opuści tego pola żywy.

10

Nad górami wzeszedł księżyc i śnieg nagle zaśnieżył w jego promieniach. Daleko na północy błyszczał jeden z lodowców; w oddali zawył samotny wilk. Kromanionczycy śpiewali w swojej jaskini i ich przytłumione głosy docierały na oszkloną werandę.

Deirdre stała w ciemnościach, wyglądając na zewnątrz. Promień księżyca oświetlił część jej twarzy i zaśnieżył we łzach spływających po policzkach. Drgnęła, kiedy Everard i van Sarawak stanęli za nią.

— Już wróciliście? — zapytała. — Przecież przybyliście tutaj i zostawiliście mnie dopiero tego ranka.

— Nie zabrało nam to wiele czasu — odparł Wenusjanin, który nauczył się greki pod hipnoedukatorem.

— Mam nadzieję... — Spróbowała się uśmiechnąć. — Mam nadzieję, że wykonaliście wasze zadanie i będziecie mogli odpocząć po trudach.

— Tak — oznajmił Everard. — Wykonaliśmy je.

Stali obok siebie przez chwilę, spoglądając na zimowy krajobraz.

— Czy to prawda, że nigdy nie będę mogła wrócić do siebie? — zapytała Deirdre.

— Niestety tak. Czary... — Agenci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Oficjalnie pozwolono im powiedzieć dziewczynie wszystko, co uznają za stosowne, i zabrać ją tam, gdzie, ich zdaniem, będzie jej najlepiej. Van Sarawak utrzymywał, że może to być tylko Wenus w jego epoce, a Manse był zbyt zmęczony, by się z nim spierać.

Deirdre odetchnęła głęboko.

— Niech tak będzie — rzekła. — Nie zmarnuję życia, lamentując z tego powodu. Oby Baal sprawił, żeby moi rodacy żyli w pokoju.

— Jestem pewien, że tak będzie — uspokoił ją starszy agent.

Nagle Everard poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Pragnął tylko snu. Niech van Sarawak powie, co zechce, i zbierze ewentualne laury.

Skinął koledze głowę, mówiąc:

— Idę się położyć. Odwagi, Piet.

Wenusjanin wziął dziewczynę za rękę, a Manse Everard powoli poszedł do swojego pokoju.

O PODRÓŻACH W CZASIE

POSŁOWIE

Od ponad trzydziestu lat Poul Anderson wędruje do najdalszych zakątków czasu — do tyłu, do przodu i na boki. Ulubionym tematem tego pisarza jest ruch w czasie — doskonały pretekst do umieszczenia bohaterów w niezwykłych sytuacjach, w których muszą sobie radzić.

W twórczości Poula Andersona przygody w czasie uzupełniają przygody w kosmosie, a nawet nakładają się na nie. Eksploracja czasu jest u niego odpowiednikiem eksploracji przestrzeni kosmicznej. Obie umożliwiają rozszerzenie władzy nad przyrodą za pośrednictwem nauki i wzbogacenie osobowości przez doświadczenie. Dla Andersona najwyższą wiedzą jest ta zdobyta dzięki bezpośredniemu doświadczeniu. (Powieść „The Avatar” mocno przemawia za takim ujęciem tej kwestii).

Współczesną cywilizację charakteryzuje pragnienie poznania i doświadczenia historii. Społeczności archaiczne zwykle lekceważą lub negują istnienie procesów historycznych. Uznający teorię linearnego nie powtarzającego się czasu Zachód szuka jej potwierdzenia w historii. Bada przyczyny wydarzeń i zastanawia się nad możliwością innego ich biegu, by zyskać poczucie bezpiecznego zakorzenienia w rzeczywistości. Rozważa się wydarzenia pod kątem ich innego możliwego przebiegu lub przenosi się je w możliwą przyszłość.

Wrażliwy na historię pisarz stara się odpowiedzieć na tę potrzebę. W każdej tworzonej przez siebie sytuacji — odtwarzając przeszłość, zmieniając teraźniejszość czy przepowiadając przyszłość — przedstawia czytelnikowi szereg możliwych rozwiązań. (Proszę porównać zajazd „Pod Starym Feniksem”, goszczący wiele postaci z różnych epok z „A Midsummer Tempest” ze zgrupowaniami z „Number of the Beast” Roberta A. Heinleina). Historie o podróżach w czasie — od wywierającego duże wrażenie opowiadania „The Man Who Came Early” (1956) poprzez romantyczną powieść fantasy „Three Hearts and Three Lions” (1961) do śmiałych teorii „Tau Zero” (1970) — zaliczają się do największych osiągnięć pisarskich Poula Andersona. Wypadają też korzystnie w porównaniu z dziełami Johna Brunnera, L. Sprague de Campa, Fritza Leibera. Warda Moore’a, Larry’ego Nivena, Andre Norton, H. Beam Pipera, Keitha Robertsona i Roberta Silverbergera.

Każda fikcja literacka zapewnia czytelnikowi spotkanie z inną rzeczywistością, a podróż w czasie łączy odmiennosc i podobieństwo, ukazując przeszłość zastanej rzeczywistości („Rozpoznał cypel, którego nędzny szczątek zostanie kiedyś nazwany Gibraltarem”) lub jej wariant, który nigdy się nie zaktualizował („Noszący kilty okrągłogłowi biali, przemieszani z Indianami i używający samochodów parowych, nigdy nie istnieli”). W dodatku obecność transtemporalnych obserwatorów podkreśla różnicę w sposób, który nie może zostać wykorzystany w tradycyjnej powieści historycznej. Reakcje tych przybyszów — mogą to być dysponujący sporą wiedzą agenci Patrolu Czasu albo nie przygotowani ludzie, nagle przeniesieni do nieznanego czasu („The Corridor of Time”, 1965) — dobitnie akcentują niezwykłość sytuacji i umożliwiają konstruowanie fabularnych konfliktów.

Poul Anderson przenosi swoich bohaterów w czasie na wiele sposobów. Wehikuł czasu H.G. Wellsa jest prototypem chronocykla Patrolu Czasu, ale podróżować można również w stanie hibernacji („Time Heals”, 1949), dzięki spowolnieniu czasu w statku kosmicznym lecącym z szybkością podświetlną („Time Lag”, 1961), w wyniku awarii silnika gwiazdolotu („Epilogue”, 1962), przez bramę w czasoprzestrzeni („The Avatar”), dzięki czarom („A Midsummer Tempest”),

za pomocą myśli („The Long Remembering”, 1957), dzięki stymulacji komputerowej („The Fatal Fulfillment”, 1970), we śnie („The Visitor”) i wreszcie dzięki zdolnościom parapsychofizycznym („There Will Be Time”, 1973).

Te wyprawy nigdy nie są celami samymi w sobie. Chociaż tworzenie i usuwanie pętli kauzalnych pomaga rozwiązać intrygi w powieściach Andersona, paradoksy czasowe nigdy nie są tam najważniejsze, w przeciwieństwie do np. „By His Bootstraps” Heinleina (1941). Pisarz ten nie snuje też rozważań z zakresu metafizyki czasu na podobieństwo J.G. Ballarda i szkoły Nowej Fali. Jednakże Anderson potrafi uczynić z czasu poetycki symbol. Na przykład w „World Without Stars” (1967) twierdzi, że sam proces życia polega na wywołanej przez miłość temporalnej dyslokacji molekuł. (Proszę porównać sposób, w jaki wykorzystał ten sam pomysł Wilson Tucker w „The Year of The Quiet Sun”, 1970).

Dla Poula Andersona podróż w czasie może się stać początkiem przygody („The Nest”, 1953), romansu („House Rule”, 1976), satyry („Welcome”, 1960), polemiki („Conversation In Arcady”, 1963), humoru („Survival Technique”, 1957) albo tragedii („My Object All Sublime”, 1961). Służy jako pretekst do nakreślenia obrazu prawdziwego środowiska historycznego („The Dancer from Atlantis”, 1972), stworzenia fikcyjnej rzeczywistości („Operation Chaos”, 1971), wyrażenia obawy przed pewnymi tendencjami politycznymi („Wildcat”, 1958) albo świetnej zabawy („A World To Choose”, 1960).

Mimo że historia i paradoksy czasowe grają tu główną rolę, cenną zaletą opowieści o Patrolu Czasu jest wielopłaszczyznowość akcji, łączenie przez autora tematów, które inni pisarze SF rozwijają osobno, nieraz poświęcając im całe powieści. Patrol bada wszystkie epoki, tak jak Stowarzyszenie Czasu w „Times Without Number” Brunnera (1962). Jego agenci wypoczywają w różnych erach niczym turyści temporalni w „Up the Line” Silverberga (1969). (Jednakże w przeciwieństwie do Andersona Silverberg celowo zniekształca fakty historyczne). Para drugoplanowych postaci z „Patrolu Czasu” ucieka do bardziej sympatycznego XIX wieku, podobnie jak bohater „Lincoln Hunters” Tuckera (1957). Historia zostaje przypadkowo zmieniona w „Wielkim Królu” i w „Bring the Jubilee” Moore’a (1952), ale jest też świadomie kształtowana w noweli „Szach Mongołom” oraz w „Big Time” Leibera (1961). Strzegąc niezmienności dziejów, Patrol Poula Andersona wypełnia identyczną misję, jak Policja Paratemporalna opisana przez Pipera w powieści „Lord Kalvan of Otherwhen” (1955) czy Służby Międzyepokowe w „The Crossroads of Time” Andre Norton (1956).

Łącząc tak wiele wątków, autor uzyskuje rzadką głębię i zwartość fabuły. Potrafi też wyjątkowo trafnie dobierać pełne treści szczegóły charakterystyczne dla innych epok: w „Patrolu Czasu” opisuje zromanizowanego Bryta, który „kroczył ostrożnie, starając się nie wpaść w błoto i pogardliwie obciążał wytartą tunikę, by nie dotknąć żadnego z otaczających go dzikusów”. Anderson ma w zanadrzu tak wiele tych szczegółów, że może sobie pozwolić na ironiczne uwagi; obwieszcza, że Amerykę odkryli Chińczycy i zaraz potem wspomina o skórze niedźwiedzia polarnego, którą podarował Everardowi Bjami Herjulfsson, skandynawski odkrywca Winlandu („Szach Mongołom”).

Starając się nie rozwijać akcji w próżni, pisarz umieszcza swoich bohaterów w naturalnej scenerii, która staje się coraz bogatsza z początkiem każdego nowego opowiadania. „Daleki ryk tygrysa szablozębego” z „Patrolu Czasu” (1955) ustępuje miejsca wszechobecnemu hukowi gigantycznego wodospadu w „Słupach Herkulesa” (1975). Ulubiony chwyt Andersona polega na ukazaniu związku między ludzkimi uczuciami a naturą. Proszę sobie przypomnieć pełne wyrzutu spojrzenie łani mającej zginać z rąk Everarda w noweli „Szach Mongołom” i ponury krajobraz, który koresponduje z nastrojem bohatera pod koniec tej historii.

Poul Anderson zręcznie tworzy czasowe łamigłówki, nie eksploatując zbyt często opisywanego przez kolegów po piórze przełomowego wydarzenia — zagłady Wielkiej Armady. (Jego celtycko–punicko–indiańska cywilizacja jest dosyć oryginalna w swoim rodzaju). Oprócz układania interesujących scenariuszy historii alternatywnej autor osiąga znacznie lepszy efekt transformacji dziejów: w noweli „Wielki Król” wydarzenia pozostają takie same, ale zmienia się ich przyczyna. Anderson podkreśla w ten sposób elastyczność, a nie kruchość tkanki czasoprzestrzeni. Sieć wewnętrznych powiązań świata wytrzymuje przypadkową ingerencję Denisona. W sprzyjających okolicznościach inny człowiek mógłby zostać Cyrusem Wielkim.

Zręczne połączenie legendy, prawdopodobieństwa i hipotezy nie jest jedyną zaletą opowiadania „Wielki Król”. Drobiazgowa analiza finałowej procesji pielgrzymów świętujących narodziny Mitry zabrałaby krytykowi więcej czasu, niż autor poświęcił go na napisanie tej sceny.

Ceremonia ta utwierdza agentów Patrołu w przekonaniu, że zdołali przywrócić „pierwotny” bieg wydarzeń, a zarazem umożliwia pisarzowi ironiczne spojrzenie na swoich bohaterów i zawarcie w tekście aluzji. Oto ludzie z cywilizacji technicznej, przyzwyczajeni do łatwych podróży w czasoprzestrzeni, muszą wędrować pieszo, żeby przyjrzeć się starożytnemu obrzędowi, później zaś paść na twarz, by upewnić się, że odnieśli sukces. Witany z radością przez tubylców powrót słońca symbolizuje ostateczne porzucenie przez Denisona roli Cyrusa Wielkiego i utratę złudzeń przez Everarda.

To święto ku czci słońca wywołuje skojarzenia historyczne i mitologiczne. Mitriackie obrzędy związane z zimowym przesileniem i związane z nimi rzymski kult Solis Invicti* miały wpływ na ustalenie daty chrześcijańskiego Bożego Narodzenia. Poza tym Cyrus i jego trzej dworzanie przypominają Chrystusa i Trzech Króli, którzy mieli być magami przybyłymi z Persji. W taki sposób święto Trzech Króli i Boże Narodzenie łączą się, skłaniając do rozmyślań o przeznaczeniu, zbawieniu i królewskiej władzy oraz o ich cenie, co stanowi morał tej powieści. Jednakże Poul Anderson mówi o tym wszystkim z zadziwiającą prostotą w mniej więcej trzydziestu wierszach.

Wielopoziomowa struktura „Patrołu Czasu” umożliwia pisarzowi pokazanie czytelnikowi własnych fascynacji. Jako członek stowarzyszenia „Baker Street Irregulars” bawi go wprowadzenie do akcji „prawdziwego” Sherlocka Holmesa i doktora Watsona. (Pojawiają się oni również w „A Midsummer Tempest”). Opowiadania o policji temporalnej świadczą o zainteresowaniu autora tak różnymi dziedzinami i zagadnieniami jak geologia, przyroda, lingwistyka, rozwój imperiów, problem wolnej woli czy egzotyczne kultury. (Ludzie z paleolitu, Teutoni, Persowie, Mongołowie, Indianie i Celtowie występują w całej jego twórczości). Świadczy to o tym, że chłonny umysł tworzy wartościowe dzieła.

Jakkolwiek „Patrol Czasu” jest tylko jedną z wielu książek Andersona, odzwierciedla ona jego światopogląd i zasady etyczne, tak jak wycinek hologramu zawiera informację o całości.

Agenci Patrołu mają ponad normę sprawne ciała i umysły, lecz nie są ani nadludźmi, ani świętymi. „Ci ludzie swobodnie podróżowali w czasie i władali bronią bogów, ale mieli wszystkie wady charakterystyczne dla rodzaju ludzkiego”. Należą oni do niewielkiej grupy bohaterów Paula Andersona. Van Sarawak przypomina kuzyna Dominika Flandry’ego z cyklu o cywilizacji technicznej. Nomura jest nieco podobny do Steve’a Matucheka z „Operation Chaos” — udający prowincjusza mężczyzna o gołębim sercu, który szuka idealnej kobiety, to ulubiona postać naszego gynolatrycznego autora. (Feliz, artystka przeżywająca piękno, by przekazać je innym ludziom, to wczesne wcielenie Caitlin, głównej bohaterki „The Avatar”). Bogata osobowość Keitha Denisona wywiera większe wrażenie, ale upór, uczciwość, opanowanie i fachowość Everarda, wzbogacone pokorą, czynią z niego typowego bohatera Andersona. Ten „nieugięty” mężczyzna został odlany z

* Słońce Niezwyciężone (łac.) (Przyp. tłum.)

tego samego metalu, co Holger Carlson z „Three Hearts and Three Lions”. Wszystkich agentów Patrolu cechuje żądza przygody i zapał, z jakim podejmują wyzwania, których nie skąpi im wszechświat.

Liberalny i egalitarny Patrol popiera samodoskonalenie jednostki, ale nie arogancję. Wędrowki do najdalszych zakątków czasu otwierają przed agentami niezwykłą perspektywę. Jeden z nich tak reaguje na pierwszy kontakt z przeszłością: „Widząc te tłumy przechodniów, zdaję sobie sprawę, że epoka wiktoriańska zawierała wszystko, co o niej powiedziano, tak dobrego, jak złego, ponieważ złożyły się na nią miliony bardzo różnych ludzkich losów”. (.Patrol Czasu”).

Agenci Patrolu cieszą się i smucą tak samo jak ich przodkowie i potomkowie. Współczucie i zrozumienie dla innych niedoskonałych istot ludzkich chronią ich przed fanatyzmem, „najgorszym z grzechów”. Wyrok wydany przez Everarda na „człowieka, który chciał być Bogiem” odnosi się do wszystkich jemu podobnych: „Pojedynczy człowiek nie jest ani dość potężny, ani dość mądry, żeby rządzić historią. Myślę, że większość nieszczęść, które nękają ludzkość, to sprawa takich jak on fanatyków mających jak najlepsze chęci”. Sam Everard jest wystarczająco wrażliwy, by litować się nad ludźmi, których musi zabić, zarówno nad lojalnymi Medami z „Wielkiego Króla”, jak i nad Cymbrem Boierikiem z „Innego świata”.

Absolut nie istnieje. Nie ma jedynie słusznej drogi, co odnosi się także do historii, którą modyfikują danelliańscy szefowie Patrolu, by uniknąć zagłady. W niedoskonałym świecie są tylko niedoskonali ludzie, którzy starają się dać z siebie wszystko.

Podobnie jak inne elitarne organizacje w twórczości Andersona, Patrol Czasu powstał po to, by służyć ludzkości. Jego agenci dobrowolnie płacą każdą cenę, jakiej wymaga od nich ta służba. Życie z amerykańską żoną będzie ważniejszym sprawdzianem królewskiej odwagi Denisona niż jakiegokolwiek z wyzwań, którym musiał stawiać czoło jako Cyrus Wielki. Inni zmuszeni są czynić zło w imię słusznej sprawy. Sandoval musi pogodzić się z tym, że jego ziomkowie, łącznie z jego rodziną, staną się pariasami. Everard i van Sarawak niszczą liczący dwa tysiące lat alternatywny świat i unicestwiają miliardy niewinnych ludzi. Czytelnik może sobie wyobrazić, jak ciężkie brzemie winy będzie później dźwigać

ta para agentów. Dlatego odpowiedź Andersona na sławne pytanie „A kto będzie strzegł strażników?” brzmi: „Oni sami.” Na dłuższą metę osobista odpowiedzialność za popełnione czyny jest jedynym skutecznym hamulcem moralnym.

Ta odpowiedzialność sprzyja powstawaniu międzyludzkich więzi. Pisarz uważa, że trzeba służyć ludziom, a nie systemom — w żadnym wypadku tak złowieszczym abstrakcjom jak Naród czy Państwo. Poul Anderson opłakuje los istot ludzkich zdeptanych przez „wszechmocny Naród, który wdał się w konflikt ze swoimi sąsiadami”.

W każdym opowiadaniu osobiste powiązania Everarda wpływają na jego decyzje. Łamie on przepisy Patrolu, żeby połączyć kochanków w „Patrolu Czasu”, w imię przyjaźni interweniuje w „Wielkim Królu”, a lęk o życie popycha go do gwałtownych czynów w noweli „Szach Mongołom”. W „Innym świecie” najpierw boleje z powodu zagłady ojczyznoznawstwa, lecz później żal mu „miliardów istot ludzkich pracujących, cierpiących, śmiejących się i obracających w proch, by ich synowie mogli żyć”. Zdrada jednej kobiety wystarcza do unicestwienia miliardów innych ludzi i przywrócenia poprzedniego porządku rzeczy.

Najsilniejszą więzią jest miłość, która prowadzi do założenia rodziny. Za jej sprawą pojawia się radość w „Patrolu Czasu” i w „Słupach Herkulesa” oraz cierpienie w „Wielkim Królu”. Jest ważniejsza od najwspanialszych nawet osiągnięć, gdyż bez niej życie nie ma sensu. Dobroczyńcy czy bandyci, wszyscy ci, którzy chcieliby zmienić bieg historii, giną mamie; triumfują tylko kochankowie, starający się znaleźć dla siebie miejsce w dziejach.

W opowiadaniu „Słupy Herkulesa” autor dociera do sedna dramatu, jakim jest życie. Nie chodzi tutaj o wydarzenie zmieniające losy cywilizacji, lecz o szczęście dwojga ludzi. Poul Anderson daje tu upust swemu romantyzmowi, przedstawiając równolegle ludzkie uczucia i zjawiska przyrody. Feliz wtargnęła w życie Nomury, niczym Atlantyka na pustynię. Zmieniła jego życie, tak jak nowe morze zmieni klimat. Tajemnicza moc miłości równa jest energii wyzwolonej przez gigantyczny wodospad.

Misja podróżnika w czasie została jasno określona: „Patrol istnieje po to, żeby strzec tego, co rzeczywiste”. Od zarania dziejów rzeczywistość, którą chroni, jest ufundowana na więzi łączącej mężczyznę, kobietę i przyrodę.

„...będzie to trwało nie zmienione,
Choć przemijają dynastie”.

POUL ANDERSON jest w świecie fantastyki naukowej prawdziwym człowiekiem–instytucją. Urodzony w 1926 roku w amerykańskim stanie Pensylwania, od czterdziestu z górą lat jest stałym dostarczycielem niezliczonych znakomitych powieści i opowiadań, należących do wszystkich odmian SF i Fantasy, działaczem związków pisarskich, tłumaczem, popularyzatorem i redaktorem. Może się także poszczycić niewiarygodną ilością nagród (siedmiokrotny laureat Hugo i trzykrotny Nebuli), wielką popularnością wśród czytelników oraz powszechnym uznaniem kolegów po piórze. Fenomen Andersona polega na znakomitym wyczuciu stylu, niezrównanej inwencji fabularnej i charakterystycznym poczuciu humoru. Autor „Strażników czasu” wydał ponad pięćdziesiąt powieści oraz około dwustu nowel i opowiadań.